

KSIĄŻKI O KSIĄŻCE

JAN MICHALSKI

55 LAT
WŚRÓD KSIĄŻEK



55 LAT
WSRÓD KSIĄŻEK

K

SIAŻKI O KSIĄŻCE

Ossolineum

Jan Michalski



55 LAT
WŚRÓD KSIĄŻEK

OSSOLINEUM

1976

Kolegium redakcyjne

ALODIA KAWECKA-GRYCZOWA

BRONISŁAW KOCOWSKI

JAN TRZYNADŁOWSKI

Redaktor tomu

JAN TRZYNADŁOWSKI



83100

Redaktor Wydawnictwa

STANISŁAWA DEJAS

Redaktor techniczny

MICHAŁ ŁYSSOWSKI

Opracowanie graficzne

WIESŁAW ZAJĄCZKOWSKI

O Janie Michalskim słów wstępnych kilka

Miłostwo książki ma odwieczne tradycje, odwiecznie też znany jest i szanowany typ człowieka umiającego mądrym książkom mądrze całe swe życie poświęcić. Dzieje kultury polskiej znają wielu mecenasów, zbieraczy, miłośników książki. My współczesni, może najbardziej umiemy ich cenić, byliśmy bowiem świadkami bezprzykładnych zniszczeń i strat w świecie naszych księgozbiorów, a utrata książki ma w sobie tragizm niemal śmierci przyjaciela.

Gdy mowa o miłośnikach, zbieraczach, mecenasach, przed oczyma staje jakże sympatyczna postać zmarłego przed ćwierćwieczem Jana Michalskiego, który całe życie poświęcił służbie książki, jej miłostwo praktycznie szerzył, który własnym wysiłkiem zebrał i narodowi ofiarował olbrzymi księgozbiór dotyczący literatury i kultury ojczyźnej.

Wspomnienia tego niezwykłego człowieka wydało Ossolineum w 1950 r., w roku śmierci Autora, który czuwał nad ich ogłoszeniem, ale zakończenia druku, niestety, nie doczekał. Po dwudziestu pięciu latach warto wznowić ujmującą i bogatą w treść książkę Jana Michalskiego, warto również edycję tę rozszerzyć, dając słowo wstępne o Autorze i o bibliotece, którą powołał do życia.

Jan Michalski przez lata pracował jako nauczyciel języka polskiego. I oto ciekawy a charaktery-

styczny szczegół: wspomnienia swe zamaszystym, czytelnym pismem (z nader nielicznymi skreśleniami i poprawkami) wpisywał do zeszytów szkolnych swych uczniów, po usunięciu zbędnych już kart z wypracowaniami domowymi lub klasówkami. Na okładkach tych zeszytów zachowały się nazwiska ich pierwotnych właścicieli.

Wydanie z roku 1950, we wszystkich szczegółach uzgodnione z Autorem, nie objęło wszystkich zeszytów. Pominęto wspomnienia z lat szkolnych i uniwersyteckich, pozostawiono natomiast dane zgodne z tytułem tych „wspomnień, wrażeń i rozważań”. Obecne wznowienie idzie śladem poprzedniego, jako że książka Jana Michalskiego to nie pamiętnik w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz zbiór obrazków wspomnieniowych związanych jak najściślej z bibliofilstwem samego Autora i ludzi z kręgu jego pracowitego żywota. Tekst wspomnień porównano z autografem, ponadto zaś — właśnie! Ponadto zaś postanowiono dodać to słowo wstępne, albowiem lata płyną, młodsze pokolenie bardzo niewiele lub zgoła nic o nim nie wie bez zaglądnania do specjalnych słowników. Warto przeto choć w głównym zarysie przypomnieć piękną postać Jana Michalskiego i do słowa wstępnego wprowadzić parę choćby urywków z nie przedrukowanych tutaj zeszytów wspomnieniowych.

Jan Michalski urodził się 7 marca 1876 r. w Wierzbicy koło Radomia. W zeszycie pierwszym poświęconym latom gimnazjalnym pisze autor: „W 1885 r. z głębokiej prowincji przenieśli się rodzice moi do Warszawy. Odtąd stała się ona niemal moim rodzinnym miastem. Tu ukończyłem gimnazjum (czyli szkołę średnią), uniwersytet, tu upływały bez przerwy wszystkie lata, tu uczyłem w prywatnych szkołach polskich do 1918 r., tu niemal od początku organizowania szkolnictwa w



1. Jan Michalski

Polsce niepodległej pracowałem jako wizytator szkół średnich w ministerstwie, a później w Kuratorium Warszawskiego Okręgu Szkolnego...” To właśnie w antykwariatach warszawskich zebrał J. Michalski swą bibliotekę, tu wraz z gronem oddanych przyjaciół chronił ją podczas powstania (o czym szczegółowo napisał w końcowym fragmencie wspomnień), tutaj pozostawił ją jako fundację.

W Warszawie ukończył Michalski szkołę śred-

nią, którą ze względów narodowych wspomina bez nadmiernego sentymentu, ale spokojnie i rzeczowo. Ciekawe są jego uwagi, dotyczące szerokiego zakresu nauki języka łacińskiego i greckiego. „Uzdowski, nauczyciel języka greckiego, zapytał ucznia, jakie pokrewieństwo łączyło dwóch Ajasów. Ten odpowiedział, że byli to bracia rodzeni. Nauczyciel stanął, z zdziwienia otworzył usta, z wrażenia dość długo milczał, aż wreszcie wybuchnął: „Syn takich uczonych i porządnych ludzi nie wie, że był Ajas syn Telamona i Ajas syn Oileusa, że byli to bracia stryjeczni!” — Ten arcyhumorystyczny incydent świadczy wymownie, jak gruntownie musieliśmy znać tajniki życia starożytnego”.

Zaprawa w językach antycznych i w kulturze świata starożytnego okazała się później bardzo przydatna w studiach wyższych Autora wspomnień.

A oto co pisze on na ten temat:

„W 1896 r. po skończeniu III gimnazjum w Warszawie zapisałem się na Wydział Historyczno-Filologiczny Uniwersytetu Warszawskiego. Już w wyższych klasach gimnazjum wyraźnie upodobania moje szły w kierunku humanistyki. Szczególnie pociągała mnie literatura i kultura polska. Zdawałem sobie sprawę, że moje warunki materialne nie pozwolą mi na studia wyższe w zakresie polonistyki w Krakowie lub we Lwowie. Pozostawało mi pójść drogą szeregu poprzedników: przestudiować na Uniwersytecie Warszawskim filologię klasyczną, uważając to za podbudowę do polonistyki, a jednocześnie samemu kształcić się w umiłowanym zakresie. Tą drogą poszli H. Łopaciński, L. Korotyński, K. Dąbrowski, Z. Wolski, I. Chrzanowski i wielu innych”.

Studia obliczone były na cztery lata; pierwsze dwa lata miały zajęcia wspólne, dopiero dalsze dwa VIII lata podzielone były na trzy sekcje (specjalizacje):

słowiańsko-rosyjską, historyczną i klasyczną (filologia klasyczna). Mimo ogólnie rzecz biorąc, nader miernej kadry wykładowców Michalski zdobył gruntowne wykształcenie dzięki osobistej pracowitości i uzdolnieniom.

Z szczerą sympatią i najgłębszym uznaniem wspomina Michalski jedynego Polaka — profesora, z jakim bezpośrednio zetknął się podczas studiów uniwersyteckich. Był to wybitny filozof, Henryk Struve, wykładający w Warszawie jeszcze od czasów szkoły Głównej (w której m.in. studiował Bolesław Prus). Nieco uwagi poświęcił Michalski jednemu Polakowi na Wydziale Filologicznym, Teodorowi Wierzbowskiemu, do którego społeczeństwo polskie odnosiło się z rezerwą, z uwagi na to, że Wierzbowski objął zajęcia po Piotrze Chmielowskim, który odmówił prowadzenia wykładów z historii literatury polskiej po rosyjsku.

Z innych uniwersyteckich kontaktów Michalskiego, szeroko zrelacjonowanych we wspomnieniach, wymienić należy znajomość ze Stanisławem Brzozowskim, podówczas studentem nauk przyrodniczych, potem znakomitym krytykiem literackim, powieściopisarzem i publicystą. Niestety, drogi tych ludzi, tak różnych temperamentem, zaangażowaniem społecznym i orientacją polityczną na zawsze rozeszły się mimo początkowych perspektyw zażyłości i przyjaźni.

„Parabibliofilskie zeszyty” wspomnień Jana Michalskiego, choć w niejednym dotyczące spraw znanych z innych źródeł pamiętnikarskich i opracowań historycznych interesujące są ze względu na zawarte w nich osobiste relacje o życiu uniwersyteckim i szkolnym tych czasów, o nastrojach wśród młodzieży, o latach poprzedzających wybuch II wojny światowej.

Studia wyższe ukończył Jan Michalski w 1900 r.

i odtąd do 1918 r. był nauczycielem w warszawskich szkołach średnich. Z jego inicjatywy powstała w 1913 r. Antykwarnia Warszawska, gdzie pracował przez prawie dwa lata jako kierownik działu książek i opracował cztery katalogi działowe; katalog piąty nie ukazał się z powodu wybuchu wojny. Po zakończeniu wojny był do 1931 r. naczelnikiem Wydziału i wizytatorem w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz w Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego. Później powrócił do zawodu nauczycielskiego i do 1939 r. był instruktorem przedmiotów humanistycznych w gimnazjum W. Górskiego w Warszawie. Podczas okupacji brał czynny udział w tajnym nauczaniu.

Mimo skromnych środków finansowych przez całe swe pracowite życie nabywał z wielkim znanstwem książki odnoszące się przede wszystkim do literatury, historii i kultury polskiej. Owoc tego uczonego i zamiłowanego zbieractwa był rzeczywiście imponujący: około czterdziestu tysięcy tomów, w czym ponad osiem tysięcy starych druków (do końca XVIII w.), bibliograficzne białe kruki z XVI i XVIII w., liczne książki z epoki stanisławowskiej, druki ulotne z czasów powstań narodowych, broszury emigracyjne, dzieła z literatury powszechnej, starożytnej, historii i etnografii polskiej, druckarstwa polskiego, ekslibrisów, historii sztuki, pamiętnikarstwa, dzieła pomocnicze, wreszcie zbiory ikonograficzne i graficzne, wycinki prasowe, a nawet — już spoza bibliofilii — zbiory ceramiki ludowej, medale, odznaczenia, plakiety.

Jak mówią ci, którzy znali Jana Michalskiego, bibliofil ten nie tylko ze znanstwem i zamiłowaniem gromadził książki, ale je czytał i innym udostępniał. Z jego zbiorów i erudycji korzystali badacze przeszłości polskiej i studiujący, zbiory Michalskiego zasilały liczne wystawy, organizowane

konspiracyjnie również i podczas okupacji. Spod pióra J. Michalskiego wyszły m.in.: *Trzysta lat drukarstwa warszawskiego 1578—1877, Katalog wystawy urządzonej przez Towarzystwo Bibliofilów Polskich w Warszawie 31 X—7 XI 1926* (druk anonimowy) oraz *Wystawa retrospektywna drukarstwa warszawskiego* (Pamiętnik II Zjazdu Bibliofilów Polskich, Warszawa 1928).

Jako znawca literatury polskiej opracował sylwetki szeregu pisarzy dla t. II i III cenionego zbioru *Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej* (1907), a jako nauczyciel-pedagog w serii *Książka dla Wszystkich* wydał kilka dzieł romantycznych na użytek szkolny.

Działalność Jana Michalskiego spotykała się z powszechnym uznaniem. W 1938 r. powołany został na członka korespondenta Wydziału Językoznawstwa i Literatury Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, w 1945 r. zaś na współpracownika Komisji Historii Literatury Polskiej Akademii Umiejętności.

Jakie losy dzielił księgozbiór Jana Michalskiego podczas powstania warszawskiego, o tym pisze on sam w zakończeniu swych wspomnień. Tu zaznaczyć wypadnie, że Michalski w 1947 r. zbiory swe, zmniejszone prawie o jedną trzecią, ofiarował Centralnemu Instytutowi Kultury w Warszawie. Po likwidacji Instytutu zbieracz utworzył w 1949 r. Fundację im. Jadwigi i Jana Michalskich związaną z Instytutem Badań Literackich; dyrektorem i kuratorem Fundacji pozostał do swej śmierci, która położyła kres jego twórczej działalności w dniu 4 czerwca 1950 r.

Obecnie (po ustawowym zniesieniu fundacji, 1952), księgozbiór Jana Michalskiego stanowi zasadniczy trzon biblioteki Instytutu Badań Literackich PAN.

Wznowione obecnie wspomnienia 55 lat wśród

książek to dzieło pełne wdzięku i treści o książkach, zbieractwie, bibliofilach, antykwarzach i księgarzach, o szlachetnej pasji gromadzenia książek, szczególnie dawnych, starych, rzadkich i cennych.

Trawestując znane powiedzenie, można rzec, że „o stare książki równie trudno jak o starych przyjaciół”. A przyjaciół miał Michalski wielu, zarówno takich jak on zapalonych bibliofilów, jak i starych, przed wiekami tłoczonych książek. Zapewne i w *Tobie, Czytelniku*, znajdzie on przyjaciela zamiłowanego w mądrych, pożytecznych książkach, pobudzonego pasją płynącą z jego urzekających wspomnień.

Jan Trzynadlowski

Wrocław, w maju 1975 r.

Przedmowa

W bogatej i ciekawej naszej literaturze pamiętnikarskiej bardzo mało stosunkowo jest kart mówiących o „życiu książek”: o stosunkach wydawniczych, księgarskich, antykwarskich, o kolekcjonerstwie, bibliotekarstwie, czytelnictwie. Otóż oryginalnością wspomnień Jana Michalskiego jest już to, że właśnie „świat książek” jest ich naczelnym przedmiotem.

Nazwisko autora nie jest obce szerszej publiczności. Wie ona o zbiorach Jana Michalskiego, z których wypożyczano książki, ryciny i inne obiekty na wiele wystaw urządzanych w ciągu dwudziestolecia „międzywojennego”. Ale wyraz „zbieracz” w potocznym swoim znaczeniu bardzo niedostatecznie określa jego indywidualność.

Zazwyczaj, kiedy używamy tego wyrazu, wyobrażamy sobie kogoś o dużym majątku, bądź odziedziczonym, bądź pochodzącym z sowitych dochodów, majątku, który pozwala mu na kulturalny zbytek w jakiejś specjalnie ulubionej dziedzinie. Otóż zbieractwo Jana Michalskiego ma zupełnie inny charakter społeczny. Nie odziedziczył on żadnej fortuny; jak z jego wspomnień widać, już od młodych lat musiał zarabiać na życie; a później nigdy nie „piastował” godności pozwalającej na *XIII*

szybkie zbieranie pieniędzy. Przeciwnie: przez całe życie pracował jako nauczyciel.

A zbiory, do których doszedł, to nie jakaś kolekcyjka curiosów, ale biblioteka, obejmująca około czterdziestu tysięcy tomów, i to jakich. Wśród starych druków polskich były w niej rzeczy, które stanowiły sensację dla bibliografów. Jego dział poloników osiemnastowiecznych porównywano z analogicznym działem Biblioteki Jagiellońskiej. Jego mickiewicziana można było zestawiać ze zbiorem książek Muzeum Mickiewiczowskiego w Paryżu. To, co miał z literatury o Słowackim, ustępowało w kompletności chyba tylko zasobom Ossolineum. A było tam jeszcze mnóstwo innych działów: kolekcja autorów polskich wszystkich wieków, prawie komplet ich opracowań krytycznych, wielki zbiór przekładów z literatur klasycznych i nowożytnych, komplety dzieł poświęconych różnym zagadnieniom społeczno-kulturalnym itd. Rzecz aż nie do wiary, że tyle mógł zgromadzić jeden człowiek i to wcale w jakiś szczególny sposób przez los nie uprzywilejowany.

Czym się te imponujące wyniki przy takiej skromności środków tłumaczą? Oczywiście, zamiłowaniem, wytrwałością, znajomością rzeczy. Ale nie tylko tym. Książka Jana Michalskiego nazywa się *Pięćdziesiąt pięć lat wśród książek*. Mogłaby się jednak nazywać także „*Pięćdziesiąt pięć lat wśród ludzi*”. Proszę przeczytać w niej serię sylwetek współkolekcjonerów, uczonych, księgarzy, cenzorów, a przede wszystkim antykwariuszów warszawskich. Jaka w nich ostrość konturu — uderzająca szczególnie przy wielkiej zwięzłości i wielkiej prostocie słowa. Zwłaszcza cały tak swoisty i ciekawy świat antykwarzy Żydów z ul. Świętokrzyskiej staje tu przed nami z niezwykłą wyrazistością. Czytelnicy

XIV ze starszego pokolenia, którzy byli klientami tej

„ulicy książek”, spotkają tu wizerunki wielu swoich znajomych. Ale na pewno mało kto tak na nich patrzył i tyle o nich wiedział, co autor tych wspomnień. Na ogół byli to dla nas tylko obojętni „sprzedawcy”. Michalski, jak się okazuje, znał koleje ich życia, ich stosunki rodzinne, kłopoty domowe. Weredyk, nigdy nie szukający słów gładkich, umiejący zawsze ostro skarcić niegrzeczność czy kręactwo, umiał on przecież zawsze okazać współczucie ludzkie zmartwieniem każdego człowieka. Charakterystyczna w swoim prostym patosie jest opisana we wspomnieniach scena jego spotkania z córką jednego z handlarzy książek ze Świętokrzyskiej w przededniu zamknięcia getta warszawskiego za okupacji niemieckiej. Jakież w niej świadectwo dla człowieka. Tym rysem swojej natury wzbudzał Michalski zaufanie, podobnie jak „handlowy” respekt wzbudzał swoją świetną orientacją w stopniu rzadkości, a więc i w cenach książek. Znawca i człowiek zyskiwał w ten sposób warunki zupełnie wyjątkowe dla powiększania swojej biblioteki.

Trzeba jeszcze o pewnych właściwościach zbieracza wspomnieć. Otóż rzeczą znaną dla Jana Michalskiego była niewytrzymałość na wszelkie słowa bez pokrycia. Bodaj że z tym rysem jego usposobienia wiąże się geneza jego kolekcjonerstwa. Inni mogli mówić o książkach, on musiał je mieć pod ręką. Ale, jak wiadomo, ci, co książki gromadzą, nie zawsze je czytują. Michalski nie tylko zbierał, ale i czytał. I to gruntownie czytał: jak filolog z wykształcenia i zamiłowania. Dlatego zawsze można było od niego dostać kompetentną radę czy informację. Nigdy też zbieractwo nie stało się u niego celem samo w sobie. Realizował on zaiste jedno z niepodobieństw Krasickiego: bo zbiorów swoich zawsze „potrzebnym udzielał”. Chyba żad-

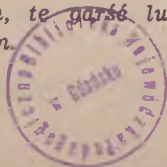
na większa polonistyczna praca historycznoliteracka w Warszawie w ciągu kilku dziesiątków lat nie obyła się bez pomocy jego biblioteki. Ileż wystaw zasilił albo i wręcz zorganizował. Pożyczał zresztą książki nie tylko na wystawy i do instytucyj, ale i prywatnym ludziom, czasem mało znajomym nawet, o ile tylko wyczuł w nich głód wiedzy, prawdziwy zapach, czy zacięcie badawcze.

Te same rysy cechowały i jego pracę pedagogiczną. Bo stale uczył, mnóstwo uczniów wychował i w mnóstwie rozbudził prawdziwe zamiłowanie do arcydzieł literatury powszechnej, a zwłaszcza polskiej. Jakie były jego metody? Bardzo proste. Nie stosował stylu entuzjastycznego, agitacji, peror. Działał i tu praktycznie. Inni opowiadali z zachwytem o pięknościach różnych wierszy; on okazywał, jak je ceni, cytując je obficie albo i w całości recytując z pamięci. Inni opowiadali o arcydziełach; on je najnaturalniej przynosił ze swojej biblioteki i wypożyczał do czytania. Nie zapomnę, jak mając lat piętnaście, dostałem tak od Michalskiego do lektury *Iliadę* i *Ramajanę*. Jego praca nauczycielska była tak samo jak jego biblioteka szkołą rzetelności o szerokim promieniowaniu społecznym.

Wacław Borowy

*Pamięci Zygmunta Wolskiego, Józefa
Drège'a i Kazimierza Piekarskiego, naj-
większych bibliofilów, jakich w życiu
spotkałem, te garść luźnych wspomnień
poświęcam.*

J. M.



Jan Michalski urodził się 7 marca 1876 r. w Wierzbicy w Radomskim. W r. 1900 ukończył wydział historyczno-filologiczny Uniwersytetu Warszawskiego ze stopniem kandydata. W latach 1900—1918 pracował jako nauczyciel języka polskiego, łaciny i historii w prywatnym szkolnictwie warszawskim. Był jednym z założycieli Polskiego Związku Nauczycielskiego i przez lat kilka należał do grona redakcji „Nowych Torów”. Jesienią r. 1918 został wizytatorem szkół średnich i był nim do r. 1931, po czym znowu wrócił do pracy nauczycielskiej. Kontynuował ją tajnie przez cały czas okupacji niemieckiej. W r. 1938 został członkiem korespondentem I Wydziału Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, a w r. 1945 współpracownikiem Komisji Historii Literatury Polskiej Akademii Umiejętności. Ogłaszał w czasopismach i wydawnictwach zbiorowych artykuły z zakresu dydaktyki i historii literatury polskiej. Najbardziej zasłynął ze swojego obszernego zbioru książek, o którego historii mówi w niniejszym pamiętniku, napisanym 1945 r. Druku jego nie dożył: zmarł w Warszawie 4 czerwca r. 1950.

Et haec meminisse iuvabit
(...i pomoże zachować to w pamięci)



Często zastanawiałem się nad tym, skąd we mnie powstało zamiłowanie do książek i do ich gromadzenia. W latach dziecinnych z wielką przyjemnością oglądałem roczniki „Tygodnika Ilustrowanego”, „Kłosów”, „Biesiady Literackiej” i z wielkim mozołem starałem się coś niecoś przeczytać. Rzecz prosta, pociągały mnie głównie ilustracje. Później, gdy opanowałem dość szybko technikę czytania, lubiłem godzinami pograżać się w lekturze książek, jakie wpadały mi w ręce. Były to przeważnie rzeczy przygodne i nikt w ścisłym znaczeniu nie kierował dziecinnym moim czytelnictwem. Do dziewięciu lat mieszkałem na wsi, gdzie o książki z różnych względów było trudno. Z tej przygodnej lektury najwięcej upodobałem sobie i wielokroć odczytywałem *Historię Starego Testamentu* ks. Kozłowskiego, *Robinsona Crusoe* i *Jaskinię Beatusa*, zdaje się Schmidta. Dzieje Kaina i Abla, Abrahama, Jakuba, Józefa, Mojżesza i innych postaci biblijnych pociągały moją wyobraźnię. Może z tą lekturą najdawniejszą podań hebrajskich wiąże się moje upodobanie do mitów grecko-rzymskich oraz baśni polskich i innych. Była to ulubiona moja lektura w latach pachołących.

Pierwszym miastem większym, które poznałem

i z którym losy związały mnie na całe życie, była Warszawa. Przygotowany przez matkę zdałem konkursowy egzamin do wstępnej klasy 3-go gimnazjum. Pod opieką rodzicielską byłem tylko pierwsze dwa lata. Później, gdy rodzice nie umiając się dostosować do warunków miejskich, wrócili na wieś, mieszkałem na stacji w domu, w którym panowała typowa atmosfera „dulszczyzny”. Do klasy 5-ej włącznie, poza dbałością o potrzeby moje materialne, zresztą nader skromne, pozostawiony byłem sobie. Ani w nauce, ani w lekturze żadnych wskazówek lub pomocy nikt mi nie dawał z wyjątkiem bibliotekarzy gimnazjalnych Rosjan, którzy tę sprawę traktowali raczej biurokratycznie.

Od czasu pobytu w Warszawie możliwość zdobywania książek do czytania była dla mnie znacznie łatwiejsza niż przedtem. Pochłaniałem bez wyboru utwory Mayne Reida, Coopera, różnych „Robinsonów”, Waltera Scotta, Dumasa ojca, Suego, J. Verne'a oraz literaturę podróżniczą w języku polskim i rosyjskim. Więcej daleko czytałem autorów obcych niż polskich. Osławione lekcje języka polskiego w gimnazjum, polegające na rozbiórce gramatycznym i tłumaczeniu z polskiego na rosyjski urywków z arcywiednych wypisów Dubrowskiego, urywków wypranych doszczętnie z pierwiastków emocjonalnych i patriotycznych, nie mogły zachęcać do poznawania dzieł polskich. Dopiero istniejące wśród młodzieży klas wyższych kółka odgrywały wobec takich jak ja, pozostawionych sobie, ogromną rolę w zbliżeniu literatury ojczystej. Kółka posiadały nieraz dosyć zasobne biblioteki. Pamiętać należy, że wskutek istnienia cenzury tylko wyjątkowo były dla nas dostępne najpiękniejsze utwory naszej literatury romantycznej oraz drukowane poza za-
borem rosyjskim dzieła poruszające najżywotniejsze nasze sprawy. Pamiętam np., że szereg utwo-

rów poznałem z odpisów, jakie po r. 1831 krążyły potajemnie (*Księgi Pielgrzymstwa, Kordian, Anelli, Przedświt*).

Przewaga autorów obcych w mojej lekturze ustąpiła na rzecz rodzimych pod wpływem do pewnego stopnia przypadku. Na stacji, o której wspominałem, ktoś ze znajomych pewnego razu głośno odczytywał z odcinka „Słowa” scenę porwania Bogusława Radziwiłła z *Potopu*. Miałem wtedy 12 lat. Dotąd odczuwam siłę wrażenia mego z owej lektury. Zdobyłem *Ogniem i mieczem* i przeczytałem tę powieść kilka razy z rzędu. Rzecz prosta, że zaczytywałem się później w pozostałych częściach *Trylogii*. Sienkiewiczowi zawdzięczam zainteresowanie się beletrystyką polską ze szczególnym uwzględnieniem powieści historycznej. Przewertowałem Niemcewicza, Bronikowskiego, Hoffmanową, Rzewuskiego, Kaczkowskiego, a zwłaszcza Kraśzewskiego. Pochłaniałem również utwory Rodziewiczówny, Jeża, Dygasińskiego. Najpóźniej zacząłem smakować w poezji. Matce w czasie pobytu u rodziców podczas świąt i wakacji zawdzięczam znajomość utworów Kochanowskiego (*Treny*), Mickiewicza, Pola, Kondratowicza, Żmichowskiej, Leńartowicza. Recytowała ona z pamięci duże wyjątki z tych autorów. Może właśnie matce, której tyle zawdzięczam, winienem początki kultu Mickiewiczowskiego i sympatie do Kondratowicza i Leńartowicza.

O nabywaniu książek nie mogłem wówczas myśleć, gdyż rodzice z wielką trudnością łożyli na moje utrzymanie. Po ukończeniu klasy 5-ej musiałem iść całkowicie o własnych siłach. System ówczesnego nauczania wywołał konieczność brania przez słabszych uczniów korepetycji, co miało tę jedyną dobrą stronę, że dawało niezamożnym uczniom i studentom zarobek i umożliwiało im naukę.

Już w klasie 5-ej zacząłem dawać tzw. „korki”. Jako uczeń klasy 6-ej dzięki poparciu władz szkolnych dostałem tzw. kondycję: za całkowite utrzymanie i 10 rubli miesięcznie miałem opiekować się i pomagać w nauce uczniakowi drugiej klasy tegoż gimnazjum. 4 lata miałem tę kondycję, a oprócz tego dawałem korepetycje na mieście. Stałem tedy na nogach. Mając zapewnione mieszkanie, utrzymanie i możliwość opędzania niewielkich potrzeb, zacząłem nabywać książki. Licząc się z groszem, udawałem się do antykwarni, w których przedtem nabywałem i sprzedawałem podręczniki szkolne.

Świetnie pamiętam mojego pierwszego dostawcę książek. Był nim Szymon Rubinstein, jeden z licznych antykwariuszów warszawskich o tym nazwisku. Miał on przy ulicy Brackiej koło Nowogrodzkiej sklep, w którym obok książek szkolnych pełno było innych. Rubinstein — zdaje się — pierwszy z antykwariuszów warszawskich sprowadził z zaboru austriackiego nakład znanej Biblioteki Pisarzy Polskich, wydawanej przez Turowskiego. W ciągu długiego czasu zeszyty tego wydawnictwaapełniały półki wszystkich antykwarni. Otóż za grosze sprzedawane tomy Turowskiego i Biblioteczka miniaturowa, wydawana przez drukarza Nasierowskiego (*Bajki* i *Ballady* Mickiewicza, *Arab*, *Mnich*, *Ojciec zadżumionych*, *W Szwajcarii*, *Kirgiz* Zielińskiego i wiele innych) stały się zaczątkiem moich zbiorów. Były to nabytki za pierwsze zarobione przeze mnie pieniądze, gdy byłem uczniem klasy 5-ej. W miarę porostania w pierze mogłem pozwalać sobie na kupowanie rzeczy droższych.

Pozostawiony sobie, dość wczesnie miałem wyraźne upodobania i plany studiów wyższych. Już jako siedmioklasista postanowiłem studiować historię literatury polskiej. O wyjeździe na uniwersytet

do Krakowa lub Lwowa nie mogłem myśleć, licząc się ze swoimi warunkami materialnymi. Sądziłem, że dobrą podstawą do studiów polonistycznych będzie sekcja klasyczna na wydziale historyczno-filologicznym Uniwersytetu Warszawskiego. W związku z tym już w gimnazjum zwróciłem główną uwagę na przedmioty klasyczne, a dobra znajomość greki i łaciny, szczególnie w zakresie gramatyki, ułatwiła mi studia uniwersyteckie, a nawet opłaciła się pod względem finansowym. Byłem poszukiwany jako korepetytor tych przedmiotów i dobrze opłacany. Od planów moich nie odwiodły mnie rady wielu życzliwych, którzy zwracali mi uwagę na ich nieżyłkowość. Nie myślałem wtedy o tak zwanej karierze życiowej, interesowała mnie wyłącznie nauka. Otóż zakreślona przeze mnie droga studiów wpłynęła na dwutorowość zainteresowań i zbierania książek. Obok poloników nabywać zacząłem dzieła autorów greckich i rzymskich. Gdy zwiększały się moje zarobki i wzrastały zainteresowania poznawcze od czasu wstąpienia na uniwersytet, zbiór mój rósł i coraz bardziej rozwijała się pasja posiadania.

Czasy uniwersyteckie były tym okresem, kiedy powstawał zrąb mojej biblioteki i kiedy mogłem sobie pozwolić na największe stosunkowo wydatki na książki w moim życiu. Otrzymałem w drugim roku studiów nową bardzo dobrą kondycję z dwoma nawet pokojkami na mieszkanie właśnie ze względu na pokaźną już ilość zebranych książek. Wystarczał jeden mundur, czapka, palto na cały czas studiów. Poza teatrem odmawiałem sobie wydatków na różne rzeczy i cały zarobek wsiąkał do kieszeni antykwariuszów i księgarzy. Byłem jednym z nielicznych „klasyków”, wyspecjalizowałem się w umiejętności pakowania do głów uczniowskich zawitych subtelności gramatyki greckiej i ła-

cińskiej: po 20-tu lekcjach beznadziejny dwójkowicz umiał się uporać z tzw. „ekstemporaliami”, czyli klasówkami, które polegały na tłumaczeniu z rosyjskiego na grekę i łacinę. Dodam nawiasem, że łacina w życiu moim często pomagała mi materialnie. W okresie wojny poprzedniej głównym moim zarobkiem było przygotowywanie z łaciny na maturę; podczas ostatniej okupacji niemieckiej uczyłem łaciny na kompletach, a i teraz po wojnie wróciłem do pierwszej miłości, tj. jestem zawodowym korepetytorem pakującym do głów młodzieży wprawdzie nie subtelności, lecz abecadło gramatyki łacińskiej, a przy tym z musu abecadło zasad gramatycznych w ogóle.

Obok studiów w uniwersytecie w zakresie przedmiotów klasycznych, gdzie poznawałem metodę badań filologicznych, zakreśliłem sobie plan poznawania historii literatury polskiej w drodze samouctwa. Muszę nadmienić, że w tych czasach dostępnych dla mnie bibliotek nie było. Biblioteka ord. Krasińskich, Zamoyskich, Przeździeckich oraz uniwersytecka funkcjonowały tylko w godzinach rannych. W uniwersyteckiej studenci mogli wypożyczać książki z przeznaczonego dla nich działu, w którym utworów w języku polskim prawie nie było. Wykłady odbywały się w godzinach rannych, było ich dużo i trzeba było uczęszczać na nie choćby ze względów przyzwoitości, gdyż było nas na kursie od dwóch do pięciu. Zarządy bibliotek prywatnych nie dopuszczały studentów do zbiorów.

Takie stosunki zmuszały mię do dość systematycznego gromadzenia dzieł z zakresu polonistyki. Zaczęły się tedy niemal codzienne wyprawy na półki książek. Z wykładów na Krakowskim Przedmieściu droga do mieszkania szła przez Świętokrzyską, skąd codziennie przynosiłem do domu jakąś zdobycz. Nawet gdy zabrakło nieraz pieniędzy,

antykwarjusz kredytował lub odkładał stargowaną książkę i nie zdarzało się, aby taką rzecz komu innemu sprzedał. Zainteresowania moje wzrastały. Oprócz literatur starożytnych i polskiej czytałem i nabywałem książki z zakresu literatury powszechnej, historii, filozofii, zagadnień społecznych.

Z początku główną uwagę zwracałem na zbiorowe wydania pisarzy polskich. Nie ceniłem wówczas stanu i dobrej oprawy kupowanych egzemplarzy. Nabywałem też nieraz takie rzeczy i wydania, które później usuwałem ze zbioru. Dbalność o dobry stan książki, wzgląd na jej walory bibliofilskie i rzadkość zjawiły się u mnie stosunkowo późno.

W tym pierwszym okresie zbierania „ozdabiałem” karty tytułowe zamaszystym podpisem, a później pieczętką kauczukową. Gdy rozwinąłem w sobie smak i upodobania bibliofilskie, prawie wszystkie te pierwsze nabytki wymieniłem na inne lepsze egzemplarze. Z pewnego rodzaju rozrzewnieniem biorę do ręki teraz nieliczne pozostałe w mojej bibliotece egzemplarze z podpisami, jak np. *Pisma Cypriana Godebskiego*, oznaczone numerem 26-m, *Ignacego Tańskiego* (nr 32), *Konstantego Tymienieckiego* i kilku innych.

Handel starymi książkami był nieomal całkowicie w rękach żydowskich. Sklepy ze starzyzną książkową gnieździły się głównie przy ulicy Świętokrzyskiej między Marszałkowską i Nowym Światem. Poza tym szereg kramów było na placu Kraśińskich między Długą a wejściem do ogrodu. Po odnowieniu gmachu sądowego przeniosły się one naprzeciwko i na tym miejscu przetrwały do czasów ostatniej wojny. Po parę antykwarni mieściło się przy ulicy Ordynackiej, Kruczej, Elektoralnej, Chłodnej, Zimnej, Żelaznej. Na Marszałkowskiej pamiętam antykwarnię przy rogu Siennej, a to z tego powodu, że nabywałem tam w czasach studenckich niecenzuralne książki, sprzedawane przez spadkobierców... cenzora Funkelsteina. Istnienie kramu przy ulicy Chmielnej między Marszałkowską i Zielną wiąże się w mojej pamięci z nabyciem tam wydawnictw Akademii Umiejętności po śmierci prof. Pawińskiego. Na Brackiej lokował się wspomniany wyżej pierwszy mój dostawca Szymon Rubinstein, a przed pierwszą wojną światową miał antykwarnię przy tej ulicy między Alejami i ulicą Widok wysoce poczciwy, a nieruchliwy Gotfried. Na Marszałkowskiej w pobliżu Świętokrzyskiej długie lata funkcjonował sklep Rosenweina, który z biegiem czasu sprzedawał wyłącznie nakła-



2. Ekslibris J. Michalskiego.

Proj. Antoni Gawiński (Oss. I. ex. 3519)

dy, a oprócz tego wydawał wiecznie poczytne *Senniki*, *Kabały*, *Sowiźdrzała*, *Historię o siedmiu mędracach* i inne, tzw. powieści ludowe. Między Piękną i Koszykową dotrwała do drugiego roku ostatniej wojny antykwarnia jednego z moich „przyjaciół” Golda. Były też antykwarnie na Mazowieckiej i Jasnej.

Prócz tych starych miejsc handel starymi książkami odbywał się podczas niedzielnych targów na Sewerynowie. Książki rozkładano na ziemi, w koszach oraz na jako tako sporządzonych kramach. Dopiero w ostatnich czasach przed wojną zjawiły

się wózki z książkami. Istnieli też dawniej antykwariusze wędrowni, którzy byli w bliskich stosunkach z podwórzowymi „handelesami”, nabywali po mieszkaniach stare książki i sprzedawali je prywatnym nabywcom lub właścicielom sklepów antykwarskich.

Większość antykwarni miała rozrzucone chaotycznie po półkach książki i stopy ich na podłodze. Jedyne tylko książki szkolne utrzymywane były w jakim takim porządku. Ponieważ zbieracze stale musieli grzebać się w tych stertach, aby wyłowić coś dla siebie, nieporządek wzrastał z dnia na dzień. Trudno zresztą było wymagać segregowania i utrzymywania w porządku książek od ludzi, którzy byli analfabetami kulturalnymi, a znałem i takich, co byli analfabetami i w ścisłym znaczeniu tego słowa, tj. nie umieli czytać po polsku. Dotąd nie mogę pojąć, jak tacy mogli orientować się w książkach szkolnych, a tym bardziej innych. Sam dość późno spostrzegłem u paru handlarzy tę osobliwość, że sprzedawali książki nie umiejąc czytać. Gorzej, że niektórzy z antykwariuszów—chodzików, przeważnie analfabetów, przyczyniali się do zatury nieraz cennych rzeczy, sprzedając nabyty towar na wagę do papierni na przemiał albo do sklepów na torebki.

Książek i rękopisów, jak mogłem to stwierdzić na podstawie licznych spostrzeżeń, nie szanowano u nas, bo nie miały one należytej ceny rynkowej, sprzedawano je za bezcen właśnie najczęściej takim wędrownym handlarzom, gdy trzeba było się wyprowadzać, po śmierci zbieraczy książek, którzy uchodzili za maniaków, lub gdy przeprowadzano jeneralne porządki w domostwach. W dużych miastach większość takiego ruchomego inwentarza „zaśmiecającego” mieszkania dostawała się do anty-

kwarni, skąd zbieracze i biblioteki wyławiały nie-
raz unikaty i rzeczy cenne.

Przy tej sposobności stwierdzić muszę nieza-
przeczoną zasługę naszych domorosłych antykwaria-
riuszów ze Świętokrzyskiej i innych ulic, bo bez
nich doszczętnie może zmarniałoby wiele bibliotek
prywatnych. Gdy po r. 1918 jako wizytator szkół
średnich zwiedzałem różne miasta nasze (Siedlce,
Biała, Lublin, Płock, Włocławek, Kielce, Białystok,
Grodno — wymieniam tylko większe ośrodki),
wdrożony nałogowo — jak pijak do szynków — do
wałęsania się po antykwarniach, nie mogłem nigdzie
zaspokoić pragnienia, gdyż w żadnym z tych miast
antykwariatów nie spotkałem. Były tylko księgar-
nie i księgarenki, które obok rzeczy nowych trzy-
mały jedynie szkolne używane podręczniki. Gdy
pytałem, co się dzieje w tych miastach ze zbiorami
książek starych, odpowiadano mi, że idą jako
makulatura na torebki i do obwijania śledzi, chyba
że zjawi się antykwariusz z Warszawy. Powstające
biblioteki publiczne prowincjonalne ratowały od za-
głady wiele książek. Tu wymienię wyjątkową ener-
gię, umiejętność i niestrudzony zapał, a może
i szczęście p. Haliny Rutskiej, kustoszki, a właści-
wie twórczyni zbiorów Towarzystwa Naukowego
Płockiego, która przedziwnie wydobywała książki,
rękopisy i inne pamiątki naszej przeszłości z prze-
różnych lamusów i zakamarków.

Los książki w Polsce, powiedzmy prawdę, był
do ostatnich nieomal czasów oplakany. Pomijam ży-
wiolowe katastrofy (wojny i b. częste pożary), po-
mijam częste rabunki i niszczycielskie instynkty da-
wnych i świeżych najeźdźców. Ileż to cennych rze-
czy zaprzepaściliśmy przez brak pietyzmu, posza-
nowania i rozumienia wartości książki. Jeżeli w do-
mach tzw. inteligentów do rzadkości należy dobra-
na biblioteka domowa, w której można by znaleźć

choćby arcydzieła ojczystej literatury, to cóż tu mówić o innych warstwach narodu? O książki w Polsce nie dbano. Dość przyjrzeć się stanowi przeciętnej, nieco starszej książki. Oprawa zniszczona lub fatalna, kartki noszą ślady brudnych palców i początków nauki rysowania i pisania najmłodszej generacji; często badania chemiczne resztek jadła i napojów utrwalonych na dawnych drukach mogłyby powiedzieć, czym odżywiali się właściciele książek; wydarte karty na początku i na końcu szły na papiloty i inny użytek.

Stara książka polska w dobrym stanie należy do wielkich rzadkości i jeżeli się taką spotyka, pochodzi ona z antykwariatów zagranicznych, ze zbiorów tak zakonspirowanych, że nikt nie miał do nich dostępu, albo ze zbiorów niewielkiej w Polsce gromadki prawdziwych bibliofilów. U nas np. prawie nie znamy snobistycznego może nieco zamiłowania do pierwszych wydań. Za granicą ceny tych rzeczy dochodzą do okazałych sum pod tym niezbędnym warunkiem, że okazy muszą być świetnie zachowane. Mam to przekonanie, że gdy u nas przyjdzie czas na tego rodzaju upodobania, ceny naszych pierwodruków będą bająnskie, jeżeli będzie brany pod uwagę ów niezbędny warunek niepokalanego stanu. Z doświadczenia powiem, że hołdując nieco tej snobistyczno-bibliofilskiej żyłce, musiałem wielokrotnie wymieniać egzemplarze pierwszych wydań Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, a nawet Sienkiewicza i Wyspiańskiego i nie mogę powiedzieć, żeby mój zbiór był bez poważnych zarzutów co do stanu niektórych egzemplarzy. Dzięki dobrym stosunkom z antykwariuszami wymiana okazów na lepsze nic mnie nie kosztowała. Właściwie dopiero po wojnie 1914 r. oprawa książki wpływała na podniesienie w antykwarniach ceny, a zachowanie książki prawie nie było brane pod uwagę. Dziwili

się niektórzy sprzedawcy, że wymieniałem u nich książki w oprawie na nieoprawne.

Wracając do antykwarni i antykwariuszów warszawskich, muszę zaznaczyć, że były wśród nich nieliczne wyjątki, które odbijały od charakterystyki ogólnej właścicieli i sklepów, przedstawiającej niski ich stan. Z biegiem czasu, szczególnie od wskrzeszenia państwa naszego, warunki poprawiły się pod wielu względami. Znikać zaczęły niechlujne sklepy, których właściciele ze Świętokrzyskiej przenosili się na Elektorálną, Żelazną, Nowiniarską i inne ulice. Konkurencja i większe wymagania publiczności zmuszały antykwariuszów do uporządkowania zasobów książkowych, do ich spisywania, a nawet drukowania katalogów antykwarskich. Wytwarzać się zaczęła nawet specjalizacja: część handlowała prawie wyłącznie książkami szkolnymi, inni rozprzedawali resztki nakładów, a byli i tacy, którzy mieli aspiracje do prowadzenia handlu książkami treści naukowej. Młodsze pokolenie pod względem przygotowania umysłowego stało wyżej od dziadków i ojców, często jednak odznaczało się arogancją i niegrzecznością wobec klientów. Antykwariusze starszego pokolenia byli z nader nielicznymi wyjątkami chasydami, chodzili w długich chałatach i specjalnego kroju czapkach, nosili długie brody i solennie obchodzili soboty i święta żydowskie. Młodsze pokolenie porzucało strój tradycyjny, a gdy sejm uchwalił całkowite świętowanie niedziel, zaczęło otwierać sklepy w soboty.

Antykwariusze warszawscy ze Świętokrzyskiej był to rozrastający się klan kilku rodzin: Salcsteinów, Rosenweinów, Rubinsteinów, Kleinsingerów, Baumkolerów, Millerów. Inne nazwiska, znane zbieraczom, należały do tych, co przyżeniali się do patrycjatu, np. Fiszler ożenił się z Kleinsingerówną. Homines novi — to Jabłonko, Przeworski, Jonasz

i kilka mniej znanych. Pamiętam 15 Rubinsteinów, 10 Salcsteinów, 8 Kleinsingerów, 4 Millerów i kilku Baumkolerów. Do najstarszych może nazwisk należy nazwisko Salcsteinów. O Geclu Salcsteinie, który mieszkał w kamienicy pod Łabędziem na Mariensztacie, pisał we wspomnieniach z początku 19-go wieku K. Wł. Wóycicki. Gecel ów miał być wybitnym antykwariuszem, choć nie umiał czytać po polsku.

Tyle czasu i energii mojej łączy mię z tą dość liczną gromadą ludzi, że gdy teraz sięgam pamięcią do przeszłości, nie mogę się oprzeć chęci utrwalenia tych wspomnień i przedstawienia w szeregu zdjęć migawkowych najtypowszych postaci. Z drugiej strony długie lata stałych stosunków, zwłaszcza ze starszymi przedstawicielami firm, wytworzyło między nami zażyłość, czasami nawet serdeczność. Kto wie, czy bez pomocy, przychylności i specjalnych dla mnie z ich strony względów mógłbym był dojść do poważnych rezultatów w moich zbiorach. W moich oczach rosło młode pokolenie, które do mnie się przyzwyczało i ze mną liczyło. Często na prośbę rodziców karciełem młodych za ich arogancję względem klientów. Przychylny stosunek antykwariuszów szalenie ułatwiał mi kolekcjonowanie.

Korzystałem z szeregu przywilejów. Pierwszy oglądałem większe nabywane biblioteki; antykwariusze wędrowni przynosili mi do domu książki; otrzymywałem szczotkowe odbicia drukujących się katalogów; nie traciłem czasu na sprawdzanie całości egzemplarzy, gdyż świadomie żaden antykwariusz, największy nawet krętacz defektu mi nie sprzedał, a gdy w domu spostrzegłem braki, nawet po upływie dłuższego czasu sprzedawca zamieniał mi egzemplarz lub zwracał pieniądze. Dla mnie odkładano wszelkie mickiewicziana. Kulturalniejsi

antykwariusze orientowali się w tym, co zbieram, i odkładali dla mnie tego rodzaju rzeczy, a ogół pokazywał mi wszelkie starsze druki świeżo nabywane. Największym ułatwieniem było to, że przyzwyczajeni w przeciągu długich lat do niższych cen dla mnie, normę tę stosowali i później. Dziwiło to i irytowało niektórych zbieraczy. Na pytanie, dlaczego mnie sprzedają książki taniej, otrzymywali od antykwariszów odpowiedź, że „mają do p. profesora słabość”.

Muszę zaznaczyć, że i mój stosunek do antykwariszów cechowała życzliwość i wyświadczałem im pewne usługi. Byłem ich cenzorem, to znaczy, że pokazywali mi drukowane nie w zaborze rosyjskim książki. Stosownie do mojej opinii spokojnie umieszczali na widoku rzeczy dozwolone lub skrzętnie chowali je przed urzędowymi inspektorami. Ponieważ nieświadomością nie można było się tłumaczyć, znalezienie nielegalnej książki groziło zamknięciem sklepu, zwykle jednak sprawa kończyła się na łapówce. Na tym cenzurowaniu książek dobrze wychodziłem, gdyż wyławiałem dla siebie potrzebne mi rzeczy, o które było bardzo trudno w pierwszej fazie mojego kolekcjonerstwa. Gdy wśród starych książek, które dla mnie odkładano, niektórych nie nabywałem, pytano mię o ich wartość. Oceniałem te rzeczy ku wielkiemu niezadowoleniu innych zbieraczy.

Przytoczę parę faktów ilustrujących stosunek antykwariszów do mej osoby. Gdy siostra moja nabyła dla siebie szereg książek i po ich zapakowaniu powiedziała sprzedawcy o pokrewieństwie ze mną, paczka zniknęła, egzemplarze zostały wymienione na lepsze i kupiec samorzutnie obniżył cenę. Zbierałem iudaica. Otóż zdarzyło się, że jeden z antykwariszów, gorliwy chasyd, gdy wszedłem do sklepu, wyjął ze schówki i pokazał mi antysemitkę

broszurę. Gdy usłyszał, że mam ten utwór, ku wielkiemu memu zdziwieniu podarł książeczkę z widoczną satysfakcją i powiedział, że nie będzie sprzedawał antysemickich rzeczy. Zapytany, dlaczego mnie chciał sprzedać, oświadczył, że nie uważa mnie za wroga Żydów.

Kolekcjonowanie książek starszych, zarówno jak wszelkich „antyków”, pod wielu względami przypomina myślistwo. Wyprawy, tropienie, podchody, pułapki, trawy, szczęście etc. oto, co upodobnia zbieracza do myśliwego. I jak pasja myśliwska ponosi często ludzi i zmusza ich do zabijania zwierzyny ponad potrzebę i miarę, tak i zbieracz pasjonuje się często ponad potrzebę i możliwość. Nie mówię tu o patologicznych objawach, o maniakach, którzy gromadzą sterty, bez wyboru i myśli, nie zaglądając do treści posiadanych rzeczy. Często w praktyce swojej miałem możliwość przeglądać podobne zbiory po śmierci właścicieli i wyławiać czasami prawdziwe perły spośród istnych śmieci.

Wśród tych spraw „myśliwskich”, jakie rozpocząłem w życiu mym wcześniej i uprawiałem stale i systematycznie, wyrobiłem się na niezgorszego łowcę, stopniowo przyswajając sobie wszelkie arka-na sztuki łowieckiej. Nieustanne przeglądanie mnóstwa książek rozszerzało i pogłębiało we mnie znajomość dorobku piśmiennictwa polskiego nie tylko w zakresie humanistyki. Niezwykle chłonna pamięć, szczególnie wzrokowa, pozwalała mi z ogromną szybkością odrzucać rzeczy znane, wybierać rzeczy potrzebne, nie gromadzić dubletów. Mogłem z biegiem czasu zwracać najwięcej uwagi na książki, które pierwszy raz miałem w ręku. Dzięki temu doszedłem do niezłej znajomości starych druków, a wobec małej kompetencji „moich przyjaciół” nabywałem najrzadsze i najcenniejsze rzeczy często za

psie pieniądze. Szybko decydowałem się, co kupić a co odrzucić, jeżeli cena była duża. Gdy natrafiałem na rzecz arcyrzadką, której nie spodziewałem się spotkać drugi raz w życiu, nie wypuszczałem zdobyczy z rąk. Natomiast orientując się w popycie na książki, sam nakładałem na niektóre rzeczy cenę i żartobliwie zapowiadałem, że następnym razem obniżę cenę. Przeważnie polityka ta odnosiła skutek. Stosunki z niektórymi antykwariuszami tak się ułożyły, że nakładali ceny, na które się łatwo godziłem i kupno dochodziło do skutku bez targu. Natomiast trzeba było koniecznie targować się z kupcem, nawet gdy podawał cenę niską, bo w przeciwnym razie sądził, że się oszukał i pod różnymi pozorami odkładał sprzedaż książki.

W ogóle z głupcami i chytrymi musiałem chwytac się innych sposobów. Niektórym zdawało się, że wszystko, co wybieram, musi być rzadkie i cenne. Żądali też nieraz śmiesznie wysokich sum lub twierdzili, że to komis, że właściciel nie podał jeszcze ceny i proponowali, abym sam ocenił książkę. Mówiłem wtedy, że przez długie obcowanie z Żydami nauczyłem się od nich wielu rzeczy, między innymi tego, że nigdy nie chcą podawać ceny książki, jeżeli ją przynosi ktoś na sprzedaż. Dziwna, dla zbieraczy zrozumiała będzie przyjemność, gdy udawało się nabyć za bezcen jakiś rarytas. Podnosiło to w oczach zbieracza wartość nabytku i takimi trofeami chętnie popisывał się wśród komiltonów, niczym myśliwy z wyczynów łowczych. Przeważnie też zbieracze jak i myśliwi koloryzowali mocno w sprawie niskich cen.

Umiałem panować nad sobą i z mojej twarzy lub z ruchów żaden antykwariusz nie mógł wyczytać, czy palę się do książki. Przeciwnie, żart w rodzaju: „Co mam dać za te łachy?” — wywoływał lekki protest, ale obniżał skutecznie cenę. Obawia-

jąc się nieraz, aby głuptasowi nie przyszło do głowy twierdzić, że to jest rzecz komisowa, jeszcze bez ustalonej ceny, używałem z powodzeniem takiej sztuczki: Brałem parę druczków bezwartościowych, o czym kupiec wiedział, i do tego dołączałem rzadkość. Antykwariusz uogólniał, płaciłem drobną kwotę, wyrzucałem do kosza makulaturę, a cenna rzecz powiększała moje zbiory. W ten sposób nabyłem np. *Hamleta*, arcyrzadki druczek minikowiecki.

Najlepiej było kupować książki w większej ilości, zwłaszcza gdy antykwariusz nabywał nowy zbiór. Kupcowi chodziło o zdobycie większej sumy i wycofanie kapitału obrotowego, a z drugiej strony rzadkie książki w gromadzie uchodziły uwadze sprzedawcy. Bywało i tak, że chcąc wypróbować, czy handlarz choć cokolwiek zna się na starych drukach, gromadziłem ich kilkanaście i zmieniając umyślnie po kilka razy ich miejsce pytałem o cenę. Za jedną i tę samą książkę słyszałem ceny znacznie się nieraz różniące i wtedy oczywiście nabywałem druk za cenę najniższą z podanych.

Kilka razy udawał się tego rodzaju chwyt, który musiałem stosować do antykwariuszów głupio przemądrzałych i lubiących klientów obdzierać ze skóry. Odkładałem umyślnie dużo książek. Notowałem z całym spokojem wysokie ceny, sumowałem i oświadczałem w końcu, że ceny są zbyt wysokie, że nie rozporządzam taką gotówką i rozpoczynałem rozmowę na inny temat. Po pewnym czasie zabierałem się do opuszczenia sklepu, z góry przewidując, co będzie. Rzeczywiście, antykwariusz zatrzymywał mię i ze słowami: „Jak to, pan profesor dziś nic nie kupi?” — proponował, aby nabyć choć kilka rzeczy. Rybka haczyk połknęła. Wyławiałem rzeczy arcyrzadkie, o które mi właśnie chodziło, potargowaliśmy się i górą nasi! Pamiętam, jaką to spr-

wiło mi przyjemność, że w ten sposób podszedłem znanego zdziercę, nabywając *Słownik Miklosiáca*, dzieło Baudouina de Courtenay *O języku staropolskim* i kilka jeszcze innych cennych i drogich rzeczy. Gdy po kilku dniach zawitałem do antykwarni, dowiedziałem się od chytrego właściciela, że na jutro po opisanym kupnie zapytał prof. Kryńskiego, który zaszedł do sklepu, o wartość nabytych przeze mnie książek. Ten podał mu cenę, zresztą znacznie jeszcze wyższą od cen katalogów zagranicznych, a dowiedziawszy się, kto był nabywcą, pocieszył antykwariusza ze zwykłym sobie spokojem, że książki dostały się w dobre ręce. Pocieszałem go i ja twierdząc, że musi się pogodzić z tym, iż jako niezły znawca książek pobiję nawet takich jak on szczerwanych. Zresztą i po tym incydencie stosunki między nami były dobre.

Jeden ze starszych antykwariuszów, znajdujący się nieźle na dawnych drukach, stosował względem mnie i innych tego rodzaju sposób. Z. Wolskiemu, I. Chrzanowskiemu, G. Korbutowi mówił, że chce kupić pewien druk, ale nie mam na razie pieniędzy; mnie znów twierdził, że któryś z wymienionych chce tę rzecz nabyć, lecz musi sprawdzić, czy nie ma już egzemplarza w swojej bibliotece. Nie przewidział pocziwiec, żeśmy o tym jego dowcipie dowiedzieli się z rozmów między sobą i umówiliśmy się, aby, gdy druk nie jest któremu z nas potrzebny, stwierdzał to inicjałami swego nazwiska nieznacznie ołówkiem na ostatniej stronicy. W ten sposób udaremniliśmy podstęp antykwariusza.

Istniały też pewne przesady kupieckie, których znajomość ułatwiała nabywanie książek po tańszej cenie. Do takich np. przesądów należało nie wypuszczać bez towaru kupca, który wchodził zaraz po otwarciu sklepu pierwszy, a zwłaszcza po szabasię, bo od tego rzekomo miał zależeć obrót dnia lub

tygodnia. Niektórzy antykwariusze mieli zwyczaj notować na okładkach książki, za jaką kwotę nabywali egzemplarz i to pozwalało subiekptom czy rodzinie kupca orientować się przy sprzedaży. Z łatwością odczytywałem te bardzo proste szyfry i to znów pomagało mi przy nabywaniu.



Z pokaźnej liczby antykwaryuszków, z jakimi miałem do czynienia w przeciągu tak długiego czasu, postaram się odtworzyć z pamięci mojej sylwetki niektórych.

Zacznę od Szymona Rubinsteina z ulicy Brackiej, od którego rozpocząłem moje wędrówki. Antykwaryusz ten, bardzo pobożny chasyd, którego postać wylania się z moich wspomnień najczęściej w pozie modlitewnej, jeden z pierwszych wydał katalog antykwarski i jak już wspominałem, sprowadził z Krakowa nakład Biblioteki Pisarzy Polskich Turowskiego, zawierającej przedruki pisarzy naszych głównie z 16-go i 17-go wieku. Nabył on jedną z największych i najcenniejszych bibliotek, jakie za mojej pamięci znalazły się w handlu antykwarskim. Wielki zbiór pieczołowicie i umiejętnie zbierany w ciągu wielu lat przez Celińskiego z Cekowa po śmierci właściciela jakiś starozakonny, prawdopodobnie wierzyciel, sprowadził na drabiniastych wozach do Warszawy. Część zbioru rozeszła się po kilku antykwarniach. Przeważną część S. Rubinstein umieścił w wynajętym pokoju przy ulicy Brackiej, gdzie zbieracze zaczęli się grzebać w stertach książek rozrzuconych na ziemi lub półkach. Byłem wtedy studentem, jeszcze żółtodziobem jako zbieracz. Rubin-

stein dawał mi klucze od tego pokoju i pozwalał wyszukiwać dla siebie książki. Palilem się wtedy do klasyków łacińskich i polsko-łacińskich; polskie utwory były na drugim planie. Z tego zbioru przeszły do mojego dzieła Janickiego, Dantyszka i innych. Sądziłem naiwnie, że ktoś ze zbieraczy włoży te rzeczy. Gdybym miał znajomość rzeczy i doświadczenie późniejsze, ileżbym wyłusknął druków staropolskich za tani pieniądz. Z tej biblioteki pochodzi w moim zbiorze sporo utworów dramatycznych wieku XVIII-go, dzieła łacińskie A. M. Fredry, Olizarowskiego, Orzechowskiego, a z polskich rzadki *Władysław IV* S. Twardowskiego i *Wojna domowa*. Dotąd zapomnieć nie mogę o komplecie pięknie zachowanego „Monitora”, którego nie udało mi się zebrać w całości. Obłowili się wówczas starsi i mądrzejsi ode mnie zbieracze: adwokat Leopold Świdorski, Wiktor Gomulicki, który poza drukami staropolskimi wydobył stamtąd jedno z pierwszych wydań Dantego i cenny zbiór Danteanów.

S. Rubinstein jakoś nie umiał czy nie chciał wdrażać synów do handlu książkami. Gdy się posuwał w latach, sklep pustoszał, Turowski znikał, nowych rzeczy nie przybywało i w końcu trzeba było opuścić sklep z powodu zaległego komornego. Zachodziłem czasami do starego Szymona, który ulokował się u jednego z synów, uczonego, podobno rabina ortodoksa. Tam Rubinstein Szymon miał składzik książek i na starość stoczył się z pozycji znanego antykwariusza do rzędu wędrownych. Wizyty i rozmowy ze mną sprawiały widocznie przyjemność starcowi, bo przypominały mu dawne lepsze czasy.

Szymon miał kilku braci również parających się antykwarstwem. Jeden z nich miał kramik przy placu Krasińskich i należał do tych osobliwych kupców, którzy długie lata handlowali książkami

nie umiejąc czytać po polsku. Drugim osobliwym przymiotem owego antykwariusza było to, że lubił zaglądać do kieliszka, co na ogół rzadko się zdarza wśród Żydów. Miał on kilku synów poświęcających się również handlowi książkami. Jeden z nich miał cherylawę, z suchą rączką miał sklep przy ulicy Elektorальной. Podtrzymywał on chyba świadomie i pieczołowicie tradycje dawnych antykwarni, trudno bowiem było spotkać równie fenomenalny nieład i brud, jaki tam panował. Ten wyjątkowy brzydali i brudas kilkakrotnie żenił się i rozwodził, i nie mogłem wyjść z podziwu, co pociągało do niego kobiety młode i niebrzydkie.

Drugi syn Abram człowiek wielkiej uczciwości, zaczął karierę jako wędrowny antykwariusz. Po wojnie światowej w jakiś sposób nawiązał stosunki z Ameryką i Rosją, skupując w Warszawie i na prowincji książki żydowskie i rosyjskie, szczególnie podręczniki szkolne. Dorobił się na tym handlu i uchodził przez pewien czas za zamożnego wśród przeważnie biednych kupców tej branży. Dobroć serca, jak mi mówiono, spowodowała, że pożyczanie pieniędzy, wspomaganie biednych współwyznawców, wyprawianie biesiad dla znajomych zrobiły z zamożnego człowieka znów biedaka, który do ostatnich czasów miał nędzny sklepik przy ul. Nowiniarskiej. Bardzo lubiłem tego znanego mi od dziecka antykwariusza.

Drugi brat Szymona Rubinsteina był antykwariuszem—chodzikiem. O nim mówiono, że zaprzepaścił mnóstwo książek, sprzedając je zaraz po nabyciu na makulaturę. On też nie umiał czytać po polsku. Do mnie zajeżdżał nieraz dorożką z nabytym towarem, często bezwartościowym. Stale zwracałem mu kosztą podróży, choćbym nic nie kupił. Dwaj jego synowie, również analfabeci, odznaczali się niezwykłym humorem, długie lata byli

dostawcami do antykwarni książek nabywanych podczas wycieczek podwórzowych po kamienicach warszawskich.

Dwóch jeszcze Rubinsteinów z tej samej rodziny pamiętam. Przy Świętokrzyskiej w jednopiętrowym domku, gdzie później wybudowano okazałe gmachy PKO, miał antykwarenkę Rubinstein, zwany pospolicie Rudym. Był to wyjątkowo uczciwy człowiek. Obarczony liczną rodziną biedak ten nigdy nie kupował książek od małoletnich. Widocznie ta jego uczciwość ściągała do niego „handelesów” z workami książek. Często zachodziłem do niego, bo wyprzedawał nabytki szybko i tanio. U niego wśród makulatury przeznaczonej na owijanie śledzi wyłowilem niezmiernie rzadkie *Dziady* i *Księgi Pielgrzymstwa*, litografowane za czasów Mikołaja I przez studentów Polaków w Moskwie czy Kijowie. Budowa PKO doprowadziła Rudego do zupełnej ruiny: nie miał za co wynająć sklepu i sprzedawał książki na ulicach w dzielnicy żydowskiej.

Inny Rubinstein, zwany pospolicie „Ząbalem”, roznosił w ciągu wielu lat książki po mieszkaniach zbieraczy i antykwarniach. Jak się znał i orientował, świadczy choćby taki fakt. Dałem mu kartkę z dezyderatami. Otóż przyszedł po pewnym czasie z książkami do Z. Wolskiego, pokazał mu mój spis i pytał, czy nie ma czegoś z tych rzeczy w swych dubletach. Właśnie w przyniesionej do Wolskiego paczce było kilka z poszukiwanych przeze mnie rzeczy. Oczywiście, pan Zygmunt nabył te rzeczy i nazajutrz ofiarował mi je do zbiorów.

Najstarszym może wśród antykwariuszów warszawskich był ród Salcsteinów. Głową tego rodu za mojej pamięci był właściciel sklepu przy ulicy Ordynackiej, skąd potomkowie jego wyszli na Świętokrzyską i z biegiem czasu sprzeniewierzali się rodzinnym tradycjom, porzucali handel książkami

i kupczyli antykami. Senior rodu nosił wśród współrodaków wymowny przydomek „Ganew” (złodziej). Opowiadali mi, że chałat jego posiadał szereg ukrytych kieszeni, gdzie chował zabrane na pamiątkę książki, gdy w różnych domach bywał w celu nabywania bibliotek. Potomkowie jego, jak zaznaczyłem, zaczęli handlować antykami. Do czasu ostatniej wojny na Świętokrzyskiej tuż przy Nowym Świecie miała p.f. „Stera” sklep ze starożytnościami znana z bujnego życia, piękna w młodości Estera, córka „Ganewa”. Syn a później wnuczkiwie prowadzili handel antykami również na Świętokrzyskiej w pobliżu Jasnej.

Przykład działał widocznie zaraźliwie, bo z biegiem czasu potomkowie księgarzy (różni Kleinsingerowie, Zające i inni) przekształcili się na dostawców naiwnym zbieraczom antyków bardzo świeżego pochodzenia. Zbieranie ikonografii Mickiewiczowskiej i medalionów dało mi możliwość poznać i ten świat antykwariuszów. Bagno i Świętokrzyska między Bagnem a Marszałkowską były za mojej pamięci pierwotnie gniazdem handlarzy antykami. Przedtem widocznie, jak sąsiedztwo wskazuje, pobliski Pociejów, rumowisko wszelkiego rodzaju szmelcu i starzyzny, ratował różne „antyki” od zupełnej zagłady. Do ostatnich czasów można było tam znaleźć czasami cenne okazy starych mebli. Inne rzeczy z Pocijowa zaczęły przechodzić do odpowiedniejszych pomieszczeń w sklepach w wymienionych punktach, a następnie, ulegając prawom ewolucji, dawniejsze rupieciarnie przybierały inny wygląd.

Pamiętam np. dobrze pierwotną siedzibę firmy Abego Gutnajera, jednego z wielu tego nazwiska kupczących antykami. Był to sklepik przy ul. Wielkiej czy Zielnej tuż przy Świętokrzyskiej, zachowujący dużo jeszcze śladów tradycji pocijow-

skiej. Gdy po upływie wielu lat byłem przy ulicy Mazowieckiej na wystawie pięknych obrazów Chełmońskiego, Gierymskich, Malczewskiego i innych malarzy ze zbioru zakupionego przez A. Gutnajera po Milewskim, gdy chodziłem po pięknie udekorowanych dywanami salach, nie przychodziło mi na myśl, że jestem świadkiem niezwykłego rozkwitu firmy. Dopiero zjawienie się okazałej mamy Gutnajerowej i rozmowa z tą dobrą znajomą wyjaśniły mi sprawę.

Muszę powiedzieć, że moje spostrzeżenia i doświadczenia z wędrowek po sklepach z antykami stwierdziły niski poziom znajomości rzeczy i wśród tych handlowców. Popyt na antyki wzrastał i kurczyła się ilość prawdziwych. Jak mogłem zauważyć, zbieraczami antyków byli często ludzie o małym znawstwie, różnego gatunku zamożne snoby, przeważnie Żydzi. W sklepach i na wystawach sklepowych pełno było okazów „starych” mebli, tryskało jakieś niewysychające źródło miniatur, przyciągały oczy piękne wazony i inne okazy „starej” porcelany. Pytałem, skąd biorą się te „nowiutkie antyki”. Znajomi i życzliwi antykwariusze w zaufaniu odpowiadali: „Cóż mamy robić? Pełno jest amatorów, trzeba żyć i zadowolić klientów”. Istniała w Warszawie wytwórnia miniatur i stolarnie wypuszczające stylowe meble, a porcelanę antyczną sprowadzano głównie z Wiednia.

Z rzadka, ale i w tych przybytkach spotykałem potrzebne mi rzeczy i tu również trzeba było używać różnych sztuczek, gdyż ten rodzaj antykwariuszów szczególnie lubił nakładać duże ceny, a to z tego względu, że przeważnie miał do czynienia z bogatymi snobami. Pamiętam np., że gdy wstąpiłem do jednego ze sklepów i rzuciłem zwykłe pytanie, co jest nowego dla mnie, spostrzegłem w kącie oparty o ścianę portret Zana roboty Rustema

czy kogoś z jego szkoły. Usiadłem z całym spokojem, kazałem sobie pokazać kilka bohomazów; później sam wziąłem do ręki Zana, obejrzałem go i przeszedłszy do innych rzeczy znienacka zapytałem, kogo przedstawia ten obraz i kto go malował. Upewniwszy się, że właściciel nie ma o tym pojęcia, spytałem, co kosztuje to malowidło. Usłyszałem cenę względnie niewielką, ale trzeba było polargować się dla zasady. Mówię tedy:

„Nie wie pan, kto to i czyjego jest pędzla, a dużo pan żąda”.

— „Tak, ale to przodek, proszę p. profesora”.

— „Co takiego?”

— „Widzi pan, gdyby to był Mickiewicz, to oprócz pana nie byłoby na niego amatora, ale często przychodzą do mnie ludzie, którzy szukają takich nieznanymi portretów, płacą dobrze i wieszają u siebie w salonie jako przodków. Ten portret, który pan chce nabyć, jest z felerem, bo osoba nie ma kontusza, munduru i orderów. Gdyby miał te rzeczy, kosztowałby dużo jako poszukiwany przodek”.

Uśmieliśmy się, a Zan uniknąwszy losu przodka powędrował do moich zbiorów. Niestety, był na wystawie Słowackiego w Krzemieńcu w 1939 i tam ugrzązł.

Po tej zbyt długiej moze dygresji wracam do Salcsteinów. Wielkim moim przyjacielem jeszcze w czasach gimnazjalnych był staruszek Fajwel Salcstein z ulicy Zimnej, biedak, jak wielu antykwariuszów na starość. Często wpadałem do niego na pogawędkę (mieszkałem wtedy przy ul. Chłodnej) i lubiłem słuchać opowiadań starca o dawnych zbieraczach, o znanych pisarzach i uczonych. Poczciwy Fajwel przypominał mi księgarza wileńskiego Kinkulkina, uwiecznionego przez Syrokomlę. Gdy z Chłodnej przenosiłem się na nową kondycję na ul. Leopoldyny (obecnie Emilii Plater), stary Faj-

wel przewoził mi pokaźny jak na studenta II-go kursu zbiór książek i rozmieścił go na półkach w nowym mieszkaniu podczas mojej nieobecności ku wielkiemu zdziwieniu moich nowych chlebobawców, którzy pojąć nie mogli, że nie obawiałem się, aby część książek zniknęła w czasie przewożenia.

W czasie gdy mieszkałem na Chłodnej, były dwie antykwarnie przy Elektoralnej w okolicach Orlej. W jednej z nich pracował jako subiekt Miller, o którym później powiem. Wysoce oryginalną postacią był drugi antykwariusz, Klepfisz. Lubił on zatrzymywać klientów, zwłaszcza starszych uczniów i studentów, i wdawał się z nimi w dłuższe dysputy na tematy filozoficzne i religijne. Wyćwiczony na subtelnosciach Talmudu interesował się zagadnieniami metafizycznymi. Ponieważ Klepfisz handlował przeważnie szkolnymi książkami, po wyprowadzeniu się z tamtych okolic straciłem go z oczu i ze zdziwieniem dowiedziałem się w parę lat później, że się powiesił, nie wiadomo z jakich powodów.

Bardzo lubiłem noszącego się krótko Hermansztata z ulicy Jasnej. Odznaczał się pogodnym usposobieniem, nie znał się na książkach pomimo długoletniej praktyki antykwarskiej, sprzedawał tanio i lubił pogawędki, posilając się w międzyczasie bułkami. W mojej pamięci utrwaliła się postać dobrodusznego księgarza stale zajadającego pieczywo. Ożenił się H. z osobą pochodzącą z wyższej pod względem kulturalnym warstwy żydowskiej i cierpliwie znosił jej humory. W sklepie wtrącała się do kupna, besztala męża, a klientom nieraz się dostawało. Po nagłej śmierci męża prowadziła dalej sklep z pomocą córek. Mnie jakoś Hermansztatowa poważała i nigdy nie doznałem z jej strony najmniejszej przykrości.

nić za ich stosunek do klientów, a czasami nawet za odezwanie się do mnie. Wyjątkiem była najstarsza, bardzo podobna z rysów i usposobienia do ojca. Wyszła za mąż i prowadziła wraz z mężem i po jego śmierci handel książkami przy rogu placu 3 Krzyży i Żórawiej. Nigdy chyba nie zapomnę tej sceny, gdy w ostatnim dniu, w którym wolno było wchodzić do utworzonego przez Niemców getta, szedłem z żoną na Leszno pożegnać się z zaprzyjaźnioną z nami rodziną żydowskiego pochodzenia. Nagle na ulicy Rymarskiej ku wielkiemu zdziwieniu mojej żony z tłumu rzuca się z wielkim płaczem na moją szyję jakaś niewiasta. Była to właśnie ta najstarsza córka Hermansztata, która znając mnie od dziecka wypłakała się i wypowiedziała nam swoje cierpienia i przeczucia.

Na Świętokrzyskiej naprzeciwko ul. Czackiego (wówczas Włodzimierskiej) był sklep antykwariusza Brojdy. Pamiętam dobrze owego przysadkowatego kupca w stroju europejskim, wysiadującego przeważnie na ulicy przed sklepem. Cały ten sklep przedstawiał wysoce oryginalny widok: od góry do dołu piętrzyły się powiązane paczki książek i w końcu zajęły tyle miejsca, że właściciel z nadzwyczajną trudnością przekopywał się między tymi stertami. Doszło do tego, że zbrakło miejsca dla niego samego i stąd powstało wysiadywanie przed sklepem. Zapytywany, czy ma coś dla mnie, obiecywał wyszukać, ale nigdy tego nie wykonał. Po śmierci tego antykwariusza gromadka wynajętych przez spadkobierców młodych praktykantów księgarskich, skończonych osłów, pewnych siebie, pozostawiła znane sobie książki szkolne i popularną beletrystykę, natomiast przeważającą ilościowo część nagromadzonej spuścizny tak szybko sprzedawała na makulaturę, że nikt ze zbieraczy nie mógł uratować cennych rzeczy, których tam pew-

nie było dużo. Brojdo, jak mogłem sądzić z rozmów z nim, znał się na książkach lepiej od wielu antykwariuszów. Często później straszylem niechlujnych księgarzy losem Brojdy, zachęcając ich do segregowania książek i usuwania makulatury.

Wśród starszego pokolenia warszawskich antykwariuszów wyróżniał się znawstwem Chaim Rosenwein, mający sklep przy ul. Mazowieckiej tuż przy Świętokrzyskiej. Nie handlował on książkami szkolnymi i nie lubił młodocianych klientów. Doświadczyłem tego na sobie, gdy jako uczeń zaszedłem do niego. Przyjął mnie tak niezachęcająco, że odechciało mi się narażać na traktowanie jako natręta. Dopiero później już jako student i to wprowadzony i polecony przez Z. Wolskiego zacząłem być obsługiwany coraz zyczliwiej przez zgryźliwego z natury antykwariusza. Nigdy w ciągu długich z nim stosunków nie widziałem w jego sklepie wysiadujących członków rodziny, co było stałym zjawiskiem w innych sklepach i narażało na zgola niepotrzebne incydenty z arogantkim z natury młodym pokoleniem. Do sklepu Rosenweina ktoś z rodziny przynosił obiad i zaraz znikał.

Antykwariusz ten wyspecjalizował się w handlu starszymi drukami, przeważnie z dziedziny humanistyki. Wiedział, co posiada i co podsunąć stałym klientom. Lubiał z nimi gawędzić, a była to rzeczywiście ówczesna elita. U Rosenweina często wieczorami spotykali się uczeni i zbieracze, omawiali różne sprawy książkowe, obgadywali bliźnich i opowiadali sobie tłuste kawały. Byłem dumny, że uczestniczyłem w tych sui generis najdawniejszych zebraniach bibliofilskich w takim gronie, jak Z. Wolski, Smoleński, Chrzanowski, Korbut, ks. Niedzielski, bibliotekarz seminarium diecezjalnego, i kilku innych.

W tych wieczornych pogawędkach przewijały się charakterystyczne szczegóły z obyczajów głośnych naszych bibliofilów i zbieraczy. Utkwiła w mojej pamięci opowieść o Dembowski, wielkim hulace, który posiadał przedziwny dar wynajdywania arcyrzadkich druków i rękopisów, spieniężanych później w bibliotekach i antykwarniach. Przed wyprawą na łowy Dembowski, odziany w płaszcz z okazałą ilością głębokich kieszeni, składał wizyty kierownikom bibliotek i antykwariuszom i brał zaliczki na koszty podróży. Zaopatrywał się, niczym kramarz wędrowny, w przeróżne towary z myślą o wymianie. Był to kram zaiste przedziwnego nabożeństwa: święte i zgoła nie święte obrazki, dewocjonalia, talie kart, butelki z różnymi nalewkami i markami wina, nabożne książki etc. Z tymi zasobami wyruszał na pozycje z góry upatrzone i zdobywszy przemyślnie wiadomości o obyczajach i upodobaniach proboszczów czy przeorów przypuszczał szturm do miejsc, gdzie w zakamarkach pokryte warstwami kurzu spoczywały specjały dla bibliofilów. Albowiem miejscem, gdzie się Dembowski przeważnie obławiał, były klasztory i kościoły. Rzadziej podobno zaglądał do dworów i dworków szlacheckich, gdyż tam druki stare szły uświęconym obyczajem pod placki, na papiloty lub do innego użytku. Po zbadaniu miejsca i ludzi Dembowski zastosowywał odpowiednią politykę. Modlił się gorąco i ostentacyjnie, leżał podobno nawet krzyżem. Zwróciwszy na siebie uwagę, udawał zacierzewionego „krajoznawcę”, bigota, po mistrzowsku grał w karty, świadomie przegrywał, dotrzymywał kompanii najwprawniejszym bibosom, sypał anegdotami i kawałkami. Te wszechstronne zalety jednały mu serca opiekunów ukrytych skarbów. Białe kruki jako podarunki pamiątkowe lub na zamianę zapełniały sakwy podróżne wędrowca. Obiekty mniejszych roz-

miarów, właśnie najrzadsze okazy druczków najstarszych in 8°, przy oglądaniu z ręcznie umieszczane bywały w zakamarkach płaszcza, gdy zabiegi o pamiątkę lub wymiana nie dochodziła do skutku.

Mnóstwo charakterystycznych anegdot opowiadano o senatorze Kazimierzu Stronczyńskim i Konstantym Świdzińskim, którzy w zdobywaniu umiłowanych rzeczy zachowywali tradycyjne chwytyswych poprzedników: Załuskiego, Czackiego, Lindego i innych. Oto np. ma Stronczyński obejrzeć w bibliotece ordynacji Krasińskich czy u Zamoy-skich zbiór dyplomów. Sygnalizując o tym w liście do zarządu biblioteki zaznacza ktoś, że nie można w żaden sposób odmówić uczonemu korzystania z zasobów bibliotecznych, ale zaklina na wszystko, aby pilnować, bo senator z niezwykłą zręcznością odcina pieczęcie w celu powiększenia swoich zbiorów. Albo taka opowieść. K. Świdziński często odwiedza i ogląda cenne zbiory jakiegoś wybitnego numizmatyka. Wyciąga w szafce szufladkę z monetą czy medalami i szybko z powrotem zamyka, bo zamiast okazu leży kartka z napisem: „Ukradł Świdziński”. Rzecz powtarza się w drugiej i trzeciej przegródce. Zbieracz przerywa czynność przeglądania zbioru i zwraca się do właściciela ze słowami: „Mości Dobrodzieju! Czyż nie proponowałem ci zamiany, grubej sumy pieniężnej, a ty nic. Cóż mi pozostawało?” Właściciel zbioru zastosował tylko zwyczaj, który jak wieść niesie, istniał w wielu kolekcjach, gdy po wizycie Tadeusza Czackiego zamiast egzemplarza widniała karteczka z napisem: „Świstavit Czacki”.

O umiejętności wyławiania cennych okazów przez starego autoramentu wielkich bibliofilów mogłem się przekonać po latach osobiście. Jako wizytator szkół zawadziłem o Częstochowę. Po urzędowaniu

nie omieszkałem zwiedzić klasztoru. Było to w czasie odnawiania cudownego obrazu. Miałem możność dzięki uprzejmości ówczesnego przeora ks. Przędzieckiego dokładnie z bliska obejrzeć narodową świętość leżącą na stole w pięknej sali bibliotecznej. Następnie zainteresowałem się biblioteką. Książki umieszczone były w pudłach naśladowujących folia. Zapytałem o katalog i sposób rozmieszczenia książek. Ks. przeor pokazał mi pięknie spisany katalog rękopiśmienny z połowy 18-go wieku i zaznaczył, że książki są ułożone podług sygnatur w katalogu. Przeglądałem katalog, rozmawiając jednocześnie z gościnnym gospodarzem. Ponotowałem sobie kilkanaście pozycji i zapytałem, czy mógłbym prosić o zobaczenie tych druków. Jak z góry przypuszczałem, ani jedna wskazana przeze mnie pozycja nie znalazła się na miejscu określonym w katalogu. Skonfudował się niezmiernie przeor i zaznaczył, że widocznie wkradł się nieporządek przy zwracaniu książek przez czytelników. Nie podałem mu istotnej przyczyny braków. Przerzucając kartki katalogu, ponotowałem sobie oczywiście arcyzadkie druczki wieku 16-go i 17-go i z góry byłem pewny, że Czacki czy Linde wypożyczyli powyższe rzeczy na wieczne nieoddanie.

Bywałem nieomal codziennym gościem u Rosenweina w ciągu szeregu lat na Mazowieckiej, a później na Świętokrzyskiej, tam gdzie po jego śmierci ulokowała się antykwarnia „Światło”.

Rosenwein pozostawił dwóch synów. Młodszy powszechnie przez współwyznawców nazywany „Głupim”, miał bardzo krótko sklepik, zabawił się w wydawcę (*Marii Malczewskiego i Ojca zadżumionych*), a później do czasów ostatniej wojny roznosił po antykwarniach książki skupywane po domach. Starszy syn, sympatyczny i solidny, miał sklep na Marszałkowskiej, zarzucił handel działem

antykwarem, przeszedł na skupywanie resztek nakładów oraz — jak już wspominałem — na wydawanie tzw. literatury „ludowej”. Widocznie przedruki *Meluzyn*, *Senników* etc. były korzystne, bo wykształcił wszystkie dzieci. Kilku jego synów było moimi uczniami w Szkole Zgromadzenia Kupców i stali się — jak słyszałem — potentatami w handlu papierem.

Miller, nazywany przez rodaków „Bocianem” z Elektoralnej, gdzie był subiektem, przeniósł się do własnego sklepu na Świętokrzyską i tam firma ta istniała do początku ostatniej wojny. Świetny dla antykwariusza punkt — pierwszy sklep od Nowego Świata — niezwykła pracowitość i przechodząca ludzką miarę oszczędność oraz cierpliwość w stosunku do nabywców, przeważnie rozhułakanych uczniaków, jako że Miller zwracał główną uwagę na antykwariat szkolny, sprawiły, że po latach doszedł on do posiadania dwóch dużych kamienic. Znajomość moja z tym antykwariuszem sięgała najstarszych czasów. Jak pamięć moja sięga, zawsze chodził w jednej i tej samej kapocie (nosił się krótko), mieszkał, a raczej gnieździł się z dość liczną rodziną (był to chyba jedyny zbytek, na który sobie pozwolił) w sklepie zawałonym książkami, nie palił, nie pił, gości nie przyjmował. Żona jego, cicha, wiecznie szyła i zarabiała w ten sposób; jak mi mówiono, rodzina odżywiała się marnie; Millerowa chodziła bodaj na Pragę, żeby zaoszczędzić dwa grosze na funcie żywności. Parę dziesiątków lat życia w takich warunkach — „świńskich”, jak mówili współwyznawcy — umożliwiło biedakowi zdobycie pokaźnego majątku. Trzeba dodać, że posiadanie kamienic nie zmieniło arcyoszczędnego trybu życia Millerostwa. Przenieśli się tylko na mieszkanie gdzie indziej, ale nie do własnej kamienicy i na schyłku życia zdobył się

Miller na podróż do Palestyny, gdzie podobno nabył posiadłość. W charakterystycznej kapocie, której chyba nie zmieniał, pamiętam go do końca jego żywota.

Do najstarszych księgarzy, z jakimi się zetknąłem, należał wielce osobliwy okaz w osobie Dawida Baumkolera, ojca dwóch znanych późniejszych antykwariuszów ze Świętokrzyskiej, którzy dotrwali do ostatniej wojny. Pamiętam dobrze tę postać wysokiego starca, z długą rozwianą brodą, z krzaczastymi brwiami, wiecznie klejącego poszarpane książki i podżartowującego sobie z targujących się nabywców. Żarty owe były trywialne, a czasami niedopuszczalne. Sądzę, że stary Baumkoler był już „myszygen”, to znaczy nieco pomyłony. Uchodziło to jakoś żartownisiowi, zwłaszcza że używał często żargonu. Zdarzyło się, że pozwolił sobie na niewykwintny żarcik względem mojej osoby. Z punktu zwymyślałem go od starych durniów i wyszedłem ze sklepu z postanowieniem przerwania z tym antykwariatem wszelkich stosunków. Wybiegli za mną synowie, przepaszali i uznali, że ojciec bywa czasami niepoczytalny. Nie pamiętam już, jak to się stało, że pogodziliśmy się ze starym, który odtąd był dla mnie wyjątkowo greczny i ofiarował mi swoją fotografię. Gdy ją pokazywałem Rosenweinowi, był oburzony, albowiem przepisy rytualne nie pozwalają fotografować się chasydom. Obdarzenie przeto swym konterfektem było dowodem wielkiej ku mnie sympatii.

Starszy syn Baumkolera, w stosunkach miły i uprzejmy, nie cieszył się podobno nieposzlakowaną uczciwością. Młodszy, Noach, kulturalniejszy, zapalczywy syjonista, miał sklep niedaleko Marszałkowskiej. Podobno głównym źródłem jego dochodów było pożyczanie ludziom pieniędzy. Han-



3. Dawid Baumkoler.
Fot. L. Sempoliński

del książkami był raczej ubocznym jego zajęciem i dlatego ceny były u niego niepomiarne wysokie i zrażały klientów. Wobec niego musiałem stosować wybiegi, jak np. z kupnem rzadkich prac lingwistycznych, o czym wyżej wspominałem. Chęć zbyt dużych zarobków bez pracy skończyła się na tym, że dłużnicy bankrutowali i Noach musiał się pożegnać z procentami wraz z kapitałem, a wziąć się solidnie do książek. Jedynaka syna wykształcił na prawnika i ten nie chciał słyszeć o prowadzeniu antykwarni.

Liczebnie może najliczniejszy był ród Kleinsingerów, reprezentowany na Świętokrzyskiej przez grono księgarzy i handlarzy antykami. Kleinsinge-

równy, wychodząc za mąż, wciągały do antykwarstwa małżonków. Najstarszym za mej pamięci reprezentantem tego rodu, obfitującego w synów i córki, był A. H. Kleinsinger spod nr 1 przy Świętokrzyskiej. Na książkach się zgoła nie znał, natomiast nie czekał z założonymi rękami na towar, jak współwyznawcy odznaczający się na ogół biernością, lecz nabywał resztki nakładów, przede wszystkim we Lwowie i Krakowie. On też, handlując głównie nakładami, zaczął wydawać drukiem katalogi swoich zasobów. Przeglądając niedawno te katalogi, w pierwszym z kolei natrafiłem na umieszczoną przy *Dekameronie* klauzulę: „Tylko dla dorosłych”. Wówczas przypomniałem sobie, że z tym napisem wystawione były egzemplarze tego dzieła w witrynie sklepowej. Była to, rzecz prosta, przynęta właśnie dla niedorosłych. Okazuje się, że dowcipy nieustannie się powtarzają. Boy-Żeleński, nakładając na Kartezjusza opaskę z napisem: „Tylko dla dorosłych”, zastosował chwyt, pewnie mu znany z antykwarni krakowskich.

Imię A. H. Kleinsinger wystawał w księgarni w atlasowym chałacie z przewieszoną na szyi sakwą, do której zgarniał pieniądze od licznych klientów przepelniających sklep, ocierał kraciastą chustką pot z czoła i coraz wychylał kufel piwa. Na krześle obok męża siadywała po całych dniach w staromodnej sukni, z charakterystyczną fryzurą, znacznie starsza od niego małżonka, prawie ociemniała i urozmaicała sobie czas wtrącaniem się do targujących się klientów skrzeczającym głosem: „To jest wyczerpana książka”. Pomnę, jak zirytowany mechanicznym powtarzaniem tych słów przyjaciel mój, Drège, wyjął złotą monetę i rozdrażnionym głosem powiedział, że otrzyma tę kwotę, jeżeli powie, co to za książka. Mąż i subiekci krzyknęli na właści-

cielkę „sza”, a klienta uspokoił, aby nie zważał na starą kobietę.

Z tej antykwarni poza synami wykierowało się później na samodzielnych księgarzy kilku subiek-tów. Mózgiem tego interesu książkowego dłuższy czas był kulturalniejszy, bardzo układny o miłej powierzchowności w stroju europejskim Jakub Jabłonko. Układał on katalogi, załatwiał ko-respondencję. Po śmierci szefa, kiedy firma prze-szła na własność jednego z jego synów, Jabłonko jako subiekt spełniał podobną funkcję w antykwar-ni Fiszlera. Dopiero na schyłku życia — widocznie mało przedsiębiorczy i samodzielny — założył wreszcie antykwariat w pobliżu Marszałkowskiej pf. „Bazar literacki”. Bardzo lubiliśmy się z Ja-błonką; stale odkładał dla mnie różne rzeczy, a ja znów przynosiłem mu iudaica, które zbierał. Był to chyba jedyny antykwariusz ze Świętokrzyskiej, który był zbieraczem i niezłe znał literaturę pol-ską. Po jego śmierci firma przetrwała do wojny ostatniej.

Po śmierci A. H. Kleinsingera objął interes syn jego i prowadził go długie lata aż do wybuchu woj-ny. Poznałem się z nim jeszcze za życia jego ojca. Miał wtedy koło 20 lat, już był żonaty od lat czte-rech i tonął w mądrościach talmudycznych. Nie mówił wówczas po polsku i prawie nic nie rozu-miał. Jakoś jednak dość często rozmawialiśmy: on posiłkując się żargonem, a ja niemczyzną i nieco żargonem. Dzięki stałym stosunkom z antykwariu-szami poduczyłem się żargonu i nieraz korzysta-łem z tego, gdy kupcy gwarzyli ze sobą o cenach książek. Niestety raz w zaperzeniu zdradziłem się niefortunnie i odtąd antykwariusze w mojej obec-ności używali w takich razach hebrajszczyzny.

Rywe Kleinsinger objąwszy po ojcu fir-mę prędko jakoś nauczył się poprawnie mówić,

a nawet pisać po polsku i nieźle zaczął orientować się w wartości książek. Uprzejmość jednała mu klientelę i sklep jego cieszył się frekwencją, bo istotnie Rywe miał duży wybór książek uporządkowanych, przy nakładaniu cen nie przeholowywał i nie bawił się przy ocenianiu towaru w loteryjkę, jak wielu jego współwyznawców. Łączyły nas długie i życzliwe stosunki. Przytoczę choćby taki przykład, zresztą jeden z wielu. Jeszcze nie wszedłem do sklepu, a Rywe z daleka mówi: „O dziś to złupię p. profesora” — i pokazuje mi z uśmiechem starszy hiszpański przekład *Pana Tadeusza* z dedykacją tłumacza. Dodać muszę, że w celu zdobycia tego przekładu zwracałem się na próżno kilkakrotnie do różnych firm antykwarskich zagranicznych, a po odzyskaniu niepodległości używałem w tej sprawie pośrednictwa członków naszego poselstwa w Madrycie. I otóż za całe dwa złote, które wyplaciłem bez targu, nabyłem rzecz upragnioną.

Rywe w rozmowach w cztery oczy uskarżał się przede mną na sprawy domowe. Żona jego niezupełnie była w porządku pod względem umysłowym, a — rzecz dziwna — ortodoksyjny Żyd, pomimo łatwości rozwodów, nie rozszedł się jakoś z żoną. W ostatnich latach pomagał mu syn opryskliwy i niegrzeczny wobec klientów. Kilkakrotnie ojciec zwracał się do mnie z prośbą, abym po starej znajomości robił uwagi synowi, który się ze mną bardzo liczył. Rywe — jak wszyscy Kleinsingerowie — nosił brodę sięgającą nieomal do kolan i był z niej wielce dumny. Opowiadał mi, że w czasie pobytu w Karlsbadzie zwracał na siebie powszechną uwagę i miał nawet propozycję sprzedania tej brody za dużą sumę.

Bardzo sympatyczną postacią był jego brat, parający się początkowo handlem naftą, stąd znany wśród księgarzy pod przydomkiem „Nafciarza”.

Próbował szczęścia, zmieniając kilkakrotnie w życiu przedmiot handlu. Od nafty przeszedł do książek, później do antyków, aby wreszcie powrócić znów do książek, którymi handlował przed ostatnią wojną w sklepiku w halach targowych przy Nowym Świecie. Miał miłą i rozsądną żonę i nieźle mu się powodziło. Niestety dość wcześnie zmarła. „Nafciarz” ożenił się z jakąś spryciarzką, która zabrała mu kapitał obrotowy i wypędziła z domu. Odtąd coraz więcej biedniał. Ze mną lubił rozmawiać na tematy religijne i narodowościowe i uzasadniał pogląd, że najlepiej byłoby, gdyby wszyscy ludzie wyznawali jedną religię i mówili jednym językiem. Sam trzymał się tradycji w stroju i innych sprawach. Zwrócił się razu pewnego do mnie z prośbą o ułatwienie synowi wstępu do szkoły handlowej niedzielno-wieczorowej. Powiedziałem mu, że dzięki moim stosunkom rzecz ta będzie pomyslnie załatwiona, ale niech nie ma do mnie pretensji, gdy po roku syn zarzuci chałat. „Po co tak długo ma się zastanawiać” — odrzekł ku wielkiemu memu zdziwieniu ojciec — „najlepiej byłoby, aby władze zabroniły noszenia takiej odzieży. Widzi pan, ja i wielu z nas ze względu na przyzwyczajenie i na krewnych nie mamy odwagi tego zrobić, chociaż zdajemy sobie sprawę, że na te czasy strój nasz nie pasuje i naraża nas często na przykrości”. W jego to sklepie odbyła się owa charakterystyczna scena z „przodkiem”, którą opisałem.

Najstarszym synem A. H. Kleinsingera był Aron, ożeniony z Fiszlerówną, mówiący cieniutkim głosem, ojciec dwunastu synów i jednej córki — niczym biblijny Jakub. Dość wcześnie zarzucił handel książkami i całkowicie zajął się antykami. Skarżył się później na synów, którzy wydziedziczyli go ze sklepu. Pędził w biedzie ostatnie lata

swego życia jako wędrowny handlarz obrazów i innych starożytności.

Lepiej powodziło się jego szwagrowi Fiszlerowi, którego nazywano „Mączarzem”, jako że obok handlu książkami uprawiał handel mąką. Firma dzięki nabywanym nakładom, możliwie wydawanym katalogom i wydawnictwom pseudolekarskich poradników, wyróżniała się spośród innych pewną zamożnością. Spośród nakładów nabytych i sprzedawanych przez antykwarnię Fiszlera wyróżniły się pozostałości po zwiniętej cennej Bibliotece Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej i Polskiej, wydawanej pod redakcją P. Chmińskiego przez Franciszka Salomona Lewentala.

Po odejściu Jabłonki, który kierował firmą pod względem fachowym, prowadził antykwarnię syn właściciela Bernard. Dobrnął on do wyższego kursu medycyny, ale zmuszony okolicznościami musiał opuścić uniwersytet i kierował firmą ojca, a później prowadził antykwarnię na własną rękę. Rozwojem umysłowym przewyższał on innych antykwariuszów, zerwał z handlem szkolnymi książkami i miał ambicję postawić antykwarnię na poziomie naukowym. Katalogi przezeń wydawane górowały nad innymi. W końcu zaczął wydawać pismo bibliofilskie „Szpargały”, do którego dołączał wykaz książek do nabycia w jego firmie. On też wprowadził zwyczaj robienia wycinków z czasopism, a nawet i z książek. Przykład ten, widocznie korzystny, jeśli naśladować inni antykwariusze, co odbijało się fatalnie na niszczeniu czasopism nieraz bardzo rzadkich.

Ceny książek w katalogach młodszego Fiszlera były słone i często kilkakrotnie przewyższały ceny katalogów innych antykwariuszów, co odstręczało wielu zbieraczy. Fiszler ukończył średnią szkołę handlową i nie znał łaciny. Sprowadził z Poznania

resztki biblioteki historyka Łukaszewicza, z czego wybrałem kilka dzieł Janockiego i inne rzadkości o treści bibliograficznej. Wszystkie te dzieła były w języku łacińskim. Gdy przyszło do targu i usłyszałem dość wygórowaną cenę, zapytałem, dlaczego tak wysoko ceni druki łacińskie. Odpowiedział, że teraz szkoły poszukują klasyków. „Tak — rzekłem — ale wszak to nie Cezar, Liwiusz czy Cyceron”. Speszyło to antykwariusza i cena została dość znacznie zredukowana.

Jakub Przeworski, którego poznałem jako chłopca do posług u seniora Kleinsingera, dla którego ciągle biegał po butelkę świeżego piwa, ożenił się obyczajem żydowskim bardzo młodo i za szczupły posag wynajął na Świętokrzyskiej niewielki sklep, później tak dobrze znany licznym zbieraczom. W sklepie tym Przeworski prowadził handel aż do śmierci w ciągu paru dziesiątków lat. Jednocześnie z założeniem handlu na własną rękę rzucił chałat i nosił się krótko, szybko wyzwalając się z rytualnych tradycji. Odznaczał się ten księgarz nadzwyczajną rzutkością i pomysłowością. Szybko powiększająca się rodzina zmuszała go przy szczupłych środkach do poważnych wysiłków, aby wyżywić, ubrać taką rzeszę i pomyśleć o kształceniu dzieci. Często w rozmowach poruszaliśmy tę sprawę. Stale podkreślałem, gdy żona Przeworskiego żaliła się na kłopoty finansowe i ciężką pracę, że dając dzieciom wykształcenie najlepiej spełniają wobec nich obowiązki i zabezpieczają ich przyszłość. Z pięciorga dzieci dwie córki wykształciły się na dentystki, trzecia ukończyła farmację, starszy syn — medycynę, młodszy — politechnikę.

Przeworski ze skóry wyłaził, biegał po mieście, szukając starych książek i nakładów, wyjeżdżał na prowincję i poza zabór rosyjski. Stamtąd przywoził zakordonowe wydawnictwa, rzadziej spotykane

na rynku warszawskim, natomiast z Warszawy woził do Lwowa, Krakowa i innych miast zaboru austriackiego książki wydane w Warszawie. Handel ten, przeważnie wymienny, pozwalał Przeworskiemu przy małym kapitale obrotowym żyć i rozwijać firmę. Wielką pomocą była mu żona, która po całych dniach przesiadywała w sklepie, prowadząc całkowicie dział szkolny i sprzedaż nakładów. Inne druki zbieracz musiał odkładać i czekać na Przeworskiego. Stosunki Przeworskiego z tzw. Galicją rozszerzyły się na Poznańskie i Śląsk. Po r. 1906, gdy zwolniał ucisk carski, Przeworski w pakach z książkami dozwolonymi przez cenzurę, sprowadzał druki nielegalne. Pamiętam np., że sprowadził, oczywiście opłacając się cenzorom, w dużej ilości egzemplarzy lipską Bibliotekę Pisarzy wydawaną przez Brockhousa i wyprzedawał ją zaufanym klientom.

Konkurencja w handlu nakładami — na co Przeworski przeszedł, związując dział szkolny i antykwarski z wyjątkiem, gdy nadarzyła się większa biblioteka — zmuszała go do szukania sposobu rychłej sprzedaży. Zorganizował przeto kolportaż książek. Powstał z biegiem czasu cały sztab tak zwanych pomocników Przeworskiego. Większość stanowili chrześcijanie, pożał się Boże, co za typy. Widywałem ich często w sklepie wieczorami, gdy przychodzili zaopatrywać się w towar. Pijackie gęby, ordynarny sposób wysłowienia, wrzaski i kłótnie ledwie trzymających się na nogach po całodziennych libacjach mogły odstręczać od stosunków z nimi. Pytałem nieraz Przeworskich, jak mogą z nimi wytrzymać. „Im zawdzięczamy ruch w handlu, dzięki nim możemy żyć i kształcić dzieci; trzeba cierpieć” — odpowiadali. A jednak za sprawą tych opojów z twarzami opryszków często bardzo dobra i pożyteczna książka trafiała do ludzi,

którzy nie poszliby szukać jej w księgarniach. Agenci Przeworskiego chodzili z książkami po biurach, restauracjach, cukierniach, knajpach, warsztatach, po Powiślu, Woli, Ochocie i innych dzielnicach, gdzie mieszkała ludność mniej kulturalna, umiejętnie zachęcali do kupna i szerzyli pośrednio oświatę. Interesowałem się wszelkimi objawami życia książki w Polsce; stwierdzam przeto, że zasługi Przeworskiego jako pomyslowego szerzyciela książki wśród bardzo szerokiego kręgu odbiorców są duże. Agenci sięgnęli poza Warszawę. Znając mię ze sklepu Przeworskiego witali życzliwie na prowincji, gdy spotykałem ich w czasie moich podróży wizytatorskich. Rzecz charakterystyczna, że dzięki temu pomysłowi w krótkim czasie rozeszły się w tysiącach egzemplarzy dzieła poważne, które uprzednio nieraz latami spoczywały w księgarniach. Na taki bardzo długi wypoczynek narażone były szczególnie dzieła, oddawane przez prywatnych nakładców w komis księgarzom. Poszły tedy w świat np. Korzona *Wewnętrzne dzieje Polski...* (6 tomów), Kraszewskiego *Polska w czasie trzech rozbiorów* (3 t.), zbiorowe wydania Mickiewicza i wiele innych. Nakłady puszczone w ten sposób w obieg stawały się po pewnym czasie rzadkościami, gdyż z rąk nabywców tego typu książka, jako doszczętnie „zacytana”, nie wracała do antykwariatów.

Z Przeworskim łączyły mię bliskie i nieomal serdeczne stosunki. W ostatnich czasach syn młodszy pomagał ojcu, a po jego śmierci zerwał radykalnie z dawnymi kolporterami, przeniósł się na ulicę Sienkiewicza i zaczął prowadzić właściwie księgarnię z nakładami. Nabył między innymi cały remanent z wyjątkiem Biblioteki Narodowej po zlikwidowaniu Krakowskiej Spółki Wydawniczej. Później został jednym z ruchliwszych wydawców.

się ruchliwością i znawstwem był Jonasz mający sklep przy Świętokrzyskiej nr 2. Dla mnie był niezmiernie życzliwy, uczynny i „miał do mnie słabość”, jak mówił do zbieraczy. Często nadmieniał, że nie może zrozumieć, skąd w nim, który wyszedł z nizin chasydzkich, rozwinęła się niezwykła pasja do książek i że sprawia mu prawdziwą przyjemność samo grzebanie się w książkach i ich gromadzenie. Po całych dniach robił wyprawy do innych antykwarni warszawskich i stamtąd wyławiał rzeczy rzadsze. Odznaczał się Jonasz bardzo dobrą pamięcią i wyszukiwał dezyderaty znajomym klientom. Dla mnie wyławiał drobiazgi Mickiewiczowskie, za które nie chciał zapłaty, twierdząc, że najlepszą zapłatą jest przyjemność, iż powiększył moje zbiory. Jonasz kierowany widocznie przeczuć, opuścił na początku wojny Warszawę i z Rosji, jak mi mówiono, wyjechał z rodziną do Palestyny czy Ameryki. Może on jedyny z antykwariuszów żydowskich uniknął pogromu hitlerowskiego.

Trudno mi rozwodzić się o wielu innych przedstawicielach sztuki antykwarskiej, nie wyróżniających się osobliwymi cechami. Szara masa Cytrynów, Weintrobów, Ajdlerów, Fruchtmanów etc. stanowiła jedynie tło, na którym uwypuklały się wybitniejsze postacie.

Wojna zmiotła nieomal całkowicie domy na Świętokrzyskiej, gdzie w przeciągu wielu dziesiątków lat mieściła się największa ilość antykwarni żydowskich. Nie ma chyba warszawiaka, który by nie zachodził po książki na tę ulicę. Tu koncentrował się handel używanymi książkami szkolnymi, tu sprzedawano po niższej cenie resztki nakładów, tu bibliofile mogli dogadzać swej namiętności, tu można było sprzedać i wymieniać książki. Świętokrzyską z powyższych racji znała nie tylko

Warszawa. Ludzie z prowincji ciągnęli również ku temu ośrodkowi handlu książkami starszymi, gdyż byli pewni, że wchodząc kolejno do szeregu sklepów znajdą potrzebną im książkę. Sądzę, że wypadki związane z tragedią Warszawy i Żydów zmieniają zasadniczo dawny charakter ulicy i handlu. Może przeto właściwą będzie rzeczą rzucić jeszcze okiem na ten, zdaje się, należący już do historii epizod z dziejów książki w Polsce.

Świętokrzyska i inne punkty handlu starymi książkami miały szereg stron dodatnich i ujemnych. O ujemnych pisało się i mówiło często, albowiem braki i rzeczy złe, jak plamy i uszkodzenia w obrazie, przede wszystkim rzucają w oczy. Większość antykwariuszów nie posiadała najniezbędniejszych wiadomości potrzebnych do handlu książkami, szczególnie starymi. Wszak zdarzali się nawet analfabeci. Większość uprawiała ten proceder, traktując go jak handel odpadkami, starzyzną; przeważnie byli to ludzie bardzo biedni. Przypatrując się temu handlowi w przeciągu tylu lat, podziwiałem, jak można mając kilkadziesiąt rubli gotówki, a czasami może i mniej, wyżywić liczną zwykle rodzinę. Aby nabyć nieraz niewielką bibliotekę, trzeba było tworzyć spółkę lub, co gorsza, pożyczać na kolosalny procent, dochodzący do 10% dziennie. Handel polegał na tym, aby nabyć coś, szybko sprzedać, zwrócić dług i trochę zarobić. Przy takich warunkach znikął towar w sklepie, zostawały rzeczy małowartościowe lub zgoła makułatura. Komorne zalegało, cierpliwi kamienicznicy byli białymi krukami; najniełitościwsi, jak mi mówili antykwariusze, byli ich współwyznawcy. Po pewnym czasie handlarz chwycił się ostatniego środka ratunku: sprzedawał sklep, zostawał wędrownym antykwariuszem lub próbował szczęścia w innej branży.

Trzeba dodać, że do handlu książkami i antykami mieli pociąg ludzie na ogół leniwi, bez daru przedsiębiorczego. Większość wysiadywała z rodzinami w sklepach, wyczekując na kupujących i sprzedających, często drzemając lub z nudów grając w karty. Bieda nie jest dobrą wychowawczynią i kształcicielką charakterów. Chwyty nieuczciwe u wielu antykwariuszów były na porządku dziennym. Sprzedawali świadomie defekty jako egzemplarze całe, wklejali do zdefektowanych książek kartki z innych, zmieniali karty tytułowe na wydania nowsze. Praktyki te tyczyły się zwłaszcza szkolnych podręczników. Nabywali książki u małych letnich i nabierali ich na cenie, a co najgorsza — kupowali świadomie książki kradzione. Złodziejaszki spośród młodzieży mieli gdzie spieniężać łupy. Paserstwo też kwitnęło nieraz na szerszą skalę w nabywaniu nowych rzeczy od subiektów z księgarni. Kilkakrotne rewizje stwierdzały, że po kilkaset takich egzemplarzy było w składzikach u niektórych antykwariuszów. Księgarze nie mogli dać sobie rady z tą plagą kradzieży w ich sklepach i oczywiście antykwarnie żydowskie były solą w ich oku.

Szukając zarobków w sposób niewybredny, niektórzy antykwariusze sprzedawali młodzieży nieodpowiednie rzeczy, szerzyli i wydawali — jak powszechnie mówiono — pornografię. Handlu pornografią w ścisłym pojęciu stwierdzić nie mógłbym: może się z tym przede mną ukrywali. Wydawnictwa mające posmak pornograficzny wydawali raczej niektórzy księgarze, skwapliwie natomiast zdołali nimi wystawy sklepowe niektórzy antykwariusze. Ci trudnili się wydawaniem nieszkodliwych straganówek w rodzaju senników, listów miłosnych, powieści ludowych, apokryfów, które od wieków są ulubioną lekturą szerokich mas, zresztą nie tylko w Polsce. Arcyzabawna historia zdarzyła się

jakiemuś gorliwemu reprezentatowi policji wyższej szarży czy cenzorowi, który skonfiskował u antykwariusza jego nakład *Przeraźliwego echa trąby sądu ostatecznego*, z racji czego pojawił się nawet sążnisty artykuł w gazecie przeciw szerzeniu demoralizacji. Gorliwiec nie dojrzał na tym dziele aprobaty kościelnej i nie wiedział, że od wieku 18-go utwór ten cieszy się wyjątkową poczytnością, o czym świadczy bardzo dużo wydań. Do zdechu uśmieć się można czytając te wizje świata zagrobowego, zwłaszcza sceny opisujące męki różnych grzeszników.

Najwięcej zarzutów — i słusznie — wywoływały wydawane przez antykwariuszów książki lecznicze, wśród których poza pewną ilością popularnie i dobrze napisanych utworów z dziedziny przyrodolecznictwa i higieny, przeważały, niestety, utwory traktujące zagadnienia seksualne. Rozchwytywała je młodzież oczywiście nie z pobudek higieniczno-terapeutycznych. Te *Anatomie ciała kobiecego*, *Zakony małżeństwa*, *Życie płciowe* i moc innych w tym duchu zdobyły witryny większości antykwarni wraz z *Dekameronem* („tylko dla dorosłych”) oraz były na wózkach i straganach nie tylko zresztą w Warszawie. Najwięcej wątpliwej wartości zasługi w wydawaniu i kolportowaniu tego typu literatury miała antykwarnia K. Fiszlera. Nawiasem zaznaczę, że przyszły historyk propagandy świadomego macierzyństwa w Polsce będzie musiał zapoznać się z tymi, jak mi się zdaje, najstarszymi drukami rozwiązującymi to zagadnienie praktycznie. Literatura o posmaku pornograficznym, kryminalistyczna, sensacyjna, wydawana przez różnych „przemysłowców” mających jedynie zysk na celu, bojkotowana przez poważniejsze szanujące się firmy księgarskie, znajdowała dla siebie ujście (przeważnie) w antykwarniach i wywoływa-

ła słuszne zarzuty przeciw nim jako źródłu demoralizacji młodzieży.

Pomijam szereg innych grzechów handlarzy starymi książkami w rodzaju wypożyczania książek szkolnych za opłaty lichwiarskie lub dawanie pożyczek pod zastaw książek itd. Do grzechów należały nieźle zorganizowane zmywy przeciw sprzedającym biblioteki czy poszczególne książki. Pierwszy antykwariusz dawał najwyższą cenę, następni — coraz mniejszą, a gdy sprzedawca wracał do pierwszego, ten twierdził, że się pomylił i proponował kwotę niską. Trzeba jednak, dając świadectwo prawdzie, powiedzieć, że obok tych ciemnych plam na obrazie stosunków w antykwarniach żydowskich, można było spostrzec smugi jaśniejsze, o czym już mówiłem, a z właściwością starych gawędziarzy powtórzę.

Bezwzględnie niezaprzeczoną antykwariuszów zasługą, chociaż nie podejmowaną celowo, było ratowanie bibliotek od całkowitego zniszczenia (papiernie, torebki, zawijanie mydła, śledzi etc.). Liczny poczet miłośników książek tam prawie jedynie mógł zaspakajać apetyty zbierackie. A iluż to ludzi liczących się z każdym groszem mogło nabyć czy wymienić książki dla dzieci albo nabyć po dostępnej cenie potrzebne im utwory.

Wspominałem już kilkakrotnie o handlu nakładami. Wydawcy nasi i księgarze nie odznaczają się wielką obrotnością i pomysłowością. Publiczność nasza jeszcze nie wyrobiła sobie nałogu nabywania książek i tworzenia bibliotek domowych. Każdy interesujący się sprawami naszej kultury wie, że dzieła naukowe drukują się i rozchodzą w znikomej ilości egzemplarzy, a nakład dość jeszcze poczytnych pamiętników czy wydawnictw popularno-naukowych dochodzi najwyżej do 3000 zaledwie egzemplarzy, z czego w roku pierwszym wydawca

liczyć może na sprzedaż tysiąca. Gdyby nie kasa Mianowskiego, Akademia Umiejętności i subsydiowane wydawnictwa towarzystw, byłoby całkiem źle z książką naukową w Polsce. Książkę u nas nie tylko trzeba wydać, ale trzeba umieć trafić z nią do nabywcy. Otóż antykwariusze ze Świętokrzyskiej pokazali, że nie należy marynować wydawnictw w składach księgarskich i że można rozprzedać nawet w pokażnej ilości dzieła treści poważnej.

Podkreślałem szczególną pod tym względem pomysłowość Przeworskiego. Dla przykładu z pamięci przytoczę dzieła, które przy obniżonej cenie i umiejętnie zorganizowanym kolportażu dotarły nawet do mas, po pewnym czasie stały się rzadkością i dochodziły do dużej ceny. Są to: Macaulay'a *Dzieje Anglii* (9 t.), Mommsena *Historia Rzymu* (4 t.), Pawińskiego *Dzieje ziemi kujawskiej* (5 t.), Korzona *Wewnętrzne dzieje Polski* (6 t.), Langego *Historia materializmu* (2 t.), Baina *Logika*, Lelewela *Pisma zbiorowe*, Zeissberga *Dziejopisarstwo średniowieczne polskie*, Bielikowicza *Słownik polsko-taciński*, dzieła Darwina, Spencera, *Album Ordy* (8 t.), *Biblioteka Lewentalowska (Literatura powszechna 6 t., utwory Byrona, Calderona, Goethego, Ibsena, Homera, Sofoklesa, Dickensa, Taine'a itd.)*, dzieła zbiorowe Pola, Dzierzkowskiego, Jeża, Fredry, Korzeniowskiego, wybór pism Kraszewskiego, ilustrowane wydania Mickiewicza, Słowackiego i wiele, wiele innych. Stąd wniosek, że przy umiejętności zdobywania nabywców można drukować dzieło w większej ilości i skalkulować niższą cenę.

Muszę powiedzieć na zakończenie, że pomijając osobisty mój sentyment szczególnie do starszego pokolenia antykwariuszy warszawskich, gruntujący się może na tym, że to są czasy mojej młodości, jestem tego przekonania, że ważąc na szali ujem-

ne i dodatnie strony ulicy Świętokrzyskiej, szala plusów przeważy.

Los nie sprzyjał antykwarniom polskim. Było ich niewiele w porównaniu z żydowskimi, czas istnienia większości był krótki i przeważnie kończyły swój żywot deficytowo.

Wynikało to z kilku przyczyn. Cenna książka polska — jak dotąd — nie ma wielu nabywców, a więc i ceny należytej. Za granicą księgozbiory są w poszanowaniu, choćby ze względu na ich wartość pieniężną. Po śmierci bibliofilów rodzina urządza licytacje książkowe i osiągnięte ceny dochodzą do wysokości zawrotnej w porównaniu z naszymi stosunkami. Absolutnie nie da się porównać cen pierwodruków Szekspira czy nawet autorów drugiej połowy 19 i początku 20-go wieku, z wartością pierwodruków Kochanowskiego czy Mickiewicza.

Bardzo niewiele z pionierów antykwarstwa polskiego miało odpowiednie przygotowanie naukowe, umiejętność postępowania z ludźmi i — co w handlu antykwarskim jest niezbędną rzeczą — większy kapitał zakładowy i obrotowy. Trzeba było jeszcze stale walczyć z konkurencją Świętokrzyskiej, gdzie można było nabywać książki po znacznie tańszych cenach. Nie mogli jakoś polscy antykwariusze pojąć, że należy się liczyć z cenami Świętokrzyskiej na książki często spotykane w handlu, natomiast można było powetować sobie na istotnych rzadkościach i na umiejętności zachęcania klientów do kupna. Aliści wśród Polaków próbujących handlu antykwarskiego niewiele było znawców kultury polskiej i ludzi wykształconych. Posiłowali się katalogami Gieysztora, później Wildera, podwyższając ceny bez żadnego sensu. Dobry

antykwariusz może kształcić początkujących zbieraczy i szerzyć bibliofilstwo.

W początkach mojego nowicjatu bibliofilskiego istniały trzy antykwarnie polskie: Jakuba Gieysztora, Wilanowskiego i Bolcewicza. Pamiątkami po nich są drukowane katalogi antykwarskie. Były to za wysokie progi na biednego uczniaka nogi. Katalogom Gieysztora ja — jak i wielu zbieraczy — zawdzięczam niemało. Wobec braku w literaturze naszej dzieł o rzadkich drukach polskich i ich wartości pieniężnej, nabywcy starych druków opierali się na Gieysztorze, później na katalogach Wildera. Nawiasem powiem, że zawodną na ogół jest rzeczą dowierzać im zbytnio. Gieysztor stanowczo przeceniał wydania in folio, rzeczy treści historycznej, nie doceniał niezmiernie rzadkich okazów powieści ludowych, literatury sowizdrzałskiej, ulotek itp. Wilder zaś śrubował ceny militariów, heraldyki i genealogii oraz często rzadkość druku motywował wskazówkami Estreichera co do ilości bibliotek posiadających druk stary. Nie mówię o katalogach niektórych firm z ostatnich przedwojennych czasów, gdzie ceny wyśrubowane były bez żadnych podstaw i obliczone na naiwnych i bogatych nabywców.

Najstarszym antykwariuszem polskim, z którym miałem do czynienia, był Englert, pamiętam go jeszcze, gdy miał sklep przy ulicy Ordynackiej. Stąd przeniósł się na Świętokrzyską między Szkolną i Jasną. Gorliwość neofity zaznaczył zawieszeniem w sklepie obrazu Matki Boskiej z palącą się lampką. Z biegiem czasu Englert zajął się filateliastyką i handlem oleodrukami. Po jego śmierci stare książki, które spoczywały na półkach bez dostępu do nich zbieraczy, otrzymał Babecki, zięć Englerta i prowadził handel starymi książkami na Świętokrzyskiej niedaleko Marszałkowskiej. Pamię-

tam jego sylwetkę: z fajeczką stale w zębach i zawsze w dobrym humorze.

Myszkując po różnych kątach już w latach pouniwersyteckich dotarłem do „wystawy starożytności” na Krakowskim Przedmieściu w pałacu Czterwertyńskich. Pod taką firmą długie lata prowadził tam handel antykami Bisier. Był on z zawodu złotnikiem bez wykształcenia. Podziwiać należało nadzwyczajne wrodzone zdolności tego człowieka, który wyrobił się na pierwszorzędnego znawcę monet polskich, medali, porcelany, szkła i innych antyków. Nabywał on czasami książki i rękopisy wraz z antykami przy likwidacji pałaców, ale na książkach się nie znał prawie. Był to dziwak, nie uznający ładu i porządku, gromadzący po różnych schowkach i dziurach nabywane i komisowe rzeczy. Trzeba było mieć anielską wprost cierpliwość i dużo czasu, aby po długim czekaniu Bisier dotarł nareszcie do poszukiwanego przedmiotu wśród stłoczonych w kilku salach szaf, stołów etc., a nim to się szczęśliwie udało, trzeba się było nasłuchać powtarzanych historyjek, a najczęściej skarg i żalów na klientów, którym przypinał łatki, jeżeli już wspaniałomyślnie nie mówił jako o takich, którzy go okradli.

Bisier miał żyłkę zbieracza i to przeszkadzało mu również w organizacji handlu. Zbierał monety, medale, porcelanę polską, szkło, broń, masonerię etc. Podobno największy jego zarobek pochodził z komisów, które po iluś tam latach niepokazywania się właściciela przechodziły prawnie na własność kupca. Miał manię wyprowadzania swego rodu od marszałków francuskich Soubise'ów i zaczął używać nazwiska Soubise-Bisier. Tymczasem, jak można dowiedzieć się choćby z *Kalendarza Warszawskiego Dzierżanowskiego*, wśród firm rzemieślniczych i kupieckich pełno było Bisierów, zacnych

szlifierzy, złotników, kucharzy itp. Ta mania, z której podżartowywał sobie W. Gomulicki, pisząc do mnie o potomku marszałków francuskich nie umiejącym się uporać z najprostrzymi zasadami ortografii polskiej, wzrastała i w końcu przeszła w patologiczną manię wielkości i umysłową chorobę. Jeszcze za życia Bisiera rodzina rozprzedała szybko osobiste jego zbiory i zasoby antykwariatu.

Krótkie były chwile działalności antykwarskiej Zagłoby Bądkowskiego, który usadowił się na Świętokrzyskiej w pobliżu ul. Czackiego. Był to dziwak stylizujący się w ubiorze, ruchach, mowie na zamaszystego szlachetkę, sodalisa, co nie przeszkadzało mu stroić koperczaków do młodych i ładnych niewiast i żyć na wiarę z dobrą kobieciną, która cierpiała krzyż Pański z tym oryginałem. Na książkach znał się niewiele; klientów zrażał niegrzecznością, gdy chcieli się targować. Wszystkim opowiadał o swej misji zwalczania antychrystów — sąsiadów antykwariuszów. Oceniał książki b. wysoko, powielając ceny Gieysztora. Po upływie krótkiego czasu pozostawił właścicielowi kamienicy nagromadzony towar za zaległe komorne. Od kamienicznika nabył zasoby antykwariatu M. Federowski. Spotykałem później Bądkowskiego w coraz w dziwniejszym stroju jako wędrownego antykwariusza. Biedak zakończył życie w obłędzie.

Pominę takie postacie, jak analfabeta kulturalny Patrzykąt, ramiarz z zawodu, który handlował na Świętokrzyskiej, a później na Mazowieckiej. Śmieszny był w zarozumiałości, z jaką oceniał obrazy i książki.

Do walki z handlem żydowskim powstała na Świętokrzyskiej spółdzielnia antykwarska „Światło”, mająca początkowo na widoku udział szkolny. Później dopiero dołączył się dział innych książek.

Istniała do wybuchu wojny już w końcu jako prywatna własność. Firma ta wydała szereg katalogów o cenach niewygórowanych i cieszyła się uznaniem wśród publiczności.

Na parę lat przed poprzednią wojną powstał przy ul. Traugutta (wówczas hr. Berga) „Antykwariat polski” Hieronim Wilder i Ska. Dodatek „Ska” potrzebny był dla jakichś celów, albowiem istotnym właścicielem był H. Wilder. Interesował on się grafiką i porządkował ten dział w bibliotece ord. Krasińskich. Stąd związek jego z książkami i tam pewnie powstała myśl założenia antykwariatu, o czym zresztą świadczą dowodnie pierwsze dwa katalogi firmy, w których spotykamy wiele dubletów tej biblioteki. Wkrótce też nabyło dublety „Ossolineum” za pośrednictwem ówczesnego kierownika biblioteki Krasińskich Stanisława Kętrzyńskiego.

Wilder był człowiekiem zamożnym i prowadził antykwariat nie dla zarobku. Sam zajmował się działem rycin, a dla książek miał pracowników specjalnych. Wymienię spośród nich starego księgarza Czapińskiego, osławionego R. Ziemkiewicza i znanego autora *Zbiorów polskich* i zbieracza ekslibrisów polskich Edwarda Chwalewika, który najdłużej pracował w tym antykwariacie. Jemu to zawdzięczamy układanie cieszących się uznaniem katalogów. Wilder prowadził długi szereg lat interes deficytowy, jak mówił. Zdobył sobie jako antykwariusz sławę w Polsce i poza jej granicami. Rekompensatą za dokładanie do handlu była możliwość łatwiejszego zbierania poloników XVI-go wieku. Zbiór ten, jak mi mówił K. Piekarski, był pierwszorzędny i miał być przekazany w darze Bibliotece Narodowej.

Pomimo niezaprzeczonych zasług w rozwoju antykwarstwa polskiego Wilder nie cieszył się sym-

patią klientów. Bardzo układny i grzeczny w stosunkach z zamożnymi klientami, a szczególnie z arystokratami, bywał nietaktowny wobec innych, choćby zasłużonych w dziedzinie nauki. Na brak taktu Wildera uskarżało się wielu. Na własnej zresztą skórze doświadczyłem jego nietaktów i niedociągnięć w wychowaniu. Na widok np. wchodzącego potentata przerywał w połowie zdania rozmowę ze mną i zostawiał samego bez przeproszenia. Raz cierpliwie czekałem na odejście takiego klienta, podziwiając w międzyczasie lansady i miodopłynną wymowę antykwariusza, aby mu powiedzieć, że zgoda niewychowany handlarz ze Świętokrzyskiej nie pozwoliłby sobie na coś podobnego. Albo np. wchodzi K. Reychman, jeden ze znanych zbieraczy. Wilder przy kilku osobach, nawet obcych, wykrzykuje trzymając w ręku *Neofitów polskich* Jeske-Choińskiego: „Panie Reychman, pan tu jest”. — „A pan będziesz” — brzmiała spokojna odpowiedź, co w rzeczywistości nastąpiłoby, gdyby ktoś później zrobił drugie wydanie wymienionej książki.

Porządnie zemściłem się raz za jeden z wielu takich nietaktów. Wchodzę do antykwarni. Właściciel spotyka mnie i mówi: „O jak to dobrze, że pan przyszedł. Leży oto stos książek, które przeznaczaliśmy na makulaturę. Lubi pan tanio nabywać: każda sztuka po dziesięć kop.” Chciałem odpowiednio zareagować, ale nim zdobyłem się na mocną replikę, automatycznie, widząc na wierzchu starą broszurę, sięgnąłem po nią ręką i... nie wierzę oczom: było to arcyzadkie *Suum cuique* z XVIII w. To uspokoiło złość moją. Drugim dziełem był również nieczęsty *Jeżus Nazareński* St. H. Lubomirskiego. Zabrałem się tedy do skrupulatnego przejrzania owej makulatury, wyłowilem jeszcze kilkanaście utworów, a oprócz tego wzięłem sporo broszur i ulotek treści heraldyczno-genealogicznej, aby

się zemścić. Jakoż po upływie paru miesięcy Wilder przystąpił do układania katalogu poświęconego heraldyce. Gdym zaszedł do niego, zapytał, czy nie mam czegoś niepotrzebnego z tego działu. Przyrzekłem poszukać i przyniosłem właśnie druczki z makulatury. Zrobiliśmy zamianę i musiał Wilder przyjmować moje rzeczy po kilka, a nawet kilkanaście rubli za sztukę. Po dokonanej wymianie wtajemniczyłem go, skąd pochodzą owe druczki. Nabycie przeze mnie do „Antykwarni Warszawskiej” biblioteki po Józefie Przyborowskim, którą Wilder dość długo targował przedtem, nie obawiając się konkurencji, doprowadziło do całkowitego zerwania między nami stosunków. „Antykwariat Polski” zwinięty został z powodów finansowych.

Powstanie „Antykwarni Warszawskiej” mieszczącej się przy ulicy Czackiego (wówczas Włodzimierskiej) było przygodne. Po skupieniu przez rząd rosyjski Kolei Wiedeńskiej i jej zrusyfikowaniu czterech pracowników kolejowych postanowiło ulokować w handlu wycofane wkładki emerytalne. Wśród nich dwaj, Bagiński i Maszadro, byli zbieraczami. Zaczęli tedy nabywać książki i numizmaty. Na początek nabyli zbiór ekslibrisów i książek od rodziny K. Reychmana, który nagle wyjechał z kraju do Brazylii. Zaszli do mnie, prosząc o radę. W czasie rozmowy powstał głównie za moją inicjatywą projekt utworzenia antykwariatu, został wynaleziony odpowiedni lokal w kamienicy moich znajomych, przystąpiono do niezbędnych urządzeń, w międzyczasie nabyto dużą bibliotekę po K. Moysze i wkrótce antykwariat zaczął funkcjonować. Zasoby rosły. Nabyto kilka bibliotek i zbiorów: Wittyga, Dehmela, Br. Grabowskiego, cenzora Anastasewicza, wreszcie pierwszorzędnny zbiór po J. Przyborowskim.

Księgozbiór po Przyborowskim obfitował w

stare druki: szczątki *Marchotta*, piękna kolekcja pierwszych i późniejszych wydań Kochanowskiego, ulotne pieśni z połowy XVI w., dzieła Klonowicza, Szymonowicza, Skargi i innych autorów w. XVI i XVII-go. Antykwarnia mogła nabyć ten zbiór za 6 tysięcy rubli jedynie dlatego, że rodzina dzięki moim stosunkom rozłożyła tę dużą kwotę na trzy raty w przeciągu roku. W r. 1913 wyszedł nr 1 katalogu (*Varsoviana*), w następnym nr 2 (*Pamiętniki*), nr 3 (*Numizmatyka*), nr 4 (*Krajoznawstwo*). Z powodu wybuchu wojny nie wyszedł drukowany, lecz niezbroszurowany nr 5, poświęcony językoznawstwu. Świętokrzyska po pewnej rezerwie ustosunkowała się do „Antykwarni Warszawskiej” przychylnie, aczkolwiek stała się ona poważnym konkurentem przy nabywaniu bibliotek. Ponieważ „Antykwarnia Warszawska” nie zajmowała się beletrystyką i wydawnictwami popularnymi, nastąpiła wymiana tych rzeczy na stare druki z antykwariuszami żydowskimi. Również wędrowni antykwariusze z takimi rzeczami szli jak w dym na Czackiego. Rzecz dziwna, że antykwariusze żydowscy nie lubili Wildera, a ze mną byli w najlepszych stosunkach.

Wojna fatalnie odbiła się na „Antykwarni Warszawskiej”. Wspólnicy przerazili się wybuchem wojny, zaczęli narzekać, że dzięki mnie stracili wszystko, lokując całe swoje oszczędności w towarze, który teraz nie ma żadnej wartości. Zirytowany utyskiwaniem i żalami wystąpiłem ze spółki, nie roszcząc żadnych praw i pretensji. Upewniłem ich, że nie tylko nic nie tracą, ale wycofają wszystko z nadwyżką, jeżeli nie ulegną panice i będą się trzymali cen, które wyznaczyłem. Nie stracili, lecz nie orientując się w wahaniach walutowych sprzedawali towar po niskich cenach spryciarzom ze Świętokrzyskiej. Najrzadsze druki XVI w. nabyło

„Ossolineum”; dużo również z tych wydań jeszcze za moich rządów nabył J. Ostrowski; resztę książek nabył w końcu Kościelski.

W ostatnich latach przed wojną wspomniany przedtem Babiecki dobrawszy współnika założył antykwariat przy ul. Wierzbowej pf. „Lamus”. Ów współnik pracował w księgarni Arcta, w Towarzystwie Bibliofilów jako pomocnik przy urządzaniu licytacji książek, wreszcie w założonej spółce wykazał niezwykle dużo pomysłowości i energii. Wkręcał się jako bibliofil do bibliotek i stamtąd wydobywał dublety. „Lamus” nagromadził dużo rzadkich i ciekawych rzeczy. Nadmieniałem już, że między innymi nabył po Bisierze ryciny, książki i rękopisy. Katalogowe ceny tej firmy odznaczały się niepomierłą wysokością i obliczone były chyba na bardzo naiwnych zbieraczy. Na początku wojny „Lamus” doszczętnie spłonął.

Charakterystyczną i sympatyczną postacią był Jan Karpiński, popularny wśród zbieraczy warszawskich. Samouk, o skromnym wykształceniu, miał widocznie wrodzoną żyłkę gromadzenia książek. Korzystając jako funkcjonariusz kolejowy z bezpłatnej jazdy zwiedzał prowincjonalne miasta i wydobywał z księgarni i różnych zakamarków zapomniane utwory za niską cenę. Rzecz dziwna, że szczególną pasję miał do gromadzenia utworów poetyckich; co prawda w handlu miały one cenę najniższą. Pobory niższej rangi pracownika kolejowego nie wystarczały na utrzymanie licznej dziatwy, której starał się dać wykształcenie. Zaczął tedy sprzedawać swoje zbiory oraz założył księgarenkę przy ul. Twardej przeważnie z książkami szkolnymi. Sprzedażą miała się zajmować jego żona. Obarczona liczną dzieciarnią, systematycznie powiększającą się z roku na rok, zapracowana kobiecina nie mogła należycie pełnić roli sprzedawczyni i wkrótce trze-

ba było sklep zwinąć. Zaprawiwszy się do handlu książkami, Karpiński został wędrownym antykwariuszem. W niedziele sprzedawał książki na targu na Sewerynowie, w godzinach wolnych od zajęć na kolej roznosił książki po księgarniach albo handlował bezpośrednio ze zbieraczami. Wszyscy lubiliśmy tego łagodnego i cichego człowieka, stale obladowanego paczkami książek. Zginął w czasie powstania warszawskiego.

Na parę lat przed ostatnią wojną poznałem jeszcze jednego antykwariusza Sztemboka. Miał on budkę z dewocjonaliami przy kościele Św. Aleksandra. Sam wykazywał zainteresowania kolekcjonerskie, z natury był inteligentny i z biegiem czasu niezłe orientował się w książkach i rycinach. Z ogłoszeń, osobistych poszukiwań i ze stosunków ze Świętokrzyską umiał on zdobywać nieraz ciekawe rzeczy, które sprzedawał po umiarkowanej cenie. Przy końcu wojny został zaarrestowany przez gestapowców podobno wskutek denuncjacji pod zarzutem pochodzenia żydowskiego.

Do charakterystyki antykwarni dawnego zaboru austriackiego i pruskiego nie mam tyle materiału, co do warszawskich. Kontakt mój z nimi był dorywczy i jedynie dzięki wydawanym przez nie katalogom mogłem stamtąd sprowadzać książki. Ul. Szpitalna w Krakowie i sąsiadujące z nią przecznice, gdzie królował ród Tafetów obok Himelblauów przypominała mi *minorum gentium* antykwariuszów warszawskich.

Daleko lepiej przedstawiał się Lwów. Z tym miastem wiąże się ciekawe zdarzenie z mojego życia wśród książek. Gdy podczas pobytu we Lwowie w czasie zjazdu bibliofilów zaszedł do antykwarni Igła i zacząłem pytać subiekta o niektóre druki,

zbliżył się do mnie siwy starzec wysokiego wzrostu, niewidomy, i zapytał, czy ma przyjemność mieć u siebie p. Jana Michalskiego z Warszawy. Gdy zdziwiony zapytałem, skąd zna moje nazwisko i co go doprowadziło na myśl, że to ja jestem w sklepie, odrzekł, że zorientował się natychmiast na podstawie moich poszukiwań, a o mnie wszak powinni wiedzieć wszyscy antykwariusze w Polsce. Mogłem być nabrać o sobie wielkiego mniemania, gdybym nie przekonał się, że najmniej znany byłem wśród tych, którzy z urzędu kierowali sprawami książki w Polsce.

W związku ze Lwowem przytoczę wysoce charakterystyczny objaw. Była tam „Antykwarnia Naukowa” założona przez inż. Tuleję. Zamówiłem przez księgarnię szereg pozycji z jego katalogów; niestety, ani książki, ani odpowiedzi nie było. Wysyłałem kilkakrotnie w tej sprawie listy z równym skutkiem. Po paru latach, gdy zwróciłem się do jednej z firm antykwarskich w Niemczech, nadmieniając, że zbieram wszelkie mickiewicziana, otrzymałem wśród szeregu ofert wycinki ze znanych mi katalogów Tulei. Zamówiłem rzeczy w języku niemieckim i tylko dla żartu zażądałem pozycji z katalogów Tulei. I o dziwo! Wszystkie te rzeczy otrzymałem. Widocznie księgarz niemiecki miał we Lwowie komisjonera, który umiał natrafić na dobry humor antykwariusza czy Bóg wie jakich użył środków, dość, że tak okólną drogą i z takim opóźnieniem otrzymałem kilka broszurek.

O rzadkich książkach i bibliotekach prywatnych



Po skończeniu uniwersytetu warszawskiego nie mogłem — jak zamierzałem — wyjechać do Lwowa czy Krakowa na studia polonistyczne ze względu na brak środków. Zostałem przeto nauczycielem języka polskiego w prywatnych szkołach polskich. Zajęciu temu oddawałem się do r. 1918, kiedy powołany zostałem do Ministerstwa Oświaty na wizytatora szkół średnich i na tym stanowisku trwałem do czasu sanacji i... emerytury.

Szkolna moja praca jako polonisty przy pewnej ambicji z mojej strony, aby dawać z siebie młodzieży jak najwięcej, zwracała nieustannie moje zainteresowania ku różnym dziedzinom humanistyki. Od dawien dawna wyrobiłem w sobie pogląd, że największym wrogiem naszym jest ciemnota i szerzenie wiedzy jest najwyższym nakazem. Głęboko jestem przekonany, że tą drogą najwłaściwiej można wychowywać rzesze młodzieży. Różne tak modne teraz hasła wychowawcze z wątpliwej wartości metodami i środkami nie wpłynęły jakoś na podniesienie poziomu moralnego młodzieży, lecz przeszkadzając często normalnym zadaniom szkoły, wpłynęły na obniżenie poziomu umysłowego wychowanków.

Wracając do rzeczy zaznaczę, że w dziedzinie historii literatury i kultury polskiej byłem samou-

kiem i choć opanowanie metody filologicznej na sekcji klasycznej uniwersytetu ustrzegło mię od dyletantyzmu i pochopności łatwych uogólnień, jednak samouctwo przeszkadzało w koncentracji studiów i rozwinęło stałe pragnienie zdobywania coraz nowych wiadomości. Prócz tego miałem nieprzewyciężony wstręt do pisania. Czy to był brak tresury, czy nieudolność, czy przesadny samokrytycyzm — nie umiem powiedzieć.

Piszę o tej mojej erudycyjnej pasji, bo wiąże się ona organicznie z pasją kolekcjonowania. Dzięki temu biblioteka moja rosła stale. Nie ulega wątpliwości, że w dużym stopniu miała tu wpływ mania czy nałóg (mniejsza o nazwę), chociaż dużą rolę odgrywały pewne cechy umysłowości mojej oraz ówczesne warunki pracy naukowej w zaborze rosyjskim. Staralem się kształcić ciągle. Wychodząc z założenia, że jestem Polakiem i nic polskiego nie powinno być dla mnie obce, coraz więcej w zamiłowaniach i studiach wybiegałem poza literaturę i język polski. Ojczyzna historia, filozofia, etnografia, sztuka coraz więcej mię pochłaniały, wywołując potrzebę rozszerzania zbiorów w tym kierunku.

Poza najbliższą sercu humanistyką bardzo pociągały mię zagadnienia społeczne. Wszak młodość moja — to ostatnie fale pozytywizmu oraz ideały i „choroby” czwartaków warszawskich, tak pięknie utrwalone przez Żeromskiego, wiek męski — rewolucyjne ruchy 1905 r. i lat następnych. Trudno było poprzestać jedynie na swojszczyźnie, bez tła europejskiego. Wyniosłem z uniwersytetu dobrą znajomość literatur starożytnych, co dla polonisty jest rzeczą pierwszej wagi, oraz pewną znajomość literatur europejskich. Rozszerzyłem ją w drodze samouctwa.

Mówię o tym wszystkim, aby wytłumaczyć narastanie mojego księgozbioru i konieczność stałego

kontakty z księgarzami, gdzie nabywałem nowe rzeczy. Zresztą sprowadzenie książek z zagranicy i zza kordonu wymagało również stosunków z księgarzami. Z tego powodu poznałem prawie wszystkie nasze firmy księgarskie i wkrótce łączyły mnie z wielu księgarzami bardzo dobre stosunki. Dowiedziawszy się przypadkiem, że w niektórych starych firmach można znaleźć w składach rzeczy wyczerpane, nie szczędziłem trudu, aby po strychach, piwnicach i różnych zakamarkach grzebać się ku wielkiemu zdziwieniu właścicieli i ich pracowników.

Znajdowałem dużo cennych rzeczy, nawet jeszcze nie rozcięte druki XVIII-go wieku, u Idzikowskiego, który nabył remanent po starej firmie M. Orgelbranda, u Arcta, Hoesicka i innych. Miałem też dostęp i do półek księgarskich, skąd również można było wyłowić dobre wyczerpane rzeczy. Pamiętam np. takie zdarzenie. Wyszedł pamiętnik coś w 25 egzemplarzach sekretarza ks. bisk. Ign. Krasickiego. Natychmiast prosiłem księgarza o sprowadzenie tej rzadkości. Pomimo gorliwych poszukiwań nie udało mu się uczynić zadość mojej usilnej prośbie. Aliści znacznie później, przeglądając półki w tej samej księgarni, znalazłem poszukiwany pamiętnik. Widocznie księgarzowi nie przyszło na myśl rozpocząć poszukiwań od sprawdzenia, czy wydawca nie przysłał mu okazowego egzemplarza.

Z tą właśnie firmą Wendego na Krakowskim Przedmieściu naprzeciw uniwersytetu łączyły mnie najdawniejsze i najbliższe stosunki. Właścicielami jej byli dwaj niezwykle uprzejmi i mili księgarze, Hiż i Turkuł. Księgarnia ta miała najlepiej zorganizowane stosunki z zagranicą. Przez nią sprowadzałem jako student klasyków greckich i rzymskich, a później rzeczy polskie: nowe wydawnictwa oraz stare z antykwarskich katalogów poznańskich

(Jolowicza, Leitgebra, Cybulskiego, Św. Wojciecha), lwowskich (Igla, Grunda, Hoelzla) oraz z antykwarni niemieckich. Firma, sprowadzając duże transporty książek zagranicznych, musiała być w dobrych stosunkach z cenzurą, dokąd szły wszystkie paki. Porozumienie za pomocą wszechwładnej łapówki sprawiło, że wśród obcych rzeczy ukrywano nielegalne wydawnictwa, które sprzedawano zaufanym klientom.

Korzystałem z tego i w ten sposób mogłem uzupełniać luki w dziale literatury polskiej. Sprowadzanie książek miało tę niedogodność, że wszystkie transporty książkowe szły przez Lipsk i tam były przepakowywane, co zabierało wiele czasu. Książka np. z Krakowa szła do Warszawy co najmniej miesiąc. Zdarzały się i inne trudności, dzięki którym miałem możliwość zawarcia znajomości z jednym z cenzorów. Zamówiłem jakąś bardzo mi potrzebną książkę i często pytałem o nią Hiża. Dowiedziałem się wreszcie, że jest wymieniona w fakturze lipskiej i nazajutrz z cenzury będzie sprowadzona do księgarni. Gdy przyszedłem po nią, Hiż z irytacją powiedział mi: „Co to za gałgan ten Teodoridi! Bierze od nas stałą pensję miesięczną, wpada często po zaliczki na tę pensję, my ich nigdy nie potrącamy, a trzeba go pilnować i patrzeć na ręce, bo przy rewizji książek ściąga nam egzemplarze i sprzedaje na Świętokrzyskiej. Jeżeli panu zależy na pośpiechu (drugi egzemplarz sprowadzimy dopiero za miesiąc), niech pan zaraz pojedzie na Miodową do cenzury i powoławszy się na mnie pogada z Grekiem. Może, bestia, nie zdążył spieniężyć zdobyczy”. W te pędy udałem się tam i przedstawiając się niezwykle układnemu, świetnie mówiącemu po polsku panu radcy, Grekowi z pochodzenia, spytałem czy czasem nie wziął do czytania potrzebnej mi gwałtem książki, którą po kilku dniach

chętnie będę mu służył. Okazało się, że Hiż miał rację. Cenzor wręczył mi pożądaną książkę i zaproponował, abym sprowadzał z zagranicy książki bezpośrednio przez niego. Dowiedziałem się od niego, że daleko krótsze i praktyczniejsze będzie sprowadzanie książek pocztą pod opaską. Rzeczy te również szły przez cenzurę i odtąd urzędowy argus własnoręcznie przynosił do mego mieszkania paczki otrzymując za każdym razem trzy ruble. Rozmowę ze mną kończył zawsze sentencją: „Trzeba żyć i dać żyć innym”.

Przed znajomością z Teodoridim przeżyłem w cenzurze moment pełen wzruszeń. Jeden z moich przyjaciół, będąc w Krakowie, wysłał dla mnie w podarunku paczkę z książkami zabronionymi, a po powrocie do Warszawy dał mi list do cenzora Kuzniecowa. Ten przyjął mnie uprzejmie, zawołał woźnego, aby mi otworzył dużą szafę, w której składowano skonfiskowane rzeczy, i łaskawie pozwolił mi wynaleźć swoje książki. Zaiskrzyły mi się oczy, gdy przerzucałem nagromadzone skarby. Wynałazłem wreszcie swoje rzeczy, ale ciągle brałem do ręki rarytasy. Naraz słyszę głos woźnego: „Niech pan bierze, co panu potrzeba”. Dzięki tej zachęcie zamiast niedużej paczki wywiozłem całą dorożkę. Woźny elegancko zapakował mi te rzeczy, wyniósł do wehikułu i uklonił się nisko, gdy otrzymał 10 rb. w złocie. Chwaląc się tym połowem Wolskiemu, dowiedziałem się od niego, że kilka razy dzięki stosunkom dobierał się z powodzeniem do tej szafy, która na szczęście stała nie w pokojach, gdzie przesiadywali cenzorzy, którzy podobno częściej urzędowali w pobliskiej restauracji Arkuszewskiego.

Ostatnim moim kontaktem z cenzurą rosyjską było przeglądanie i wyławianie ciekawych rzeczy z zasobów tej światłoburczej instytucji, gdy w cza-



4. Zygmunt Wolski

się poprzedniej wojny zakończyła u nas swój żywot i bez naszego żalu opuszczała Warszawę. Sprzedała ona wówczas antykwariuszowi Jabłonce całe swoje magazyny. Archiwum swoje, niestety, wywiozła.

Trzymając w ciągu tylu lat rękę na pulsie życia antykwarskiego w Warszawie, podzielię się spostrzeżeniami co do rzadkości książek; nadmienię, jakie książki były poszukiwane i jakie większe bi-

blioteki dostały się do antykwarni. Jak już mówiłem, skutek kataklizmów dziejowych, braku poszanowania, a także małego nakładu, stare nasze druki XVI i XVII-go wieku od dawna były rzadkie. Częściej spotykały się druki w języku łacińskim, mniej czytane, jak również dzieła treści religijnej i folia. Z wyjątkiem takich rzadkich w mojej praktyce zdarzeń, jak sprzedaż biblioteki Celińskich, J. Przyborowskiego, Gomulickiego, Niemirowskiego, gdzie były druki w polskim języku z 16 i 17 stulecia treści świeckiej w formacie 4° i 8°, nie naliczyłem chyba do stu takich druków w handlu antykwarskim. Z utworów np. Reja prócz zdefektowanego *Zwierzyńca* widziałem tylko w handlu ładnie zachowany egzemplarz *Zwierciadła*. Z pierwodruków J. Kochanowskiego poza zbiorem J. Przyborowskiego spotkałem tylko ulotny druk w zbiorach po Gomulickim. Nawet przedruki tego poety z 17-go wieku w dobrym stanie spotykały się rzadko; przeważnie egzemplarze były zdefektowane.

To samo mogę powiedzieć o utworach innych poetów i prozaików naszych. Jeszcze w początkowych latach mojego kolekcjonerstwa względnie częściej pojawiały się w handlu kroniki Miechowity, Decjusza, Biblia Leopoldy i Wujka, kazania Skargi, Birkowskiego, Starowolskiego oraz utwory ascetyczno-religijne. Z biegiem czasu i te stały się rzadkie. Dość częsty wiek 18-ty i początek wieku 19-go również uległ temu losowi. Najdłużej trzymały się ascetyczne i teologiczne utwory schyłku 17-go i pierwszej ćwierci 18-go, którymi nikt się nie interesował. Tego rodzaju utwory z nie rozciętymi stronicami zabierają miejsce w bibliotekach. Że coraz rzadziej pokazywały się w handlu antykwarskim starsze druki, wytłumaczyć można w znacznej mierze tym, że po r. 1905, a zwłaszcza po odzyskaniu niepodległości, zaczęły się tworzyć bi-

bioteki publiczne, dokąd ludzie oddawali chętnie zawadzające im w domach nieużyteczne książki.

Wśród sporadycznie spotykających się w handlu starych druków od czasu do czasu wpadały w ręce skrzętnych zbieraczy tzw. „klocki”. Po kilkanaście nieraz mniejszych druczków oprawiano razem dla oszczędności i w ten sposób zachowywały się nieraz unikaty. Najczęściej taki klocek miał wydarte karty na początku i końcu. W mojej praktyce zdobyłem trzy takie klocki. Najmniej cenny prócz kazań i panegiryków z wieku 17-go zawierał Miczyńskiego antyżydowski traktat.

Drugi in 8^o poza kilku łacińskimi utworami z pierwszej ćwierci 16-go wieku ukrył w środku unikat z 1532 r. w polskim języku z obiecującym tytułem *Trzyńście artykułów o zachowaniu czystości panińskiej*. Niestety, z cymeliami moimi spoczywa dotąd lub zginął pod gruzami. Zdobyłem ten klocek w sposób nieco osobliwy. Przeglądając po bieżnie z braku czasu bibliotekę klasztorną, sięgnąłem w celu obejrzenia do podejrzanej grubości osemki. Istotnie, jak przypuszczałem, był to klocek. Z właściwą mi sprawnością szybko go obejrzałem i naraz widzę w znakomitym zachowaniu piękny druk unglerski, o którym nigdy nie słyszałem. Z nabytym podczas poszukiwań spokojem zapytuję, czy mógłbym tę książkę wypożyczyć. Gdy pochośnie się na propozycję zgodzono, aby kwestię postawić jasno, bo nie podzielałem praktyk ode mnie znakomitszych bibliofilów, zapytałem znów, że chcę pożyczyć książkę na takich warunkach, że nigdy jej nie zwrócę. I na to zgodzono się ku wielkiej mojej radości.

Z trzecim klockiem historia była dość zabawna. Zachodzę do sklepu Kleinsingera, gdzie później miał miejsce opowiedziany wyżej incydent z Zaniem; pytam, czy jest co nowego i rozglądam się po

sklepie. Wprawne moje oko dojrzało na górnej półce wysoko dość grubą książkę in 4^o w starej oprawie. Pytam, co to za książka. Antykwariusz wyjaśnia, że to jakiś defekt bez początku i końca. Ledwie się doprosiłem, żeby ją zdjął z góry. I znów podejrzenia moje się sprawdziły. Rzeczywiście szeregiem razem oprawnych druczaków, czego nie spostrzegł kupiec, rozpoczynał *Psalterz* w tłumaczeniu J. Kochanowskiego, ale dalej szedł cały Jan Kochanowski z r. 1600, *Fraszki*, *Fragmenta*, najstarsze wydanie *Peregrynacji dziadowskiej* (unikat) i zamykał — ku wielkiemu memu zmartwieniu — unikat *Tragedii o Ulissiesie i Penelopie* niejakiego Paxillusa z początku 17-go wieku. Prócz bowiem karty tytułowej i trzech kart przedmowy, i to niecałej, jakaś bezbożna ręka resztę wydarła. Oczywiście nabyłem ten klocek za śmiesznie niską cenę bez żadnego targu.

Nadmienię, że los dziwnie nieraz zawzina się na niektórych autorów. Tak było z owym Paxillusem (czy to nie modna wówczas zmiana nazwiska jakiegoś Małeckiego na greckie z końcówką łacińską?): poza śladem *Tragedii* drugi jego utwór *Komedia o Lizydzie* zachował się w jednym egzemplarzu w bibliotece szwedzkiego miasteczka, dokąd dotarł wśród łupów nordyków 17-go wieku, którzy solidnie spustoszyli i ograbili naszą ojczyznę.

Najwięcej poszukiwanymi i przeto mającymi największe ceny w handlu antykwarskim były książki z dziedziny heraldyki i genealogii, numizmatyki, wojskowości. Poszukiwano też varsovia-nów, pamiętników, szkiców historycznych, kalendarzyków politycznych; później stały się modne dzieła z zakresu sztuki. Z tej racji książki wymienionych dziedzin chętnie nabywane były przez antykwariuszów i zawsze można było je znaleźć w zasobniejszych sklepach. Osobiście miałem awersję

do heraldyki, numizmatyki i wojskowości. Może wpłynęli na to różni zbieracze tych działów. Większość tego typu kolekcjonerów raziła mnie ciasnotą i ograniczonością umysłową. Prócz tego dołączyły się tu moje osobiste poglądy społeczne, radykalne i wyłączne, jak to bywa w młodości. Żałowałem później, że za daleko posunąłem ten ostracyzm względem heraldyki i nie zebrałem podstawowych rzeczy do genealogii, czego brak bardzo odczuwałem później przy badaniach naukowych.

Najmniej poszukiwane były utwory dramatyczne i zbiorki poezji i dlatego na rynku antykwarskim miały bardzo niską cenę. Nawiasem pozwolę sobie zauważyć, że my Polacy, należymy chyba do najpoetyczniejszych narodów nowożytnych, sądząc po niepomiarnej liczbie utworów drukowanych, poczynając od połowy 16-go wieku do chwili ostatnich. Wszak i teraz, po zakończeniu wojny, przodują szalenie wśród drukowanych pozycji elukubracje wierszowane. Może z tej predylekcji do rymów w naszych historiach literatury i studiach literackich główną uwagę zwraca się na utwory wierszowane. Przedrukowuje się nudne o koszlawej formie wiersze, a poważna, piękna proza polska, pełna nieraz mądrych i głębokich myśli, leży dotąd odłogiem. Jak mało jest zbadana nasza literatura polityczna 16-go, 17-go i 18-go wieku, nasze dawne kaznodziejstwo przesiąknięte patriotyzmem, poruszające zagadnienia polityczne i społeczne, pełne dosadnie utrwalonych obrazków obyczajowych!

Po tej dygresji wracam do spraw antykwarskich. Otóż kupcy ze Świętokrzyskiej, rozmieszczając książki na półkach według działów, poezje i teatralia spiętrzone w stosy trzymali zwykle w zakamarkach. Co pół roku miałem zwyczaj przeglądać kolejno u antykwariuszów te dwa działy, uprzedza-

jąc z góry właściciela, że płaćć będę najwyżej po 30 groszy za sztukę. W przeciwnym razie nie mam zamiaru brudzić rąk w kurzu. Nie pamiętam wypadku, aby antykwariusz się nie zgadzał, eliminując sobie co najwyżej w czasach ostatnich Tuwima.

W związku z poezjami miałem raz takie zdarzenie. Wyciągnąłem z półki pięknie zachowane dwutomowe wydanie petersburskie Mickiewicza w dawnej stylowej oprawie. Gdym zapytał o cenę, wyjątkowy zresztą „hebes” antykwarski zaczął mię gwałtownie namawiać do kupienia czterotomowego wydania jubileuszowego (Wawelberga), które kosztowało 80 kop. Nie mogłem na razie zrozumieć, o co mu chodzi; wreszcie skombinowałem, że szło tu o zdobycie większej sumy. Wytłumaczyłem antykwariuszowi, że mały format jest dla mnie wygodniejszy, i w końcu nabyłem bez tangu tę rzadkość za 40 kop.

Z większych bibliotek, jakie za mej pamięci dostały się na rynek antykwarski, wymienię: Celińskich z Cekowa, Józefa i Walerego Przyborowskich, W. Maciejowskiego, K. Moychy, Bronisława Grabowskiego, K. Reychmana, W. Gomulickiego, B. Hillera, Niemirowskich, ks. Gołaszewskiego, ks. Szaniawskiego, cenzora Anastasiewicza, Pawińskiego, Rembowskiego, Ziffera, Neprosa, Wittyga. O kilku z nich wzmiankowałem i charakteryzowałem je wyżej; o niektórych powiem słów kilka, gdy będę kreślił sylwetki zbieraczy.

Biblioteka po Walerym Przyborowskim, nabyta przez Wildera, miała dwa działy ładnie zebrane: powstanie 1863 roku i Varsovia-na. Biblioteka po Wacławie Maciejowskim ze Składu Banku Polskiego po latach dostała się również do Wildera. Obfitowała ta biblioteka w slawica, prawo i historię. Dwa katalogi poświęcił Wilder zasobom po Maciejowskim. Trzeba

jednak krytycznie traktować antykwarskie katalogi, wymieniające na tytule „Ze zbiorów...” lub „Biblioteka N-go”, gdyż antykwariusze z pobudek handlowych bez ceremonii włączają do takich księgozbiorów zasoby własne.

Kolekcję ks. Gołaszewskiego nabył R. Kleinsinger. Składała się ona z dzieł treści teologicznej, historycznej i ładnego zbioru filozofii polskiej. Z tego działu filozoficznego nabyłem między innymi rzadkie bardzo, drugie wydanie *Chowanny* Trentowskiego bez wyciętych kartek przez cenzurę pruską.

Biblioteka po ks. Szaniawskim, redaktorze „Przeglądu Katolickiego”, liczebnie bardzo duża, obok przewagi dzieł teologiczno-kościelnej treści miała dużo dzieł historycznych i lingwistycznych. Pamiętam, jak sprzedająca ów księgozbiór rodzina zmarłego wyraziła zdziwienie, że ja pierwszy świecki człowiek nabywam dzieła z działu kościelnego (historię zakonów, dzieje Kościoła, kazania itp.), podczas gdy księża nabywali wyłącznie książki o treści świeckiej. Zainteresowania językoznawcze ks. Szaniawskiego bez tresury naukowej zaprowadziły go na manowce. Drukowana np. elukubracja *Lech, Czech i Rus* świadczy o rozstroju psychicznym: autor poważnie zaliczał język polski do najstarszych w świecie i uzasadniał, że faraonowie posługiwali się tym językiem w korespondencji z żonami... Lechitkami. Co prawda Dębołęcki w 17 wieku sięgał w podobnego rodzaju wywodach do Adama, Ewy i ich najbliższych potomków.

Zbiór Bronisława Grabowskiego, niewielki co do zasobności, składał się z rzadko na naszym terenie spotykanych utworów w języku bułgarskim, czeskim i serbskim oraz z polskich dzieł traktujących o Słowianach.

Obfitą ilościowo i różnorodną jakością była bi-

blioteka Karola Moychy. Poza beletrystyką z pierwszej połowy 19-go wieku polskiej i obcej w tłumaczeniach były tam monografie miast, kalendarze i kalendarzyki, pisma zbiorowe autorów polskich, dzieła historyczne, ładne wydania ilustrowane (wzory sztuki średniowiecznej, Orda etc.) heraldyka, numizmatyka, nawet kilka starych druków, np. Starowolskiego *Monumenta*. Wszystkie książki, co się rzadko zdarzało, były w dobrym stanie i przeważnie oprawione.

Biblioteka Niemirowskich, której ostatnim właścicielem był autor *Bibliografii notariatu*, składała się ze starych podręczników szkolnych, dzieł treści pedagogicznej, kilkunastu starszych druków z 17 i 18-go wieku po ojcu oraz z dzieł treści historycznej i prawnej po synu. Osobliwością niezwykłą zbioru było to, że młodszy właściciel ze względów oszczędnościowych potworzył „klocki”, tj. oprawiał nieraz po kilkanaście druków podług formatu, bez względu na treść dzieła. Trzeba było rozrywać oprawy i wydobywać egzemplarze mocno obrzezane przez domorosłego introligatora z Płocka.

Kolekcja książek po Neprosie, który miał piękne zbiory rycin, medali, monet, militariów, antyków i pornografii, była typowo przeciętną: kalendarzyki, kroniki, heraldyka, dzieła numizmatyczne, historyczne, a najwięcej beletrystyki bardzo późnego gatunku.

Książki Anastasiewicza, cenzora petersburskiego z czasów pobytu Mickiewicza w Rosji, dłuższy czas były na składzie w kantorze przewozowym, skąd po upływie prawem przepisanego terminu, gdy się spadkobierca nie zjawiał, dostały się do handlu. Były tam rossica, slavica, dzieła treści bibliograficznej i historycznej. Było trochę i polskich druków, między innymi petersburskie wyda-

nie Mickiewicza z własnoręczną dedykacją autora.

Jednym z najosobliwszych zbiorów, jaki oglądałem w życiu, był zbiór niejakiego Feliksa Kwira, mieszkańca Starego Miasta. Zaproszony przez wdowę po nim, która dowiedziała się o moim istnieniu od wspólnych naszych znajomych, udałem się pod wskazany adres. Czego ten człowiek nie kolekcjonował? Książki, ryciny, pamiątniki, monety, marki, obrazki święte, bilety wizytowe, tramwajowe, pudełka od papierosów, fajki, żetony, powin-szowania itd. Naklejał na książkach swe ekslibrisy z napisami w języku polskim, łacińskim, rosyjskim i zdaje się włoskim. Zbiór książkowy nie posiadał żadnego kręgosłupa, ale znalazłem tam sporo rzeczy rzadkich i dla mnie ciekawych. Zaintrygował mnie zbiór biletów tramwajowych w albumie z napisami. Przy bliższym badaniu stwierdziłem, że Kwirovi chodziło o zobrazowanie i na tym odcinku postępującej rusyfikacji: były bilety tylko w języku polskim, dwujęzyczne, tylko w języku rosyjskim i znów dwujęzyczne. Po zakończeniu kupna książek wdowa uraczyła mnie jeszcze jednym zbiorem po nieboszczyku: w szafce stała rzędem z napisami i datą bateria różnego rodzaju świętych nalewek, przyrządzanych przez właściciela.

Przeciętna biblioteczka polska, jakich najwięcej widywałem w handlu, miała zawartość stereotypową: trochę historii, literatury z przewagą beletrystyki, stare podręczniki szkolne, roczniki najczęściej z brakami „Biblioteki Warszawskiej” lub „Ateneum”, „Tygodnika Ilustrowanego” lub „Kłósów”, trochę zabłąkanych nieco starszych druków, trochę książek treści społecznej. Niezbędną okrasą były albumy malarzy, albumy z widokami zwiedzanych miejscowości oraz przewodniki.

Korzystny to był przywilej przeglądania pierw-

szemu nabywanych przez antykwariuszów bibliotek, ale dość uciążliwy i pochłaniający dużo czasu. Niestety, kupcy przeważnie nie orientowali się sami, co odłożyć dla mnie, zwłaszcza gdy mieli do czynienia z książką starą lub bardzo rzadko spotykaną. Niektórzy z zasady odkładali dla mnie wszelakiego rodzaju starzyznę. Na szczęście tyle w życiu przeszło przez moje ręce książek, że dorobek piśmiennictwa naszego wieku 19-go i pierwszych dziesiątków 20-go chyba w 3/4 był mi znany z tytułów i ogólnej treści. Pomocą tu była pamięć, szczególnie wzrokowa. Szybko mogłem przeglądać stosy książek, szybko też decydowałem co mam brać. Kupcy mówili innym zbieraczom, że lubią ze mną mieć do czynienia, gdyż nie zabieram im dużo czasu i krótko się targuję. Ta szybkość miała jeszcze tę dobrą stronę, że przeciętny antykwariusz przypatrywał się minie kupującego i na podstawie wrażenia na jego twarzy oceniał książkę.

Niektórzy zbieracze zazdrościli mi tych faworów, dla innych znów byłem postrachem. Zauważyli to sprytniejsi antykwariusze i na tym tle zdarzały się nieraz zabawne historie. Bardzo często prosili mnie, abym, oglądając pierwszy nabytą bibliotekę, nikomu o tym nie mówił. Otóż gdy Przeworski nabył zbiór teatralnych druków po Hillerze i według zwyczaju dał mi znać, w te pędy wieczorem pobiegłem do antykwarni i tam do późna bez przeszkody solidnie przejrzałem całość i wyłuskałem druki 18-go i początku 19-go wieku, roczniki teatralne, ulotki etc. Wywoziłem pełną dorózkę. Na drugi czy trzeci dzień wpada do sklepu zacny mój komiliton, Mieczysław Rulikowski, namiętny zbieracz teatraliów. Znał on z rękopiśmiennego katalogu zbiór Hillera i nim przystąpił do oglądania biblioteki, zapytał, czy ja obejrzałem świeże kupno. Przeworski powiedział, że poprzed-

niego dnia wpadłem na krótko, ale nie miałem czasu i obiecałem zajść wkrótce. Rulikowski bez oglądania szczegółowego zakupił ryczałtem całość zbioru. Gdy się w nim rozejrzał i spotkał mię, bez żółci oświadczył, że aczkolwiek krótko oglądałem, ale zdążyłem wybrać wszystkie rzeczy najlepsze.

Innym razem u tegoż Przeworskiego zaszło takie zdarzenie. Weyssenhoff, który miał kłopoty z częstymi przeprowadzkami, wysortował z bogatej kolekcji druków wieku 18-go całą dużą pakę defektów i rzeczy według jego mniemania bardzo małej wartości i sprzedał to Przeworskiemu. Oczywiście zawiadomiony pierwszy troskliwie przejrzałem zawartość paki i wzbogaciłem swój zbiór, czy to dokompletowując swoje egzemplarze, czy powiększając moją kolekcję tych druków szeregiem ciekawych i rzadkich utworów. Po nabyciu zapytał mię Przeworski — co warta reszta. Powiedziałem, żeby nie wymagał wiele i zadowolił się każdą ceną, bo pozostały rzeczy prawie bezwartościowe. O tej paczce starych druków, pochodzących ze znanego zbioru, dowiedział się bibliotekarz ord. Kraśńskich i w towarzystwie przyszedł do antykwarni i zakupił wszystko za umiarkowaną cenę. Nabywcy byli zadowoleni i zaczęli trochę podżartowywać z Przeworskiego, że tak tanio sprzedał mi tyle starych książek. Wtedy, jak mi mówił, nie wytrzymał i oświadczył, że podał cenę niską, bo p. Michalski orzekł, że to są rzeczy bez wartości. „Miałem przyjemność, że za żarty z mojej głupoty widziałem wydłużone miny nabywców”.

To przesadne pojęcie o moim znawstwie bardzo było niedogodne dla mnie na licytacjach książek. Gdy bowiem stawałem do niej, wielu innych amatorów sądząc, że to pewnie dzieło rzadkie i wartościowe, podbijało cenę i uniemożliwiało mi nabycie potrzebnej książki, a przepłacać nie chcia-

łem. Gdy się to prawie stale powtarzało, licytowałem i to z pasją rzeczy małowartościowe, podbijałem cenę i w odpowiedniej chwili przerywałem zabieg, a uszczęśliwionemu zbieraczowi oświadczyłem, że zdobycz nie należy do cennych. Nie chodziłem później na te walki; prosiłem natomiast znajomych, aby dla mnie nabywali rzeczy, które przed licytacją widziałem lub wiedziałem o nich z katalogu.



Obraz moich przeżyć w atmosferze książek byłby niepełny, gdybym poprzestał na wspomnieniach i wrażeniach z moich stosunków z antykwariuszami i księgarzami. Podczas tych 55-letnich wytrwałych wypraw iluż to przewinęło się przed moimi oczami ludzi eiusdem farinae, tj. różnego typu zbieraczy, bibliofilów, maniaków etc. Jak pijacy ciągną do szynków, tak nas bibliofilów pociągają miejsca, gdzie można nasycić pragnienie kolekcjonowania. Człowiek jest stworzeniem towarzyskim. W handlowkach z napojami schodzą się przeważnie stali goście, znajomi, przyjaciele, nałogowcy i dużo czasu poświęcają pogawędkom. Tak i w antykwarniach lub księgarniach można było spotkać przewijających się tam nagminnie nałogowców książkowych. O takich spotkaniach i pogawędkach u Rosenweina na Marszałkowskiej wzmiankowałem już wyżej. Na Świętokrzyskiej również spotykali się przy wspólnym stole różni smakosze i amatorzy starej bibuły. Po pewnym czasie zawierały się znajomości, stosunki towarzyskie, które przechodziły czasami w zażyłość.

Po wskrzeszeniu państwa polskiego z wyluszczonej pobudek powstawać zaczęły towarzystwa bibliofilów. Najruchliwsze z nich było w Krakowie Towarzystwo Miłośników Książki, skupiające koło

dwustu członków, wydające specjalne czasopismo i dość sporą ilość druków i druczków bibliofilskich. Towarzystwo Bibliofilów w Warszawie w statucie zaznaczyło, że ilość członków nie może przekroczyć liczby 44. Co prawda nawet do tej ilości nie doszło nigdy grono bibliofilów warszawskich składające się z ludzi z wieku i urzędu dostojnych i w pewnej mierze ospałych. Posiedzenia były nudne i odstraszały uczestników. Nastąpiła reorganizacja, zmieniono statut i z jednej ostateczności wpadło Towarzystwo w drugą: zaczęto pochopnie, nieogłędnie, bez wyboru werbować i przyjmować członków. W celu zdobycia funduszków Towarzystwo zaczęło urządzać licytacje książek, rękopisów, rycin, ekslibrisów. Na tym tle powstały przykre incydenty. Jakiś czas rej tam wodził osławiony Ziemiakiewicz. Poważniejsi członkowie wycofali się z Towarzystwa. Poza tymi powstały towarzystwa bibliofilów w Wilnie, Lublinie, Zamościu, Lwowie i Paryżu.

Prawie wszystkie te zrzeszenia miały swoje wydawnictwa, których celem było pokazać książkę ładnie wydrukowaną i ozdobioną. Tych druków i druczków ukazało się nawet sporo, ale pomijając dziwactwa w wymiarze od lilipucich do arcydługich i szerokich, które sprawiały kłopot przy ustawianiu ich w bibliotece, większość — i to znaczna — owych wydawnictw posiada nikłą wartość pod względem treści. Każdy prawdziwy bibliofil musi pamiętać, że treść książki powinna być przede wszystkim przedmiotem jego zainteresowania. Towarzystwom bibliofilskim na przyszłość stary ich towarzysz życzy, aby wydawały mniej rzeczy, ale takie, do których warto często zaglądać, jak np. do nieukończonyj, niestety, pracy K. Piekarskiego o Unglerze.

rego zrzędy stwierdzić muszę, że urządzenie zjazdów bibliofilskich było pomysłem dobrym i celowym. Mniejsza o powódź okolicznościowych druków, mniejsza o referaty. Największą korzyścią było zetknięcie i osobiste poznanie się miłośników książki z całej Polski, towarzyskie pogawędki i wystawy. Mam wątpliwości, czy łączenie zjazdów bibliofilskich z bibliotekarskimi jest wskazane. Nie raz bibliotekarz jest bibliofilem i trudno mu się wtedy rozdwajać na posiedzeniach sekcji, a co ważniejsze bibliotekarze mają dużo spraw zawodowych, organizacyjnych i specjalnych, np. katalogowanie, z czego usiłuje się zrobić naukę, co wszystko nic albo bardzo mało ma wspólnego z bibliofilstwem. Pomijam, że poziom prawdziwych bibliofilów jest na ogół jednolity, podczas gdy miano bibliotekarza jest bardzo rozciągliwe.

Jako początkujący amator książek, wiekiem bardzo młody, z nabożeństwem przyglądałem się spotykanym w antykwarniach osobom, których nazwiska znane mi były z gazet czy z książek. Z podziwem patrzyłem na zbieracza, często zjawiającego się w antykwarni Sz. Rubinsteina na Brackiej. Niewielkiego wzrostu, krótkowidz, zawsze szperał na półkach, klęcząc nieraz na ziemi i dokładnie badał zawartość dzieła nie poprzestając na tytule. Za każdym takim pobytem wynosił sporą paczkę książek. Od antykwariusza dowiedziałem się, że to Piotr Chmielowski. W lat kilka później miałem szczęście bliższego zetknięcia się z tym niezwykle sumiennym i pracowitym historykiem literatury. Obok Nehringa, Bruchnalskiego i Brücknera był on w moich autodydaktycznych studiach nad literaturą polską najistotniejszym mentorem.

W czasach studenckich jako filolog byłem rara

avis i tym sobie tłumaczę, że zapraszany byłem na zebrania do Kazimierza Kaszewskiego i Jana Karłowicza. Dotąd po tylu latach żywo rysowuje się w moich oczach wielka długa sala na piętrze w mieszkaniu redaktora „Wisły” i językoznawcy, autora *Słownika gwar polskich* i współredaktora *Słownika polskiego*. Mieszkał on w pałacyku w podwórzu domu przy ul. Jasnej naprzeciwko placu Dąbrowskiego (wówczas Zielonego). Imponujący był widok półek z książkami wypełniających cały pokój tak, że kawałeczka pustej ściany nie było widać. Na środku pokoju na stołach, w szafkach, etażerkach mieściły się również książki i kartoteki z notatkami. Karłowicz łaskawie wtajemniczał mię raz w system robienia notatek i umieszczania ich w tekach i bardzo zachęcał do takiego systemu. Ileż to razy później żałowałem, że nie posłuchałem mądrych rad doświadczonego pracownika i zbyt dowierzałem swojej pamięci! Czytając niedawno artykuł prof. Czekanowskiego o kolebce słowiańszczyzny i o plemionach polskich, przypomniałem sobie moje studenckie lata, gdy słuchałem prawie podobnych wywodów Karłowicza na jednym z posiedzeń u niego. Opierał się Karłowicz w swoich rozważaniach na danych językowych.

Z tymi posiedzeniami wiąże się epizod weselszy. Miał referat Niedźwiedzki, jeden z redaktorów *Słownika języka polskiego*, o „popielinach”, zwyczaj ludowym w związku z połogiem niewiast. Niedźwiedzki długo rozwodził się nad symboliką popiołu i jego roli w wierzeniach i kulcie ludów. Wysłuchano wywodów w skupieniu, nikt jakoś nie zabierał głosu i gospodarz podziękował referentowi za gruntowną rozprawę. Aliści po upływie kilku dobrych lat przypadkowo przy przeglądaniu jakiegoś słownicza gwary natrafiam na „popieliny —

popiliny”, co bez symboliki i wpływołogii wyjaśniało nasz zwyczaj ludowy. Ot, schodziły się babinny i popijały przy łożku położnicy wódkę, oczywiście bez domieszki popiołu. Nie omieszkałem podzielić się moim odkryciem z Niedźwiedzkiem, którego spotykałem często na pogawędkach nauczycielskich w ogródku przy mleczarni Nadświrdzańskiej na rogu Nowego Światu i Alei. Uśmieł się serdecznie, przyznał mi rację i dziwił się, że sam ani nikt ze słuchaczów nie wpadł jakoś na tak proste wyjaśnienie obyczaju.

W antykwarni Rosenweina spotykałem czasami wysokiego postawnego mężczyznę w podeszłym wieku. Zwrócił on moją uwagę tym, że nosowym głosem proponował bardzo niską cenę za wybraną przez siebie z półek książkę lub pokazaną przez kupca. Rzadko kiedy coś nabywał, a jednak zgryźliwy antykwariusz traktował go z szacunkiem i uprzejmością. Dowiedziałem się, że był to dr W. Lasocki, Sybirak, który ostatnio osiadł w Nałęczowie. Zebrał on dużą bibliotekę obfitującą w stare druki oraz cenne i liczne okazy z dziedziny etnografii. Zapytany przeze mnie antykwariusz, dlaczego doktor proponuje ceny tak niewspółmierne na obecne czasy, odpowiedział, że dawniej nie było amatorów na stare druki i jeden z nielicznych ówczesnych nabywców, jakim był właśnie dr Lasocki, nabywał je za bezcen i nie mógł się od tego odzwycząić.

Z tych czasów pamiętam dwóch bibliofilów, należących do starszego pokolenia, z którymi spotykałem się jedynie w antykwarniach, lecz nigdy nie zamieniłem ani słowa. Z wielką atencją przyjmowali antykwariusze adwokata Leopolda Świderskiego, nabywającego stare druki polskie, szczególnie 16 i 17-go wieku. W czasach uczniowskich i studenckich przygotowywałem do gimna-

zjum kilku synów przemysłowców warszawskich branży garbarskiej. Dowiedziałem się, że Świderski przed laty jako student również kształcił młode pokolenie w tejże sferze. Zakochał się w starszej siostrze jednego z pupilów, pozyskał jej wzajemność, ale ze względu na obyczaj kojarzenia małżeństw wyłącznie w rodzinach przemysłowców musiał się liczyć z ogromnymi trudnościami. Matką panny była głuchoniema. Otóż Świderski, jak mi mówiono, nauczył się od specjalisty nauczyciela porozumiewania się z upośledzonymi i tak ujął matkę, że ta ani słyszeć nie chciała o innym zięciu i zwalczyła niechęć klanu do gołego inteligenta. Oczywiście, spowinowacony z wielkim przemysłem, stał się radcą prawnym kilku firm i człowiekiem bogatym. Miał zebrać nadzwyczaj cenną bibliotekę, ale jakie były jej losy, nie mogłem się dowiedzieć. Na cmentarzu powązkowskim widziałem płytę grobową tego zbieracza, na której wśród danych o zmarłym pamiętam napis „bibliofil”.

Leopold Mèyet, adwokat warszawski i literat, syn Francuza i matki Polki, jak podawał o sobie w kalendarzu „Ruch” (matką jego była znana wśród inteligencji i finansjery żydowskiej swatka), należał do bardzo szczęśliwych zbieraczy. Jemu to udało się nabyć rodzinne pamiątki po Januszewskich i J. Słowackim, a wśród nich najcenniejszą perłę zbiorów, listy poety do matki. Mèyet gromadził autografy, pamiątki, portrety, pierwodruki Słowackiego i Mickiewicza oraz innych autorów. W testamencie cały swój majątek ofiarował na cele dobroczynne, a rękopisy, ryciny i książki — bibliotece ord. Krasieńskich i Muzeum Narodowemu. Mówiono mi, że Mèyet odznaczał się skąpstwem, co zresztą pośrednio mogłem sprawdzić.

Mickiewicza i skrzętnie zbierałem stare wydania tego poety. Otóż Mèyet nie tylko nie był na tym polu moim konkurentem, lecz mimowoli ułatwiał mi nieraz tanie nabycie. Znalazłszy jakiś ciekawszy okaz, Mèyet tak długo żyłował i nachodził antykwariusza, że ten na złość jemu sprzedawał mnie ten druk za cenę, którą skąpy nabywca proponował. Przy tej sposobności zanotować muszę, że zbieracze Żydzi nie cieszyli się uznaniem wśród współplemiennych antykwariuszów, a często nawet mogłem zauważyć wyraźną ku nim niechęć. Zasłużony zbieracz i filantrop (po śmierci), Mèyet za życia był przedmiotem żartów i drwinek wśród literatów, a zwłaszcza wśród prawników. Nasłuchałem się swego czasu krążących o nim opowieści. Oto jedna z wielu. Mèyet ożenił się i jakoś wkrótce żona jego otrzymała rozwód z powodów przewidzianych przez prawo. Aby zdemontować żartobliwe pogwarki, krążące po Warszawie, Mèyet ostentacyjnie osadził w domu swoim jakąś młodą i ładną Zosię. Po pewnym czasie pokumał się z nią Smoleński i zapytał, co robiła właściwie u Mèyeta. „A... byłam dla honoru domu” — brzmiała odpowiedź. O żonie naszego mecenasa krążył dowcip, że przestudiowała 3 kursy prawa, gdyż powtórnie wyszła za mąż za prawnika, a po raz trzeci została też adwokatową.

Historyków Rembowskiego i Smoleńskiego widywałem często w księgarni Wendego, a trzecim w tym gronie godnym towarzyszem był Zygmunt Wolski, z którym byłem już wówczas na dobrej stopie. Wszyscy trzej gęby mieli jak cholewę i rozmawiali głośno stylem *Figlików Reja* czy *Ogrodu fraszek Potockiego* ku wielkiemu niepokojowi księgarza Hiza, gdyż w sklepie pełno było ludzi. Różnego gatunku sprośności, wygłaszane przy tym tubalnymi głosami, mogły wystraszyć

klientów, zwłaszcza panie. Na delikatną uwagę, że blisko są panie, Rembowski tłumaczył Hiżowi, że one właśnie najciekawiej przysłuchują się kawałom. Nieraz zrozpaczony Hiż, który naprózno mitygował rozmówców, błagał mię, abym pod jakim pozorem wyciągnął na Świętokrzyską Wolskiego, który grzmiał najsilniej i podjudzał dobrych towarzyszków.

Po wielu latach już jako wizytator szkolny miałem możliwość dokładniejszego poznania biblioteki Smoleńskiego i jedyny raz w życiu widziałem należycie — według mnie — urządony pokój poświęcony pamięci zasłużonego człowieka. Za każdym razem w czasie pobytu w Płocku nie omieszkalem wpadać do biblioteki i muzeum, aby pogawędzić z p. Rutską. Otóż podczas jednej z takich wizyt szanowna kustoszka prowadzi mię, aby mi coś pokazać. Staję przed zamkniętym pokojem, na drzwiach widzę tabliczkę z napisem: „Władysław Smoleński” oraz podkową przytwierdzoną do futryny. Otwieram drzwi i naraz oczom moim przedstawia się znany mi widok: to warszawski pokój — pracownia historyka. Te same półki z książkami, te same skromne meble, obrazki, biurko-stół, na którym leży otwarta książka, gazety, wazonik z zasuszonymi kwiatami, w ramce fotografia pięknej kobiety, wreszcie kapciuch z tytoniem. Czekałem, że otworzą się drzwi sąsiedniego pokoju i wejdzie o imponującej brodzie uczoney. Zdumiony spoglądam na p. Rutską i dowiaduję się od niej, że Smoleński przed śmiercią przeznaczył dla Płocka swoje zbiory, a urządzenie ich było dziełem pomysłu i rąk dwóch kobiet: p. Rutskiej i ukochanej historyka. Mówił mi niegdyś Wolski, że na jakiejś fotografii u Smoleńskiego czytał napis: „Twoja na śmierć i życie”. Przypomniałem to sobie wówczas, zapytałem, czy może właśnie ta osoba brała udział

w urzędzeniu pokoju, i otrzymałem odpowiedź potwierdzającą. Istotnie subtelna dusza kobieca i miłujące serce, połączywszy się we wspólnej pracy nad utrwaleniem pamięci człowieka, potrafiły z pietyzmem to wykonać. A nie było tam ani śladu śmierci: żadnej maski pośmiertnej, klepsydr pogrzebowych, wieńców itp. zwykłych akcesoriów w pokojach ku czci sławnych ludzi.

W związku ze Smoleńskim zanotuję tu jeszcze jeden szczegół z Płocka. Chodził on do tamtejszego gimnazjum i w ostatniej zachowanej cenzurze, zdaje się z klasy 7-ej, oceny ze wszystkich prawie przedmiotów były niedostateczne. Wieść płocka głosiła, że młodzieniec srodze się wówczas zakochał i zapomniał o Bożym świecie. Ukończył gimnazjum gdzie indziej. Gdy dr Maciesza pokazywał mi ten charakterystyczny dokument zachowany w archiwum gimnazjalnym i nadmieniał o zamiarze podania o tym wiadomości do pism, wyraziłem zastrzeżenia natury pedagogicznej, czy lada koronny leń lub co gorsza osioł dardanelski nie będzie powoływał się na ten przykład.

Nazwisko Zygmunta Wolskiego już kilkakrotnie przewijało się na tych kartkach. Poznałem się z nim w pierwszych moich latach studenckich. Był on wtedy nauczycielem języka polskiego w gimnazjum realnym oraz pomocnikiem bibliotekarza w księgozbiornicy ord. Krasińskich. Później od r. 1906 koleżeństwo w szkołach Zgromadzenia Kupców przy ul. Prostej oraz wspólne zainteresowania i pasja bibliofilska zacieśniły nasze stosunki. W przeciągu długich lat naszej znajomości i zażyłości zebrałem o nim i utrwaliłem w pamięci mnóstwo spostrzeżeń, opowiadań etc., z czego zużyję w tej gawędzie o czasach minionych choć garść rzeczy najcharakterystyczniejszych.

Była to swego czasu jedna z bardzo popular-

nych postaci w literacko-naukowym świecie warszawskim. Popularność tę zwiększało długoletnie nauczanie w szkołach. Oryginał, kawalarz, w czym ustępował może dr. Słonimskiemu, miłośnik książek aż do przesady, namiętny zbieracz wszelkich pamiątek przeszłości polskiej, gawędziarz, człowiek o temperamencie ognistym, niepohamowany, odważny etc. Nie mamy dotąd w naszej literaturze pracy o oryginałach polskich, a przy naszym indywidualizmie, często zbyt wybujałym, mieliśmy ich bez liku: od wielkich w swoim tragizmie poprzez różnego autoramentu sobiepanów, maniaków, dziwaków, kończąc na „samodurach”. W takiej pracy w galerii oryginałów musiałyby się znaleźć miejsce dla Zygmunta Wolskiego.

Spotykałem go w antykwarniach, gdy byłem już studentem uniwersytetu i dużo o nim wiedziałem ze słyszenia. Nabyłem raz pięknie zachowany egzemplarz *Historii naturalnej* Pliniusza w pierwszym wydaniu w oryginale i chcąc zawrzeć osobistą znajomość ze znanym bibliofilem, udałem się do jego mieszkania w pałacu Raczyńskich na Krakowskim Przedmieściu, niosąc pod pachą nabytą książkę, aby mu ją podarować. Zastałem profesora, byłem przedstawiony jego żonie, ofiarowałem Pliniusza do zbiorów, ale widocznie trafiłem na zły moment czy z innych powodów przyjęty byłem nieco sztywnie. Gospodarz był powściągliwy, żona — małomówna. Porozmawialiśmy o uniwersytecie, o wspólnych profesorach, bo i Wolski ukończył Wydział Historyczno-Filologiczny w Warszawie; coś niecoś powiedziało się o książkach i gdy rozmowa się nie kleiła, skróciłem wizytę. Już przy drzwiach zapraszał mnie do biblioteki Krasieńskich, wskazując godziny, kiedy go tam zastać można. Zniechęcony tym pierwszym krokiem ku znajomości, dość późno wybrałem się do biblioteki i zdziwiłem się nie-



5. Józef Drège

pomiernie zmianą w stosunku do mnie: serdecznie rozpytywał o moje zamiłowania. Ujęty tym, często go odwiedzałem. Zresztą spotykaliśmy się na wyprawach po książki, a później, gdy już byłem nauczycielem, na zebraniach konspiracyjnych polonistów.

Pamiętam oryginalne zdarzenie w związku z jednym z tych zebrań. Odbywać się miał zjazd z całej Kongresówki w mieszkaniu Wolskiego. Wszyscy podobno się stawili z wyjątkiem gospodarza. Dość długo czekaliśmy na niego z rozpoczęciem obrad. W końcu Konstanty Dąbrowski, współkolega z gimnazjum realnego, lepiej od innych wtajemniczony w obyczaje gospodarza, zaproponował, aby bez niego rozpocząć zebranie. Przy końcu owego sejmiku nauczycielskiego zjawia się rozpromieniony Wolski z paczką książek i jak gdyby nic przyjmuje gorące podziękowania za gościnne udzielenie mieszkania.

Oczywiście Wolski wybrał się na połów i zapomniał o zebraniu.

Podobnego rodzaju roztargnienia, gdy w grę wchodziła namiętność bibliofilska, zdarzały się naszemu oryginałowi często. Od wielu osób słyszałem o tym, co mu się wydarzyło w dzień ślubu, który odbył się po mszy rannej z wielką okazałością. Po ślubie i śniadaniu wyprawiono młodźca na spacer, aby nie przeszkadzał w przygotowaniach do uczty weselnej. Udał się oczywiście na Świętokrzyską, kolejno składał wizyty antykwariuszom, poczynając od Nowego Świata, wszędzie coś obejrzał i pogawędził. Gaduła był nie lada. Licho nadało, że akurat tego dnia któryś z antykwariuszów nabył większą bibliotekę. Co to za uczta dla zbieracza! Pochłonęła go tak, że zapomniał nie tylko o uczcie weselnej, ale nawet o oblubienicy. Tymczasem w domu, gdy nie wracał, zaczęto się niepokoić. Panna młoda szlocha, rozpacza, że spotkał go jaki wypadek. Szukano go po komisariatach policji i szpitalach. Aliści bardzo późno wieczorem zjawia się pan małżonek, nieomal oplakany, rozpromieniony, w niezwykłym humorze z paką nabytków. Zdobył wiele ciekawych rzeczy, a jeszcze więcej odłożył.

Gdym zapytał Wolskiego, kiedy byliśmy już na stopie bliskiego koleżeństwa, czy sprawa ta istotnie tak się przedstawiała i czy to czasem nie kawał, oświadczył, że tak było i zwierzył mi się z takiego oto zdarzenia. W czasie poważnej choroby dziecka poszedł do apteki po lekarstwo. Ponieważ trzeba było na zrobienie czekać godzinę, udał się na pobliską Świętokrzyską i tam zasiedział się do późna, zapominając o chorym dziecku.

Pasja bibliofilska była coraz większa i z biegiem czasu zaczęła przybierać coraz wyraźniej ce-

chy bibliomanii. Wolski nie potrafił walczyć z namiętnością. Odbijać to się zaczęło na budżecie domowym, zadłużał się u księgarzy i antykwariuszów, którzy szturmowali o należność, a często nawet pisali przykre listy.

Wolski świetnie znał się na książkach polskich i nie pominął rzeczy rzadkiej i wartościowej. Niestety, pasja nie pozwalała mu przeprowadzać selekcji w zbieraniu; upodobania jego obejmowały zbyt liczne dziedziny, przy tym dochodziły do tego różne bibliofilskie przyprawy: specjalny papier, oprawa, zapiski, ekslibrisy i superekslibrisy, ograniczona ilość egzemplarzy, druki prowincjonalne, egzemplarze nierozcięte.

Kupował świadomie po kilka egzemplarzy jakiegś dzieła: dla siebie — jak mówił — przyjaciela i złodzieja. Zaczęła w końcu przeważać ilość nad jakością. Szczupłość mieszkania i chaotyczność w zbieraniu i przechowywaniu książek była też poważnym mankamentem. Gdy stopy przynoszonej do domu bibuły groziły domowemu porządkowi, małżonka kazała wynosić je na strych podczas nieobecności męża. Tam tworzyły się zwaly, do których trudno było się dostać. W końcu zapomniał Wolski, co posiada, i dla pewności kupował po kilka razy egzemplarze jednego dzieła.

Opowiadał mi Wolski, że raz dostał się kot na ten strych z książkami, te zwały się raptem na niego i zasypały doszczętnie. Gdy gospodarz grzebał się w książkach, natrafił na szkielet zwierzęcia. Kiedy bibliofil nasz został nauczycielem w szkole na Prostej, gromadził stopy książek w różnych szafach i schówkach szkolnych już bez kontroli i utareczek domowych. Gdy zbiory te rozpanoszyły się w szkole, właściciel miał z tego powodu scysje z dyrektorem, a skoro po jego śmierci następcy podejmowali walkę z Wolskim, radził im nie wszczy-

nać tej sprawy, gdyż poprzedni dyrektor zaraz umarł, gdy zażądał usunięcia książek.

Wolskiego wszyscy lubili za jego humor, opowiadania i niezwykłą uczynność. Dość było go poprosić o pożyczenie jakiej książki; jeżeli nie mógł jej u siebie znaleźć, co rzeczywiście było trudno, nabywał ją albo wypożyczał od znajomych. Wypożyczyć Wolskiemu książkę znaczyło pożegnać się z nią na zawsze, nie dlatego żeby chciał świadomie wcielić ją do swych zbiorów, lecz kładł ją wśród swoich skarbów, przykrywał nowymi nabytkami, a w końcu wędrowało to wszystko na strych, do pak lub głębokich szaf szkolnych.

Wolski miał hojną rękę i sprawiało mu wielką przyjemność, gdy mógł obdarzać znajomych cennymi nieraz okazami. Dla mnie np. wydobywał różne mickiewicziana i wręczał mi ze słowami: „Idź złoto do złota”. Co Wolski zbierał? Chyba wszystko w zakresie drukowanego w Polsce słowa. Szczególną predylekcję miał do Sarbievianów, Krasińscianów, druków Grölla, powieści ludowych, elementarzy, starych opraw, zwłaszcza z superekslibrisami, dzieł etnograficznych, klasyków polskich. Zbierał autografy, rękopisy, ryciny, pisanki, wycinanki, garnki i wiele innych rzeczy. Ideałem jego, jak często powtarzał, było nabyć dużą kamienicę, usunąć wszystkich lokatorów i zapełnić wszystkie pokoje książkami i innymi zbiorami.

Popularny i lubiany nauczyciel kilku pokoleń, otrzymywał do zbiorów wiele podarunków. Niczym nie gardził. Nie znosił darcia i niszczenia makulatury, co również utrudniało mu utrzymanie porządku w zbiorach. Uczniowie lubili Wolskiego, choć — prawdę mówiąc — nie miał daru pedagogicznego. Rozwichrzony, skłonny do gadulstwa, niesystematyczny, odbiegający od tematu, nie mógł dać uczniom elementarnych, gruntownych wiado-

mości. Ćwiczeń z zasady nie poprawiał. Uczniowie jego na początku roku pisali klasówkę i nie poprawione kajety szły do zbiorów profesora jako autografy przyszłych sławnych ludzi. Budził natomiast Wolski różne zamięrowania wśród uczniów, najmniej jednak do polonistyki. Miałem w rękę kilka prac, w których autorowie dziękują mu w przedmowach za rozbudzenie w nich zamięrowania do studiowania przyrody.

Budził też w epoce rusyfikacyjnej patriotyzm. Odwagi miał dosyć. W gimnazjum realnym gorliwy inspektor interesował się lekcjami języka polskiego, podsłuchując pode drzwiami, w jakim języku prowadzi nauczyciel lekcje. Zrobił on uwagę Wolskiemu, czy aby uczniowie słyszą dobrze jego wyjaśnienia. Wolski krótko na to odpowiedział: „Słuszajusz” (rozkaz), otworzył na następnej lekcji na rozcież drzwi i takim głosem (a miał głos nie lada) zaczął prowadzić wykład po polsku, że z sąsiednich klas wybiegli nauczyciele i zapytali, co znaczą te hałasy. „Po prikazaniu naczalstwa” (z rozkazu władzy) — rzekł Wolski i grzmiał w dalszym ciągu. Kazano mu zamknąć drzwi i na tym zakończyła się sprawa.

W szkole handlowej, gdzieśmy kolegowali od r. 1906, stosunki były zgoła inne. Wprawdzie zacy dyrektor Cwietkowskij, znakomity pedagog, Rosjanin, którego Rada Opiekuńcza szkoły pozostawiła na tym samym stanowisku i po spolszczeniu szkoły, biadał nad niesystematycznością Wolskiego i nad jego opieszalnością w prowadzeniu ćwiczeń. Kilkakrotnie obaj się popłakali, ucałowali serdecznie, Wolski przyrzekał poprawę i na tym się kończyło. Często też dyrektor, przysłuchując się w pokoju nauczycielskim pieprznym opowiadaniom bibliofila, mawiał z rosyjska: „Boję się, co ten Wolski nie opowiada tego uczniom na lekcjach”.

Z młodzieżą Wolski dawał sobie zupełnie radę umiennie stosować należyte sposoby przeciw wybrykom. Raz jakiś dryblas nowoprzyjęty zapytał go w klasie o znaczenie nieprzyzwoitego wyrazu. Wolski spojrział na niego groźnie, zapytał, ile ma lat, i oświadczył, że z takim durniem, który już jest prawie dorosły i nie rozumie takiego słowa, nie będzie rozmawiał. Speszony żartowniś jak niepyszny usiadł i naraził się na drwiny kolegów.

O popularności naszego bibliofila można by wiele powiedzieć. Około r. 1906 grono osób urządziło w Filharmonii poranek artystyczny na jakiś cel filantropijny. Między innymi występować miała głośna swego czasu aktorka, popisująca się w kabarecie pornograficznymi piosenkami (*O Jadwidze i rydzu, Druciarz* itp.). Otóż gdy zjawiała się na estradzie, niektórzy z publiczności zaczęli protestować przeciw śpiewaczce, wychodząc z założenia, że poważny cel i inne numery programu absolutnie nie licują z podkasaną muzą. Wśród tych protestantów znalazł się Wolski choć sam lubował się w soczystych tematach, zaczął wraz z innymi z coraz większym zapalem i pasją krzyczeć: „Precz, precz”. Zjawiała się w końcu policja, ale choć coraz wyższe szarże podchodziły do profesora, nikt nie śmiał użyć ostrzejszych środków, gdyż byli to dawni jego uczniowie. W końcu udobruchał się jakoś, ale aktorka kupletów nie śpiewała.

W związku z popularnością bibliofila przytoczę choć jedno jeszcze arcyzabawne zdarzenie. Spotkał się Wolski na Krakowskim Przedmieściu z Lucjanem Rydlem i obaj znani z gadulstwa czas dłuższy odbywali spacer. Co chwila ktoś z licznych znanych kłaniał się Wolskiemu. Po pewnym czasie Rydel oświadcza: „Doprawdy nie sądziłem, że moja osoba jest tak popularna w Warszawie”.

występów kochanego komilitona można by pisać na wołowej skórze, zwłaszcza „dobrym towarzyszom gwoli”. Odbywa się np. pierwsze posiedzenie Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości. Na sali pełno osób: biskupi w towarzystwie wyższego kleru, arystokracja, świat uczonych, wiele pań. Mowy poważne, pełne dostojęstwa. Nagle zapisany do głosu Wolski stentorowym głosem zaczyna mowę: „Przede wszystkim należałoby zwrócić na to uwagę, aby księża nie ucierali sobie zadków kartami z inkunabułów i cennych rękopisów...” T. Korzon, przewodniczący na tym zebraniu, natychmiast przerywa: „Panie Zygmuncie, niech pan nie zapomina, że tu są panie”. — „A cóż to, czy panie zadków nie mają?” — brzmiała odpowiedź. Przewodniczący bezradnie opuszcza ręce, a mówca grzmi dalej przeciw różnym bezceństwom ludzi niszczących zabytki.

A wspinała scena podczas jubileuszu T. Korzona. Coraz inne delegacje składają hołd zasłużonemu historykowi w mowach namaszczonych, poważnych. Między innymi padają słowa: „My przedstawiciele Stowarzyszenia Nieruchomości m. Warszawy, składamy ci, dostojny jubilate hołd i...” Nagle jak grom rozlega się głos: „I kamienicę”. Dostojny jubilat groźnie potrząsa prawicą w stronę, skąd rozlega się znany mu dobrze głos, a tymczasem impetyczny i niepowściągliwy Wolski piorunuje przeciwko kamienicznikom, którzy wysysają krew i zdzierają skórę z lokatorów.

W r. 1906 Polski Związek Nauczycielski urządził w Filharmonii wiec, na którym mówcy poruszyli bolączki szkolne i oświatowe. W drugiej części wiecu, gdzie były wolne wnioski, wstąpił na mównicę Wolski i z pasją wygłosił protest przeciw księgarzom za to, że przeliczają obcą walutę na szkodę dla kupujących, że liczą sobie wysokie porto i ko-

misowe etc. Pijawki, zdziercy, tłumiciele oświaty itp. epitety sypały się z ust mówcy podniecającego się własnymi słowami i okrzykami tłumu: „Hańba!” Spotykam na drugi czy trzeci dzień księgarza Hiża. Ten długo wylewał przede mną żal: „Za co ten kochany pan Zygmunt znęcał się nad nami. Taki porządny, zacny człowiek. Czego chce? Przychodzi, bierze na kredyt książki, dajemy mu, nie płaci i jeszcze wykrzykuje, że zdieramy z niego skórę”.

Dowiedział się nasz zapalony bibliofil o istnieniu starej biblioteki na Bielanych. Wybrał się tedy z wizytą i uzyskał pozwolenie na oglądanie książek. Wprowadzony do składu książek, albowiem trudno było nazwać to biblioteką, zapytał przewodnika, czy można stąd coś kupić lub wypożyczyć — „Broń, Boże! reguła zakonna nie pozwala. Jedynie można ukrąść, jeżeli się uda”. — Wolski czas dłuższy napawał się starymi drukami, spośród których wiele opatrzonych było ekslibrisami Wydźgi. Oczy mu się iskrzyły do superekslibrisów oraz do różnych cymeliów, a w uszach brzmiały słowa przewodnika. Powtykał mniejsze formaty, gdzie mógł, pod garderobę, do kieszeni, a miał je, zwłaszcza w palcie, niezwykle pojemne; wreszcie z większego formatu książek związał pokaźną paczkę i wyrzucił przez okno. Wreszcie zmęczony, a zresztą ściemniało się, opuścił przybytek obfitujący w tak smakowite dla bibliofila rzeczy i poszedł pożegnać się z zakonnikami. Dręczyła go obawa, czy kto nie zabierze wyrzuconej przez okno paczki. Gościnni zakonnicy proszą go na posiłek, ale Wolski, choć diabelnie głodny, skrępowany w ruchach, obawiający się losu paczki, wymawia się, pędzi z klasztoru i nareszcie oddycha spokojnie: paczka leży; wyprawa się udała.

Wyjechał Wolski na wycieczkę szkolną statkiem do Płocka. Po drodze wstąpili zwiedzić starożytny

klasztor w Czerwińsku. Przeglądając książki, natknął Wolski druk z superekslibrisem Bony. W różny sposób próbował zdobyć od księdza to cymelium. Ksiądz ani chciał słuchać o proponowanych korzystnych zamianach. Gdy wycieczka opuściła Czerwińsk i znalazła się z powrotem na statku, grono uczniów ku zdumieniu profesora oświadczyło, że wyniesiono tę książkę dla niego. Cóż było robić? Względy wychowawcze ustąpiły pasji bibliofilskiej. Nacieszywszy się taką rzadkością, odesłał później per nefas zdobytą rzadkość do Muzeum Narodowego w Krakowie.

Rodem z Podlasia Wolski wywodził swój ród od ostatniego władcy Jadźwingów, Kumata, zmarłego, jak żartobliwie mówił, bezpotomnie. Kto wie, czy z czasem w to nie uwierzył. Malarz Wawrzeńcki zrobił mu ekslibris z widokiem pobojuwiska z głowami Jadźwingów wbitymi na oszczepy tkwiące w ziemi. Pomysł i wykonanie, według mnie, niefortunne. Zwracał się nasz bibliofil do wielu znanych sobie malarzy, aby mu zrobili ekslibris z wizerunkiem takiej, jak mówił, Maryny, która jak chwyci człowieka w objęcia, to wycisnie z niego ducha. Gdy się im to nie udawało, nazywał ich eunuchami. Ekslibris roboty Wawrzeńckiego na ten temat jest wprost szpetny. Mocny, jak to mówią, w gębie, lubujący się w pieprzonych słówkach i anegdotkach, był Wolski w życiu domowym przykładnym i wiernym mężem, czyli — według jego nomenklatury — „jadał chleb z jednego pieca”. Co zabawniejsza, był cichym i potulnym wobec żony.

Gdy podczas okupacji niemieckiej za czasów pierwszej wojny powołany został do życia uniwersytet polski w Warszawie, Wolski zapisał się jako student na literaturę i cieszył się jak dzieciak, że jest najstarszym wiekiem studentem w Polsce, że z tej racji zjawily się w gazetach jego wizerunki,

że zdobył wśród młodocianych kolegów, a szczególnie koleżanek popularność i sympatię. Istotnie, pożyczając młodzieży teksty autorów i opracowania, przynosił na wykłady pierwsze wydania oraz cenne i rzadkie rzeczy. Nie wszystkie pożyczone okazy wracały do Wolskiego lub tych, od których dla kolegów je wypożyczał. I ja wskutek tej czynności Wolskiego pożegnałem się z kilku dziełami; na szczęście mogłem je ponownie nabyć w antykwarniach. Przy spotkaniu z prof. Bronisławem Gubrynowiczem zapytałem go, jak się sprawa najstarszy jego słuchacz. Zaczynał profesor, lubiący celebrować, skrzywił się i orzekł, że Wolski niepotrzebnie chodzi na wykłady, gdyż umie więcej, niż podaje się studentom, a co ważniejsze: wprowadza na wykładach zbyt wesoły nastrój przysiadając się do studentek i rozśmieszając je szeptanymi do ucha facecjami.

Kłopoty finansowe, śmierć zięcia i żony bardzo silnie podziały na pełnego życia i humoru bibliofila. Zmuszony został do opuszczenia mieszkania i oczyszczenia strychu, gdzie spoczywały nagromadzone w ciągu wielu lat zbiory. Wówczas Wolski przekazał swoje skarby Towarzystwu Biblioteki Publicznej w Warszawie. Sądzę, że konieczność rozstania się z dorobkiem długiego życia wpłynęła również ujemnie na jego psychikę. Zmiana zajęcia (został inspektorem szkół powszechnych w powiecie rawskim) chwilowo ożywiła Wolskiego. Wkrótce jednak depresja psychiczna uniemożliwiła mu wykonywanie tej czynności, otrzymał emeryturę, osiadł w Warszawie, odosobnił się i coraz więcej dał się zauważyć w nim brak woli i zanik pamięci.

W ostatnich miesiącach życia tej oryginalnej postaci i zacności człowieka zauważyłem, że różni „miłośnicy książek”, zwłaszcza cudzych, korzystają ze stanu gospodarza, wypożyczają czy biorą na pa-

miątkę rzeczy z nagromadzonej na nowo biblioteki. Z wielką przykrością dla siebie przestałem odwiedzać towarzysza wspólnych zamiłowań, największego pasjonata-bibliofila, gdyż chciałem uniknąć podejrzeń. Po śmierci Wolskiego córka sprzedała bardzo tanio pozostałości zbioru. Z rozmowy z synem przekonałem się, że miałem rację co do znikania wartościowych rzeczy: pięknych opraw, ekslibrisów, eroticów itd.

W starszym wieku w okresie nawrotu do energii i humoru Wolski stylizował się, jak mówił, na Reja w sposobie mówienia i wyglądzie zewnętrznym. Nosił długie włosy i brodę, chodził z laską przypominającą maczugę.

Józefa Drège'a poznałem w antykwarni na Świętokrzyskiej. Stosunki nasze zacieśniały się coraz więcej, zaczęliśmy bywać u siebie i wkrótce między nami nastąpiła zażyłość i przyjaźń. Łączyło nas jako kolekcjonerów powinowactwo duchowe. Nie wchodziliśmy sobie w drogę; przeciwnie, pomagaliśmy sobie z powodzeniem. Drège był człowiekiem kulturalnym, miłym w obejściu, życzliwym, wykształconym i obytym w towarzystwie. Pomolog z wykształcenia, studia uzupełniał w Paryżu, gdzie obracał się wśród rewolucyjnych kół naszych i francuskich. W czasie naszego poznania pracował w firmie ogrodniczej G. Ulricha jako naukowy doradca, wydając świetnie opracowane katalogi drzew i nasion. Od dawna z ogromnym znanstwem, sumiennością i wytrwałością gromadził Drège materiały do historii ogrodów i ogrodnictwa w Polsce oraz do bibliografii tego przedmiotu jego umiłowań. Potrzeby osobiste zredukował do minimum, odmawiał sobie wszelkich przyjemności życiowych, aby nabywać kosztowne nieraz dzieła w obranym zakresie.

Był to zbieracz i bibliofil w stylu największym

z tych, których w życiu spotkałem. Zdołał zebrać jedyną w Polsce kolekcję, w której od drukowanych zielników polskich 16-go wieku poprzez dzieła następnych wieków, całkowicie poświęconych wspomnianym zagadnieniom, były utwory ubocznie traktujące owe tematy, aż do ulotek, wierszy, beletrystyki. Wskazywałem mu często wzmianki o ogrodach w powieściach, zbiorach poezji, oraz wtajemniczony dokładnie w jego poszukiwania, wyszukiwałem potrzebne mu rzeczy. On również pamiętał o moich upodobaniach. W ten sposób np. otrzymałem arcyrzadką powiastkę Białopiotrowiczowej *Hrabia Teodor, czyli Łazienki w Warszawie*, wytępioną, jak pisze Estreicher, z powodu skandalicznej niemoralności. Sprowadził ją Drège z jakiegoś katalogu zakordonowego, sądząc, że ta książeczka ma jakiś związek z Łazienkami. Zawiódł się, okazało się bowiem, że mowa tu była o kąpieliskach nad Wisłą.

Pochłonięty pracą zawodową, wąty fizycznie zgasł przedwcześnie na suchoty. Do ostatnich chwil swego życia zajęty był troską o ukończenie pracy. Jak pojmował to zadanie, świadczy opracowany przez niego w *Wielkiej encyklopedii ilustrowanej* zarys historii ogrodów i ogrodnictwa w Polsce. Gruntownością odznaczała się historia zakładów Ulricha, napisana z racji stulecia firmy. Właśnie w związku z tą pracą zdobyłem serce kolekcjonisty i badacza. Przeglądałem w jakiejś antykwarni roczniki „Gazety” czy „Kuriera Warszawskiego” z pierwszych dziesiątków ubiegłego stulecia. W jednym z roczników natrafiłem na włożony jednokartkowy cennik nasion firmy Ulricha. Nabyłem za grosze tę ulotkę i wręczyłem mu przy pierwszej sposobności. Pamiętam niezwykle silne wrażenie, jakie odbiło się na twarzy zbieracza. Zdławionym ze wzruszenia głosem zapytał, co ma to kosztować.

Było to na początku naszej znajomości. Odrzekłem, że będzie to dla mnie wielką przyjemnością, jeżeli zechce przyjąć ten drobiazg na pamiątkę zawarcia znajomości. Ten świstek Drège uważał za jedną z największych rzadkości i przekazał w podarunku jubileuszowym właścicielowi firmy. Wątpię, czy umiał on ocenić rzadkość cennika, a zwłaszcza wyrażenia się zbieracza.

Zbiory i rękopisy prac i notatek po śmierci bibliofila w myśl jego wskazówek i życzeń w porozumieniu z rodziną przekazałem bibliotece ord. Krasińskich pod warunkiem, że będą skatalogowane w bliskim terminie i stanowić będą osobną nierozdzieloną całość. Po upływie kilkunastu lat podczas pobytu mego w bibliotece nowy dyrektor jakoś w rozmowie ze mną wyraził pogląd, że poprzednicy jego zgola niepotrzebnie przyjęli legat Drège'a. Powiedziałem, że to mnie biblioteka zawdzięcza „zaśmiecenie” zbiorów ordynacji tą darowizną, ale poprzednicy trochę inaczej patrzyli na tę sprawę, gdym szukał odpowiedniego miejsca i stawiał warunki. Ordynacja w darze otrzymywała parotysięczną kolekcję, jedyną w Polsce, o wysokiej wartości naukowej i pieniężnej. Nawet historyk — dodałem — znajdzie w tych zbiorach szereg cennych i rzadkich dzieł ze swojej specjalności. Niestety, bibliotekarze dawnego typu, przeważnie naukowcy-historycy, uznawali głównie gromadzenie dzieł ze swej specjalności, robiąc czasami łaskawie wyjątek dla innych działów humanistyki.

Bliskie i długoletnie stosunki były między mną a Gabrielem Karaffa-Korbusem, z którym kolegowałem w kilku szkołach prywatnych. Łączyły nas jako polonistów wspólne zamiłowania naukowe i żyłka kolekcjonerska. Często razem bywaliśmy na Świętokrzyskiej, w najlepszej zgodzie ustępując sobie pasujące do naszych zbiorów rze-

czy. Korbut w zbieraniu książek ograniczał się do literatury polskiej i językoznawstwa. Pierwszą jego pracą naukową były *Wyrazy niemieckie w języku polskim*. Później zainteresowania jego poszły całkowicie w kierunku historii i literatury. Zebraną bibliotekę za życia jeszcze przekazał Warszawskiemu Towarzystwu Naukowemu jako podstawę Instytutu Polonistycznego.

Pisał niewiele. Od lat najdawniejszych zbierał materiały do swej *Literatury*, która uwieńczyła trud ponad miarę i siły jednego człowieka. Postać p. Gabriela tkwi w mojej pamięci z ołówkiem czy piórem w ręku, robiącego notatki na karteluszkach, w kajecikach, w notesie. Wiedząc, o co chodzi, obawiałem się, czy z tego chaotycznego sposobu notowania złoży się kiedyś całość i nieraz delikatnie zwracałem uwagę, delikatnie, bo niestrudzony pracownik był arcydrażliwy i uparty. Praca nad tym dziełem często sprowadzała go do mojej biblioteki. Stąd zaczęły się liczne nasze pogawędki o bieżących wydawnictwach w zakresie historii literatury.

Po śmierci żony pozostał Korbut z dziesięcioletnim synem. Gdy wychodził z domu, zostawiał dzieciaka bez opieki. Nie chciał go posyłać do szkół rządowych ani do prywatnych ze względu na wykładowy język rosyjski. Zaproponowałem ojcu, że z chęcią mogę mu pomóc w tych trudnościach i syn jego Julek spędził w moim domu kilka lat. Wywieziony później z Warszawy na początku poprzedniej wojny, umarł w więzieniu w Moskwie. Lata długie trwało zbieranie materiałów przez badacza. Ta nadludzka pracowitość, połączona z ukrytą pasją, wydała owoc w postaci niezbędnego dla polonistów vademecum. Autor stale zbierał uzupełnienia, wносił poprawki, uwzględniał wskazówki recenzentów i znajomych i wkrótce ukazało się dru-

gie, znacznie rozszerzone wydanie, a po nim *Dopełniacz I*. Pomimo zawikłanego nieco układu, wątpliwości co do teoretycznego stanowiska autora, dzieło to, owoc szalonej pracy, pozostanie na długo niezbędnym i jedynym informatorem oraz świadectwem, że w Polsce najlepiej udają się prace wykonane przez jednostki a nie przez zespoły (*Słownik Lindego*, *Bibliografia Estreichera*, *Słownik gwar Karłowicza*, *Słownik etymologiczny Brücknera* etc.). Ostatnie lata sumiennego i zasłużonego pracownika obfitowały w szereg cierpień: o stracie syna Julka pisałem: syn dorosły z drugiego małżeństwa zginął tragicznie; sam naciерiał się przy końcu życia, złożony ciężką i bolesną chorobą.

Jestem jednym z niewielu, którym udało się kilkakrotnie nawiązać osobisty kontakt z pierwszym chyba naszym poetą-urbanistą, *Wiktorem Gomulickim*, niepoślednim bibliofilem i kolekcjonerem. A nie była to rzecz łatwa, Gomulicki bowiem słynął z osobliwych nieco obyczajów życia. Nie opuszczał prawie mieszkania i wszelkie sprawy z ludźmi załatwiał listownie. Do mieszkania jego wstęp zgola nie był łatwy. Opowiadał mi Wolski, że zaprosił go poeta do siebie na pewną godzinę. Gdy przybył punktualnie, co mu się rzadko zdarzało, usłyszał przez drzwi głos gospodarza, że Gomulickiego w domu nie ma.

W bardzo ciekawych wspomnieniach Walerego Przyborowskiego (*Stara i młoda prasa*), sumiennie przemilczanych przez osmarowanych tam literatów, pomieszczona jest wiadomość, jak to Gomulicki wychodził na miasto jedynie wieczorem i z tego powodu naraził się na aresztowanie pod zarzutem zabójstwa. Podziwiać należy, jak w takich warunkach potrafił bibliofil nagromadzić tyle cennych starych druków, sztychów, rękopisów, varsovianów i innych pamiątek. Dużą pomocą byli tu wędrowni 103



6. Ekslibris J. Drège
(Oss. I. ex. 12 268)

antykwarjusze, którzy mieli łatwiejszy dostęp do samotnika, niż inni śmiertelnicy.

Byłem widocznie znanym już zbieraczem, kiedy otrzymałem uprzejmie zredagowane przez Gomulickiego zaproszenie do siebie w celu nawiązania osobistej znajomości. Skwapliwie skorzystałem z tego wyróżnienia i udałem się na Mariensztadt, gdzie długie lata mieszkał odludek-poeta. Zostałem przyjęty bardzo mile i spędziłem podczas tej pierwszej wizyty czas dłuższy na interesującej pogawędce bibliofilskiej.

Gospodarz pokazywał mi szereg ciekawych okazów, często wychodząc po nie do sąsiedniego pokoju, skąd dolatywało kwilenie niemowlęcia. Aczkolwiek pochłonięty byłem niezmiernie ciekawą rozmową i oglądaniem białych kruków, intrygował mnie ów płacz dzieciny, zwłaszcza wobec nie pierwszej już młodości bibliofila. Po latach skombinowałem, że podczas tej pierwszej wizyty u ojca poznałem jedynie z głosu synka Juliusza, znanego obecnie bibliofila i literata, który podtrzymuje tradycję rodową w stosunku do mojej osoby i ku wielkiemu memu zadowoleniu jest częstym moim gościem i życzliwym dla mnie człowiekiem. Dowiedziałem się później, że Gomulicki godnie reprezentował chodzące w parze cechy bibliofila i babofila; trzeciej cechy, bibofila, spotykanej dość często u mistrzów naszego cechu, o ile wiem, poeta nasz nie posiadał.

Oglądając różne okazy zapytałem gospodarza, czy w bogatych jego zbiorach nie ma czasem *Pień wiejskich* W. Reklewskiego. Interesowałem się wtedy poetami-legionistami i nie mogłem nawet w dużych bibliotekach natrafić na egzemplarz tego zbiorku poezji. Gomulicki jakoś nie odpowiedział. Atoli gdy zegnałem się, wyjął z kieszeni pięknie zachowane *Pienia* i prosił o przyjęcie ich na pamiątkę pierwszej wizyty.

Stosunki nasze trwały do śmierci poety-bibliofila, przeważnie jednak polegały na korespondencji. Gomulicki proponował, aby wciągnąć do niej innych miłośników książki i w ten sposób mogłaby powstać ciekawa książka. Bywałem kilkakrotnie w jego mieszkaniu i wspomnienia z rozmów na tematy bibliofilskie zaliczam do bardzo miłych. Nie nadużywałem jednak wizyt, poprzestawałem na zaproszeniach w ściśle określonym terminie i jakoś nigdy nie spotkał mię przypadek Wolskiego. Do zażyłości

między nami dojść było trudno i z racji przyzwyczajenia odludka i różnicy wieku.

Gomulicki żyjąc z pióra, często bywał w kłopotach finansowych i musiał nieraz rozstawać się z niektórymi działami swoich zbiorów. Szczególnie konieczność ta, która dużo musiała kosztować właściciela, nastąpiła w ostatnich latach jego życia, gdy różne niedomagania i choroby uniemożliwiały pracę literacką. Po śmierci poety rodzina sprzedała zbiór jego książek do antykwarni „Światło”. Rękopisy nabyło Ossolineum. Wiele starych druków, głównie wieku 17-go, dostało się do moich zbiorów. Książki opatrywał Gomulicki malutką pieczętą, a na okładkach robił notatki o ich wartości i rzadkości.

Poznanie moje z Józefem Weyssenhoffem odbyło się przy wielce zabawnych akcesoriach. Zaprowadził mię do niego przyjaciel mój, Drège. Mieszkał wówczas Weyssenhoff przy ul. Rysiej w jakimś pensjonacie. Mając zamiar zwinąć mieszkanie i wyjechać za granicę, pakował zbiory i wysortowywał książki pomniejszej dla niego wartości. Były to przeważnie druki 18-go wieku. Przyszędłem z Drège'em za zgodą właściciela, aby nabyć coś dla siebie. Gdy zacząłem przeglądać wysortowane rzeczy, dał się słyszeć dzwonek i wkrótce do pokoju wkroczył jegomość starozakonny z komornikiem. Wytworzyła się sytuacja nieco kłopotliwa. Aliści w krótkich odstępach czasu dzwonki się powtarzały i nowi wierzyciele z komornikami zaczęli wchodzić nieomal gęsiego. Przy którejś dalszej parze tego rodzaju gości skonfundowany początkowo gospodarz i my nieco stropieni, spojrzawszy na siebie, parsknęliśmy śmiechem. Przy podobnej asyście trudno było rozmawiać i przeglądać książki, które zresztą wszystkie uległy zajęciu. Na szczęście Weyssenhoff wyprocesował so-

bie bibliotekę jako warsztat pracy niezbędny dla literata.

Wkrótce Weyssenhoff wyjechał do Berlina, gdzie spędził parę lat, zabrawszy ze sobą bibliotekę. Z tego czasu i miejsca pochodzą oprawy naśladowujące wiek 18-y oraz teki i pudła na broszury księgozbioru Weyssenhoffa. Po paru latach Weyssenhoff wraca do Warszawy, całkowicie poświęca się powieściopisarstwu. Najlepiej, jak mi mówił, odpoczywał przeglądając stare druki i katalogując zbiory. Był to grand seigneur o szerokim geście, różnorodnych upodobaniach i silnych namiętnościach. W czasach studenckich zdobył sobie sławę hulaki i nie zadawał się z byle kim ze studentów. Otrzymałszy po stryju w spadku piękny majątek i ożeniwszy się b. bogato, mógł z łatwością dogadzać swoim szlachetnym i mniej szlachetnym namiętnościom. Był to kolekcjoner w wielkim stylu. Kultura umysłowa oraz smak wrodzony i kształcony zaznaczyły się w jego zbieraniu, a majątek ułatwiał nabywanie.

Zebrał piękną kolekcję monet, medali, sztychów i książek. Dział książkowy składał się z numizmatyki, heraldyki, militariów (po generale Weyssenhoffie), sztuki, wydań autorów francuskich z 18-go wieku oraz z najbogatszego w Polsce zbioru druków z epoki Stanisława Augusta (czasopisma, kalendarzyki polityczne, literatura polityczna i piękna i mnóstwo ulotek). Nabywał Weyssenhoff partiami i miał dostawców w kraju i za granicą. Od antykwariusza Gieysztora np. nabył parutysięczny zbiór broszur w. 18-go. Rzeczy te, jak to niestety bywa w Polsce, były nieoprawne i zachowania nie-szczęśliwego. Mówił mi Weyssenhoff, że z zakupionego zbioru bardzo wiele druków zamienił na egzemplarze lepsze.

Pasja bibliofilska i kolekcjonerska nie wystar- 107

czała. Babofilstwo, a najwięcej karty nadwerężyły pokaźny majątek. Zaczęły się lichwiarskie pożyczki. Piękne zbiory monet, medali, sztychów, militariów, książki drogie i poszukiwane w świat poszły. Została uszczuplona, ale doborowa biblioteka. Wielki pan stawał się demokratyczniejszym w nawiązywaniu nowych stosunków towarzyskich. Powieściopisarstwo stało się jedynym środkiem do życia. Stosunki z przedstawicielami arystokratycznych rodów i z członkami Klubu Myśliwskiego, gdzie właśnie przegrał w karty krocie, ustąpiły miejsca znajomościom z literatami i bibliofilami.

W tym oto okresie, po powrocie jego z Berlina, nastąpiła bliższa moja z nim znajomość i częste gawędy bibliofilskie. Przyzwyczajenie do szerokiej stopy życiowej, a zwłaszcza babofilstwo zmuszało Weyssenhoffa do pozbywania się książek w dalszym ciągu. Stwierdzić muszę, że kosztowało go to wiele i przychodziło z trudnością, z czego skorzystały moje zbiory. Zaproponował mi pewnego razu nabycie literatury pięknej w. XVIII-go oraz czasopism i ulotek z początku 19-go. Chętnie zgodziłem się na podaną przez właściciela cenę. Po upływie paru miesięcy nowa propozycja: cały zbiór w. 18-go z wyłączeniem kalendarzyków politycznych i najwybitniejszych publicystów.

Była to kolekcja bardzo duża i nie na moje możliwości finansowe z nauczycielskiej pracy. Miałem niezły już zbiór tych rzeczy, szczególnie publicystów pierwszorzędnych. Mogłem też liczyć na sprzedaż dubletów, których byłaby spora ilość po nabyciu całego zbioru. Zaproponowałem, że gotów jestem zbiór nabyć, ale na raty w trzech odstępach dwumiesięcznych. Weyssenhoff się zgodził i zaczęliśmy ocenę. Właściciel zaproponował podział książek na kilka kategorii podług wartości sprzedażnej.

108 Już podczas tego rozdziału spostrzegłem, że nie zna

się dobrze na rzadkości druków. Nie targując się wcale, aprobowałem podział i ceny jednostek w każdym dziale ku wielkiemu, jak zauważyłem, zdziwieniu właściciela. Widocznie nabywcy poprzednich sprzedawanych rzeczy musieli się mocno targować. Policzyliśmy sumę ogólną, spisaliśmy umowę i poszliśmy z Hotelu Polskiego na Długiej na kolację do Rzymskiego.

Dzięki ratom i dubletom, które korzystnie sprzedałem, biblioteka moja wzbogaciła się o pierwszorzędny, może największy w Polsce zbiór druków epoki Stanisławowskiej, zwłaszcza że przedtem miałem dużo tych rzeczy oraz stale później zbiór powiększałem. Po sprzedaży najmilszej sercu kolekcji pozostawały bibliofilowi kalendarzyki polityczne, ale zdobywanie nowych tego rodzaju okazów było trudne przy dużej ilości posiadanych. Widocznie przyzwyczajony do kolekcjonowania, przeszedł na marki pocztowe i z właściwą sobie pasją zbierał je, segregował i bawił się nimi. Do końca życia nie rozstawał się ze zbiorem kalendarzyków i wybitnych pisarzy politycznych w. 18-go. Po jego śmierci zbiór kalendarzyków otrzymała biblioteka Uniwersytetu Wileńskiego; resztę rozprzedano.

Namiętnym zbieraczem kalendarzyków politycznych 18 i 19-go wieku był dr Wacław Męczkowski. Zbierał on prócz tego materiały do historii szpitalnictwa w Polsce. Należał do postępowych kół warszawskich. Spotykaliśmy się na owych posiedzeniach i oczywiście w antykwarniach. Był to jeden z sympatyczniejszych bibliofilów. Po jego śmierci żona ofiarowała cenną kolekcję kalendarzyków Muzeum Narodowemu w Warszawie.

Powinowatym dr. Męczkowskiego był Artur Oppman (Or-Ot), znany poeta Warszawy. Ruchliwa to była i popularna postać na terenie naszego miasta. Or-Ot ciągle coś kolekcjonował, ale widocz-

nie nie przywiązywał się do zgromadzonych rzeczy i wyprzedawał je, aby wkrótce zacząć zbierać coś innego. W naturze jego tkwiła widocznie żyłka kupiecka i stąd te ciągłe wymiany, kupna, sprzedaże. Po całych dniach jeździł dorożkami z miejsca na miejsce, odwiedzał antykwariuszów i zawsze miał do przehandlowania to obraz, to ciekawą książkę, to jakąś pamiątkę wojskową. A jak wspaniale umiał zachwalać swoją rzecz, deprecjonować własność czyjąś! Przysięgał się na wszystkie świętości właśnie wtedy, gdy łągał jak z nut. Trudno było jednak gniewać się na tego starego szalapatę. Wszystkich rozbrajał pewnego rodzaju papkinadą. Bibliofilstwo łączyć potrafił z babofilstwem, a nie stronił — zdaje się — i od bibofilstwa. Piewca starej Warszawy i dawnych typów warszawskich miał kamienicę na Kanonii i zamierzał utworzyć tam muzeum pamiątek związanych z naszym miastem. Niestety, i gromadzone pamiątki rozeszły się po ludziach, i kamienica została sprzedana.

Z Ludwikiem i Władysławem Korotyńskimi poznałem się za pośrednictwem Z. Wolskiego. Zacni ci ludzie, wprężnięci w mało wydajną na owe czasy dziennikarską orkę, borykali się wiecznie z kłopotami finansowymi i rozpraszaali gruntowną wiedzę na pracę dziennikarską i korektorską. Jak wielu dawnych literatów, w tym uciążliwym życiu szukali chwilowej podniety czy zapomnienia w alkoholu. Przejsć to mogło z łatwością w nałóg tym niebezpieczniejszy, że uprawiany na ponuro. Obaj Korotyńscy podzielili między sobą zbiory książkowe i rękopiśmienne po ojcu Wincentym, poecie i dziennikarzu, wielbicielu Syrokomli, którego imiona chrzestne otrzymali na jego pamiątkę. Te zbiory powiększali stale, zwłaszcza Władysław, którego kolekcja varsovianów była bardzo cenna. Pozostałości tych zbiorów, a w szczegól-

ności varsoviana, przeszły na własność trzeciego brata, Brunona, i szczęśliwie wywiezione zostały po powstaniu z płonącego domu. Stosunki moje ze starszym znacznie Ludwikiem były krótkie, natomiast dłuższe i bliższe łączyły mię — z Władysławem, którego nadzwyczaj lubiłem, ceniłem i serdecznie współczułem jego tragedii życiowej.

Hr. Juliusz Ostrowski poza heraldyką zbierał stare druki, szczególnie treści religijnej. Często widziałem, jak walczyły w nim: pasja bibliofilska ze zmysłem oszczędności. Zwyciężało bibliofilstwo. Specjalnie pociągały go druki antysemityczne. Skwapliwie nabył ode mnie wszystkie ludaica w. 18-go, których miałem sporo w dubletach po nabyciu biblioteki Weysenhoffa. Ostrowski bardzo mię polubił i zawsze pokazywał mi świeże nabytki. Pamiętam, przyniósł raz w polskim języku katechizm luterski z modlitwami z początku w. 17-go i z rozrzewnieniem mówił, jak to przyjemnie mieć książkę, z której się modlili nasi praojcowie. Nie chciałem gorliwemu katolikowi robić przykrości i nie wywodziłem go z błędu. Kilkakrotnie mówił, że miałby wielką ochotę, abym uczył prywatnie literatury polskiej jednego z jego synów, ale obawia się mego wpływu: miałem opinię czerwonego radykała. Projekt nie doszedł do skutku.

Bibliofilem znajdującym się na rzeczy był syn hr. Juliusza, benedyktyn. Wielka szkoda, że w tak młodym wieku umarł ten ujmujący i arcymiły towarzysz w zamiłowaniach bibliofilskich. Za każdym pobycem w Warszawie ku wielkiemu memu zadowoleniu zachodził do mnie i korzystał z moich zbiorów dla swoich prac historycznych.

Z pośród księgarzy starszego pokolenia jednego tylko znałem kolekcjonera. Był nim Maksymilian Borkowski, właściciel księgarni przy ul. Marszałkowskiej w pobliżu Żurawiej. Wydawał



7. Zygmunt Wolski

też szereg dzieł, z których kilkanaście wydań miała popularna *Historia Polski* Chociszewskiego. Borkowski zbierał ekslibrisy oraz wszelkie materiały do historii księgarstwa w Polsce, mając zamiar opracować to zagadnienie. Aby go kto nie ubiegł, otaczał tajemnicą to kolekcjonowanie, chociaż wiele ekslibrisów otrzymywał w podarunku od tych, którzy wiedzieli, że je zbiera.

Często spotykałem po różnych antykwarniach Bolesława Hillera, którego tytułowano inżynierem. Chodził tam raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby, gdy prawie nic nie kupował, a targował się zajadle z antykwariuszami. Z biegiem czasu przycisnęła go bieda, zaczął sprzedawać książki zbieraczom, zmieniał mieszkanie na coraz szczuplejsze, w końcu oddał bibliotekę na przechowanie

do kantoru przewozowego. Po śmierci ojca córka sprzedała pozostały zbiór, przeważnie składający się z teatraliów, antykwariuszowi Przeworskiemu. Bliższych szczegółów o życiu i losach tego bibliofila pomimo podejmowanych swego czasu starań, nie mogłem zdobyć. Niewątpliwie był miłośnikiem książek i zbiór jego posiadał wiele ciekawych rzeczy z zakresu bibliografii, historii miast. Prócz tego miał on największy zbiór utworów dramatycznych, jaki oglądałem w życiu.

Inżynierem tytułowano Wiktora Wittyga, który był przedsiębiorcą przy robotach regulacyjnych na Wiśle i na tym dobrze zarabiał. Przy tym zajęciu z konieczności wyrobił w sobie umiejętność ugaszczania ludzi, lubił życie towarzyskie i raczej od bibofilstwa przeszedł do bibliofilstwa. Zamknięcia kolekcjonerskie niewątpliwie posiadał. Zbierał pieczęcie, numizmaty, heraldykę, varsoviana, ekslibrisy i inne rzeczy. Wydał kilka dzieł z zakresu numizmatyki i heraldyki oraz pierwszą obszerniejszą rzecz o ekslibrisach polskich. Mówiono, że korzystał z wybitnej pomocy fachowców, co zupełnie dla mnie było wiarogodne ze względu na jego samouctwo i fatalną polszczyznę, jaką się posługiwał w życiu potocznym. Zbiory tego bibliofila rozproszyły się po świecie. Varsoviana i dzieła numizmatyczne nabyła „Antykwarnia Warszawska”, resztę zbiorów sprzedawano po jego śmierci na licytacji w domu sztuki przy ul. Chmielnej. Nadzwyczaj miłym i sympatycznym zbieraczem był Kazimierz Stefański, ostatnio kustosz działu numizmatycznego w Muzeum Narodowym w Warszawie. Należał do przedstawicieli tego dawnego pokolenia, co to ujmowali miłym obejściem, grzecznością, uczynnością i kulturą towarzyską. Poza numizmatyką Stefański interesował się historią rodzinnego miasta Kalisza i w ciągu długiego

życia zdołał zebrać ładną kolekcję druków kaliskich i różnych calissianów. Stosunki moje z tym konsekwentnym w zbieraniu bibliofilem trwały do jego śmierci, która nastąpiła w ostatnich latach okupacji niemieckiej. Mile zawsze wspominał o długiej naszej znajomości. Napisał kilka prac z dziejów Kalisza stylem żywym, o dużym narratorskim zacięciu.

Z Ignacym Chrzanowskim, nauczycielem wówczas w szkołach prywatnych, spotykałem się na zebraniach koleżeńskich, a częściej jeszcze w czasie wycieczek na Świętokrzyską, którym zwykle towarzyszył Korbut. Odznaczał się p. Ignacy niezwykłym humorem, wielką uprzejmością oraz skłonnością do wesołych kawałów. Niestety, rozluźniły się nasze stosunki z powodu wyjazdu jego do Krakowa na Katedrę Literatury Polskiej. Chrzanowski posiadał doborową bibliotekę fachową, ale nie miał żyłki kolekcjonerskiej.

W bardzo dobrych stosunkach byłem z prof. Samuelem Dicksteinem i Adamem Antonim Kryńskim. Pierwszy długoletni redaktor i wydawca „Wiadomości matematycznych” zebrał wspólną i jedyną w Polsce kolekcję czasopiśmiennictwa matematycznego w językach obcych oraz podstawowych prac z tej dziedziny. Prócz tego w bibliotece profesora był chyba komplet dorobku matematycznego w języku polskim. Sędziwy wiekiem a młody zapałem uczony miał w końcu wielki kłopot ze swoim zbiorem. Chciał go przekazać jakiejś większej bibliotece, ale nie kwapiono się jakoś z przyjęciem. Uskarżał się kilka razy przede mną i rozżalony groził, że obleje benzyną i spali zbiór, jeżeli nikomu nie jest potrzebny. W końcu legat znalazł pomieszczenie.

A. A. Kryński, znany pracownik naukowy
114 w dziedzinie języka polskiego, odznaczał się ujmu-

jąca prostotą w obęjsiu z ludźmi. Spokojny, zrównoważony, w razie potrzeby występował śmiało i umiał wzbudzić uszanowanie dla siebie władz rosyjskich jako nauczyciel gimnazjalny. Znakomity ten polonista został pozbawiony możności nauczania języka ojczystego i kazano mu uczyć języka francuskiego. Całe życie zbierał dzieła autorów polskich, szczególnie dawnych, i prace z zakresu językoznawstwa polskiego. Przed poprzednią wojną zamieszkał pod Warszawą i tam duża jego biblioteka bardzo ucierpiała, ponieważ zajęli się nią wyjątkowi i znani miłośnicy książek, jakimi są wszelakiego autoramentu żołdacy. Pozostały zbiór przekazany został Bibliotece Narodowej. Dożył profesor sędziwego wieku, zawsze zdrow i czerstwy. Zmarł wskutek wypadku tramwajowego.

Wysoce charakterystyczną postacią wśród świata zbieraczy był Michał Federowski, Kaszuba z pochodzenia. Zjawił się na gruncie warszawskim z Nowogródzczyzny i Słonimskiego, gdzie parał się gospodarką na roli, chodząc dzierżawami. Pozwoliło mu to zebrać olbrzymi materiał etnograficzny do Białorusi. Jeszcze przed wyjazdem na kresy wschodnie Federowski poznał się z Janem Karłowiczem i od niego przejął zwyczaj notowania na przygotowanych kartkach spostrzeżeń etnograficznych. Za życia ogłosił dwa tomy *Ludu białoruskiego*; tom trzeci wyszedł po jego śmierci. Pozostały materiał rękopiśmienny podobno miał starczyć na dziesięć tomów druku. Poza zbieraniem materiałów ludoznawczych Federowski szperał po różnych lamusach, strychach i innych schówkach dworów i dworków kresowych, wyławiając stamtąd książki, ryciny i różnego rodzaju pamiątki. Złośliwy Wiktor Gomulicki, lubiący osmarowywać znajomych, uwiecznił Federowskiego w powieści *Na rozłogach białoruskich w postaci „Szyto-Kryto”*, 115

niezmiernie ruchliwego, wszędobylskiego i stale robiącego notatki.

Osiadłszy w Warszawie, Federowski utrzymywał się z rozprzedaży zbiorów i pośrednictwa w nabywaniu różnych rzeczy dla klientów. Wśród nich pierwsze miejsce zajmował Wittke-Jeżewski i małżeństwo Tyszkiewiczów z Czerwonego Dworu. Federowski był dłuższy czas nie tylko dostawcą, ale i kierownikiem Jeżewskiego w budzeniu jego zamiłowań kolekcjonerskich. Tyszkiewiczowie zebrali piękną bibliotekę obfitującą w stare druki. O zasobach tej biblioteki można się przekonać choćby z *Bibliografii Estreichera*. Pokazywał mi Federowski list Tyszkiewiczowej do siebie w związku z powstaniem „Antykwarni Warszawskiej”. Pisała, że nie podoba jej się osoba jednego ze współników, M., to jest moja, ze względu — sądzę — na to, że nie będzie można nabywać tam tanio rzadkich rzeczy.

Później i to raz w życiu zetknąłem się osobiście z tą parą małżeńską bibliofilów i mam to przekonanie, że to pani głównie hołdowała tej szlachetnej pasji. Było to w „Antykwarni Warszawskiej”, gdy pokazywałem im druki 16-go wieku arcyrzadkie i małżonka usiłowała je deprecjonować. Podziwiałem przy tym, że przy mnie i o mnie rozmawiali po francusku i w naiwności swej przypuszczali, że nie znam tego języka. A może przyzwyczajeni przy służbie posiłkować się tym językiem, używali go wobec ludzi z innej sfery.

W Warszawie Federowski nabył zbiór rycin po antykwariuszu Bolcewiczu i książek po Bądkowskim. Trzeba zaznaczyć, że Federowski sprzedawał rzeczy po cenie umiarkowanej. Nie znał się dobrze ani na ich rzadkości, ani na wartości i można było u niego nabyć za grosze rysunki Norwida; rzadkie sztychy i książki. Za dużo poświęcał czasu i energii

na drobiazgi: robił wycinki z gazet, drukował ekslibrisy dla wszystkich członków swojej rodziny i dla znajomych, fabrykował nawet ekslibrisy z pieczętek i drukowanych napisów (np. „Possessorka tej książki Zofia Słizniowa”), opatrywał egzemplarze przypiskami o ich rzekomych właścicielach lub twórcach, stosownie do upodobań swoich klientów. Mnie pokazywał wizerunki ludzi rzekomo z czasów i otoczenia Mickiewicza i wysoce był zdziwiony, gdy zrobiłem mu uwagę, że wówczas kobiety nie chodziły w krynolinach. Jako curiosum nabyłem nuty do wiersza Mickiewicza, pochodzące z 1860 r., z notatką Federowskiego, że komponowała je Maryla w Tuhanowiczach. Wyobrażam sobie ile takich naiwnych a fikcyjnych rzeczy jest w zbiorach po Jeżewskim.

Pomimo nader wielkiej układności, uprzejmości i serdecznego tonu w stosunku do ludzi, na ogół nie był lubiany Federowski. Wyczuwaliśmy w tym wszystkim brak szczerości i świadomą manierę. Z. Wolski nazwał go Jezusem i pod tym mianem słynął wśród bliższego naszego grona. Zbiory swe, składające się z książek, notatek i materiałów etnograficznych, przekazał Federowski Wydziałowi etnologii Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. Oповідаł mi Demby, że przeglądał pozostałe po nim pamiątki, w których Jezusek na nikim suchej nitki nie pozostawił. Arcyzabawne w tych pamiątkach są nagłe i nieoczekiwane przejścia. Po słowach zachwyty i uznania dla jakiej osoby następuje po kropce: „Obdarł mię, oszukał, okradł niegodziwie” etc. Sądząc z jego drukowanych wspomnień, miał niezaprzeczonego talent literacki i styl o zacięciu sarmackim. W życiu domowym w późniejszym okresie warszawskim Federowski nie był szczęśliwy. Uskarżał się nieraz biedak na młodszą od siebie małżonkę, która go maltretowała i wypędziała z do-

mu. Może tym, że przywykł w domu do uległości wobec impetycznej połowicy, nastroił się na ten ton w stosunku do wszystkich.

Wśród kolekcjonerów w latach poprzedzających wojnę europejską i w początkowym dziesiątku po wskrzeszeniu Polski szerokim gestem zasłynął wspomniany wyżej W. Jeżewski. Jak mi opowiadała jego powinowata, bogaty ziemianin po zawodzie miłosnym przeniósł się ze wsi na stały pobyt do Warszawy i tu sublimował niezaspokojone uczucie w pasji kolekcjonerskiej. Zamożność pozwalała mu nabywać całe zbiory. W Federowskim i antykwariuszach znalazł chętnych pośredników. Zbierał obrazy, szkice malarzy, sztychy, antyki. Najmniej interesowały go książki z wyjątkiem dzieł ilustrowanych i przeciętnego typu powieści. Nabył u Wildera słynną kolekcję wizerunków królów polskich zebraną przez Friedleina w Krakowie, kilka zbiorów ekslibrisów. Opis zbiorów oraz Jeżewskiego wyszedł spod pióra Federowskiego. Obfita ta i cenna kolekcja została w części podarowana, w części sprzedana Muzeum Narodowemu w Warszawie. Zdziwiającą dla mnie rzeczą było spostrzeżenie, że ten zbieracz nie odróżniał akwafort od miedziorytów i stalorytów. Nie wierzyłem prawie sobie, ale rozmowy z wielu osobami całkowicie potwierdziły słuszność moich spostrzeżeń.

Zenona Przesmyckiego nie spotykałem w antykwarniach i księgarniach, gdzie zazwyczaj między bibliofilami zawierały się znajomości i następowało zbliżenie. Słynne zbiory redaktora „Chimery” powstały w czasie pobytu jego w Paryżu oraz przez bezpośrednie stosunki z właścicielami wronscianów i norwidianów. Znajomość między nami zaczęła się również z racji posiadanego przeze mnie autografu Norwida. Do ściślejszych i bliższych stosunków między nami nie doszło. Po-

zycja literacka, wiek i pewnego rodzaju wyniosłość zasłużonego reprezentanta Młodej Polski przedwzrostu nie starzejącego się (Chronosem nazywał go w rozmowach ze mną Berent) nie szły w parze z pozycją nauczyciela-zbieracza. Ten namaszczony, skłonność do grandilokwencji nie tylko w piśmie, ale i w mowie nie licowały również z moimi upodobaniami. Ceniliśmy się z daleka.

Poeta Antoni Lange nie był ani zbieraczem, ani bibliofilem w pospolitym znaczeniu tego słowa. Był natomiast wielkim miłośnikiem poezji różnych wieków i różnych narodów. Ten nienasycony głód piękna i szukanie różnorodnych form odtwarzania jego w dziełach poetyckich kazały mu uczyć się coraz nowych języków, aby poznać utwory w oryginale. Zasilił on naszą literaturę pokaźną ilością tłumaczeń. Cygan z usposobienia, niezaradny życiowo, serdeczny, pomimo pozornego zamykania się w sobie, zdzierał się w trudnych warunkach polskiego literata. Licho opłacany żył z dnia na dzień, nie będąc nigdy pewny, czy się z czego utrzyma za parę dni.

Znajomość z Langem zawarłem dzięki mojej bibliotece, w której czasami można było znaleźć rzeczy, jakich nie było w dużych księgarniach warszawskich. Pamiętam jak Lange zdziwił się, gdy stwierdził, że posiadam komplet jego utworów poetyckich, a jeszcze więcej, że przewertowałem je i cenię. Widocznie to uznanie dla jego twórczości zbliżyło poetę do mnie. Często wpadał na pogawędkę i po książki. Muszę powiedzieć, że z lękiem wypożyczałem mu rzadsze druki i otwarcie zaklinałem go na wszystkie świętości, aby po drodze nie zostawił gdzie książki lub nie zaprzepaścił. Lange widocznie wziął do serca moje prośby i zwracał pożyczane rzeczy. Zagubił wprawdzie kilka powieści, ale tego nie brałem do serca. Z rzadka poeta w

wielkiej potrzebie zaciągał pieniężne pożyczki, ale nigdy nie prosił więcej niż o rubla. Serdecznie lubiłem tego klienta mojej biblioteki, jednego z wirtuozów wiersza polskiego, człowieka o gołębiej prostocie i dużej dobroci.

Poetę Władysława Nawrockiego często spotykałem i zaznajomiłem się z nim na Świętokrzyskiej, gdzie poszukiwał przekładów na język polski zachodnio-europejskich utworów poetyckich. Zbierał też w oryginale dzieła poetów angielskich, francuskich, hiszpańskich, niemieckich i włoskich oraz nowszych poetów polskich. Tłumaczeniami własnymi Nawrocki zasiliał różne czasopisma, skąd warto by je wydobyć. Nie wiem, co się stało z bogatą i dobraną biblioteką poety po jego śmierci. Nie było jej w każdym razie w handu antykwarskim.

Jan Kwietniewski, spokrewniony przez matkę z domu Grabowską, z K. Tetmajerem i T. Żeleńskim (Boyem), samouk z wykształcenia, posiadał rozległe zainteresowania, co się zaznaczało w jego kolekcjonerstwie. Zbierał czasopisma, książki z różnych dziedzin wiedzy, rękopisy, ryciny, mapy, marki etc. Doszedł do pokaźnego ilościowo zbioru, który obyczajem większości dawnych bibliofilów utrzymywał w nieładzie. Najcenniejszym działem zbioru były książki o Polsce w obcych językach. Gromadził je stale, wyławiając z zagranicznych katalogów antykwarskich. Po śmierci zbieracza zrab jego biblioteki dostał się do Biblioteki Narodowej, a między innymi w całości książki o Polsce i archiwum tuhanowickie, które zdobył w czasie pobytu w Nowogródzkiem. Kwietniewski należał do wymierającego typu bibliofilów, którzy odmawiali sobie wszystkiego, obracając zarobki na powiększanie zbiorów. Anachoreta ten był jedną z sympatyczniejszych dla mnie postaci wśród zbieraczy warszawskich.

Jan Zawidzki, profesor politechniki, należał do konsekwentnych i rozumnych kolekcjonerów i pod tym względem przypominał mi Drège'a. Zbierał materiały do historii chemii w Polsce w najszerszym pojęciu: od podręczników zacząwszy do traktatów chemicznych, czasopism i drobnych wzmianek o nauczaniu tego przedmiotu w szkołach. Piękny ten zbiór przekazał Bibliotece Narodowej, a fachową bibliotekę — politechnice. Jakiś czas pełnił obowiązki ministra Oświaty. Przedtem znaliśmy się jedynie z widzenia, spotykając się w antykwarniach. Osobiście poznaliśmy się na jakimś uroczystym zebraniu w Ministerstwie. Podszedł do mnie i rozpoczęliśmy rozmowę nie na urzędowe i pedagogiczne tematy. Pamiętam, jak przyjaciele i koledzy moi, K. Wóycicki i W. Jeziński, śmiejąc się mówili, że ci „bibliofile znają się jak łyse konie i ciągną do siebie”. Pomimo krótkiego czasu naszych stosunków zwiedzaliśmy wzajemnie nasze zbiory i mile zawsze gawędziliśmy. Wspomnienia moje o wysoce kulturalnym uczonym kolekcjonerze należą do najmiłszych.

Ordynat Edward Krasiński utrwalił się w mojej pamięci jako wielki miłośnik książek i człowiek o wyjątkowym poczuciu obowiązków obywatelskich. Po śmierci ordynata Adama biblioteka, która się mieściła w skrzydle pałacu Raczyńskich z wejściem od ul. Traugutta, znalazła się w bardzo trudnych warunkach. Ordynat Adam za życia stale obiecywał zabezpieczyć jej losy, ale nic w tym kierunku nie zrobił. Opowiadali mi uczestnicy narad zwoływanych przezeń do biblioteki, że głównie sprzeciwiała się wszelkim dotacjom na rzecz zbiorów żona, Badeniówna, która wpadała na zebrania i gromiła zebranych słowami „Cóż to? chcecie, żeby mąż mój bez portek chodził?” Otóż — zdaje się — Badeniówna niewiele zyskała po śmierci męża,

natomiast pałac i majątek osobisty przeszedł na matkę ordynata i na przyrodnią rodzinę. Bibliotece wymówiono lokal. Na szczęście nowy ordynat, z bocznej linii Krasińskich, przejął się losem zbiorów, sprzedał osobiste dobra i za te pieniądze wybudował na Okólniku specjalny gmach na bibliotekę i muzeum.

Hr. Edward brał czynny udział w Towarzystwie Opieki nad Zabytkami Przeszłości, w urządzaniu wystaw, największą jednak jego troską była biblioteka ordynacji. Wcielił do niej swoje prywatne zbiory, nabywał z własnych pieniędzy nowości, a nawet odkurzał w końcu i porządkował własnoręcznie książki i przedmioty. Człowiek skromnych wymagań osobistych, prosty w obejściu, chętny do pracy społecznej, ceniący pracowników naukowych, zasłużył sobie na pamięć i uznanie. Osobiście doświadczałem częstych objawów życzliwości jego względem mojej osoby. Zawsze wypożyczał na moją odpowiedzialność rzadkie druki i rękopisy. Umarł w więzieniu niemieckim, gdy z wielką odwagą wystąpił przeciw bezceństwu nordyków, dokonywanym w sąsiedztwie Opinogóry.

Z Aurelim Drogoszewskim, krytykiem literackim i nauczycielem—polonistą, łączyły mnie stosunki koleżeńskie w szkołach, w Polskim Związku Nauczycielskim oraz w miłośnictwie książek. Pochodził z kresów południowo-wschodnich. Był to człowiek gołębiej prostoty i dobroci, powszechnie lubiany i szanowany. Skromnych wymagań życiowych, nieomal anachoreta, na jedną rzecz nie skąpił: stale powiększał swój księgozbiór z zakresu literatury polskiej i powszechnej. Nie był bibliofilem w specjalnym znaczeniu tego słowa, lubującym się w pięknej lub rzadkiej książce; cenił ją z racji treści i małą uwagę zwracał na jej stan i oprawę. Z zacnym p. Aurelim, który nazywał się

bie ostatnim żyjącym pozytywistą, żyliśmy w bliskich stosunkach do końca jego życia. Ostatnio pracowaliśmy w ministerialnej komisji oceny książek do nauczania literatury polskiej w szkołach średnich. Pamiętam niezwykle wrażenie, gdy po zakończeniu prac rocznych w Komisji Drogoszewski ugaskał nas w swoim „apartamencie”. Półki z książkami całkowicie zasłoniły ściany, a meble, zastawa, a zwłaszcza umieszczone w jakimś pasażyku łóżko, które powieściopisarz nazwał słusznie „wyrkiem”, były nad wyraz prymitywne.

Kolegą i przyjacielem moim był Kazimierz Wóycicki, polonista, badacz formy dźwiękowej i wierszowania polskiego. Jednolatki, jednocześnie byliśmy w uniwersytecie, kolegowaliśmy jako nauczyciele w szkołach, w pracach Polskiego Związku Nauczycielskiego, a od r. 1918 pracowaliśmy razem w Ministerstwie jako wizytatorowie szkół średnich. Nasza trójka przyjacielska (należał do niej mój najserdeczniejszy druh, Wacław Jezierski) trzymała się zawsze razem w jednym pokoju, który zdobył sobie sławę w całym Ministerstwie jako miejsce, gdzie można było usłyszeć najlepsze kawały i pogwarzyć podczas odpoczynku śniadaniowego. Wóycicki był bibliofilem w całkowitym znaczeniu tego słowa, tj. cenił przede wszystkim treść, ale lubił książkę piękną. Zbierał dzieła autorów, opracowania literackie. W drugiej połowie życia głównie gromadził prace z zakresu stylistyki i poetyki. Wóycicki należał do tych, którzy bardzo często korzystali z mojej biblioteki. Biblioteka Wóycickiego po jego śmierci rozeszła się po ludziach.

Znajomość moja z Edwardem Maliszewskim, opracowującym rok 1863, autorem cennej *Bibliografii pamiętników polskich* oraz szeregu prac krajoznawczych, zaczęła się od wizyty w moich zbiorach. Wizyty te powtarzały się coraz częściej,

zwłaszcza przy układaniu wspomnianej *Bibliografii*. Widocznie pasowaliśmy do siebie, gdyż znajomość przeszła w zażyłe i serdeczne stosunki między nami i naszymi rodzinami i przetrwała nawet śmierć przedwczesną prawego człowieka i wielce pracowitego i pożytecznego literata. Maliszewski zbierał książki z zakresu krajoznawstwa, historii Polski ze szczególnym uwzględnieniem Litwy, pamiętniki, materiały do r. 1863. Po śmierci zbieracza kartoteka ze spisem i życiorysami uczestników powstania 1863 r. przeszła do Biblioteki Narodowej, reszta materiałów do tego roku znalazła się w bibliotece Marianów na Bielanach. Pozostała część zbiorów spłonęła w czasie powstania warszawskiego.

Korzystał z mojej biblioteki Jan Lorentowicz, krytyk literacki, bibliofil wykształcony na kulturze i wzorach francuskich. Posiadał ładny zbiór nowszej literatury polskiej i francuskiej w pięknych okazach, z dedykacjami, w artystycznych oprawach wykonanych przez jego małżonkę. Raz tylko nastąpiła między nami scysja i rozluźnienie na pewien czas stosunków. Lorentowicz pożyczył ode mnie do swej pracy *Polska pieśń niepodległa* szereg rzadkich ulotek. Po upływie paru lat zacząłem upominać się o nie i otrzymałem zapewnienie zwrotu. Gdy czas upływał, a pożyczone druczki nie wracały, telefonicznie zażądałem zwrotu i zaznaczyłem, że już kilkakrotnie obiecywał mi to uczynić. Ku wielkiemu zdziwieniu usłyszałem, że to właściwie ja jestem winien, gdyż tak długo nie upominałem się o swą własność. Zdjęła mię szewska pasja i głosem podirytowanym zaznaczyłem, że absolutnie nie poczuwam się do winy i za niespełnianie najprostszych obowiązków przez bliźnich nie mogę ponosić odpowiedzialności. Wkrótce jednak stosunki nasze się poprawiły.

cjoner ekslibrisów, był człowiekiem o bujnym temperamentie, który nieraz prowadził go na bezdroża. Zdaje się, że babofilstwo górowało w nim nad bibliofilstwem. Nawet utrata nogi w poprzedniej wojnie na froncie francuskim nie osłabiła tej namiętności. Po zebraniu pięknej kolekcji ekslibrisów, porwany innego rodzaju pasją wyjechał z kraju i ostał się aż w Brazylii, gdzie spędził parę lat aż do wybuchu wojny światowej. W Brazylii zbierał również ekslibrisy i książki. Pozostawione w kraju ekslibrisy nabyła „Antykwarnia Warszawska”, książki — biblioteka ord. Krasińskich. Wrociwszy jako inwalida wojenny do kraju, Reychman z właściwym sobie rozmachem zabiera się na nowo do zbierania ekslibrisów i książek o nich, i w krótkim względnie czasie dochodzi do poważnego rezultatu. Prócz „ekslibrisologii”, której poświęcił parę prac, zajął się genealogią rodzin polskich żydowskiego pochodzenia i zdołał wydrukować pierwszy tom zamierzonego dzieła.

W związku z tą pracą opowiadał mi autor swoje arcykapitalne przygody. Zwracał się bowiem do różnych osób tej kategorii z prośbą o dostarczenie mu danych. Większość zbywała sprawę pogardliwym milczeniem, część proponowała pieniądze za nieumieszczanie ich rodziny w dziele, inni soczyście mu nawymyślali. Odpowiedzi pozytywnych otrzymał znikomą ilość. Gdy chciał przeglądać parafialne archiwa katolickie, konsystorz zabronił mu wglądu. Doradziłem mu, aby zwrócił się do archiwum przy zarządzie cmentarza powązkowskiego i tam rzeczywiście znalazł się dość obfity materiał. Zwróciłem mu uwagę na nagrobki na tym cmentarzu w bardzo bliskim sąsiedztwie kościoła. Po śmierci Reychmana duży zbiór ekslibrisów nabyła osoba prywatna.

Z y g m u n t Ł a z a r s k i, właściciel drukarni, 125

zapisał się trwale w pamięci bibliofilów jako drukarz i wydawca szeregu pięknych książek. Zbierał rzeczy z zakresu drukarstwa, bibliofilstwa, szczególnie zaś ubiegał się o dzieła, które wyszły z drukarni Banku Polskiego, resztki bowiem urządzeń po niej nabyła firma Łazarskich. Nadzwyczaj uczynny i miły drukarz ten i bibliofil nie potrafił jakoś upilnować czy dobrze zarządzać odziedziczonym przedsiębiorstwem i doprowadził je do upadku, a sam znalazł się w trudnych warunkach finansowych. Zginął w obozie niemieckim.

W czasie wojny ostatniej zmarł też przedwcześnie Zygmunt Mocarski, dyrektor biblioteki w Toruniu. Był to miłośnik książki jeden z większych, jakich spotkałem w swoim życiu. Interesował się bibliografią polską, starymi drukami, książką piękną. W ostatnich czasach zajmował się historią fotografii w Polsce. Pasja zbierania książek do czasu pracy w Toruniu przyprawiała go o kłopoty finansowe, gdyż nie umiał się opanować i wydawał więcej niż mógł. W Toruniu jako bibliotekarz mógł pofolgować pasji przez nabywanie książek do biblioteki i w stałym przeglądaniu masy książek. Pamiętam, jak w czasie ostatniej wojny wypędzony przez Niemców z Torunia, będąc już poważnie chory, oderwać się nie mógł od książek w mojej bibliotece. Widać było, że książka — to najwyższa jego radość. Nie zdały się na nic moje uwagi, aby się nie męczył. Umarł ku wielkiemu żalowi wszystkich znajomych, którzy cenili jego prawość, miły charakter i umiłowanie książki.

Stefana Dembego poznałem jako nauczyciela—polonistę szkół prywatnych oraz jako wydawcę i właściciela księgarni przy ul. Marszałkowskiej, między Hożą a ul. ks. Skorupki (dawniej Sadową). Bardzo chcieliśmy popierać tę księgarnię, 126 lecz niestety, prowadzona była nie po kupiecku;

trzeba było czekać na zamówione książki tygodniami; zasobów w sklepie było niewiele. Wszystko to zrażało klientów. Dembememu jako wydawcy przyświecała myśl podniesienia estetycznego wyglądu książki (druk, format, karta tytułowa, ozdoby). Brak środków materialnych wkrótce stanął na przeszkodzie tym chwalebnym zamiarom. Po wydaniu kilku utworów Przybyszewskiego, *Bojownika Nałkowskiego*, *Branda Ibsena* i paru innych wydawnictwo zostało przerwane, a Demby znalazł się w kłopotach finansowych, zmuszających go nawet do wyzbywania się doborowych, ładnie oprawnych książek z swej biblioteki. Od r. 1918 pracował w Wydziale bibliotek Ministerstwa Oświecenia Publicznego, a po śmierci Korzeniowskiego został naczelnikiem tego Wydziału. Usilne jego starania doprowadziły do powstania Biblioteki Narodowej, której został pierwszym dyrektorem. Opuścił to stanowisko, przechodząc w sędziwym wieku na emeryturę.

Od czasu wskrzeszenia Polski Demby był czołową postacią w ruchu bibliofilskim. Miał wielu zwolenników, ale nie brak było i gorliwych przeciwników, szczególnie gdy ważyła się kwestia, w jakim mieście ma być Biblioteka Narodowa. Zarzucano Dembememu brak studiów wyższych i niedoocenie skutków pewnych zagadnień bibliotecznych, arbitralność w nabywaniu zbiorów, szczególnie rękopiśmiennych, wygórowaną ambicję, manifestującą się w podkreślaniu swoich zasług itp. Zawsze to łatwiej spostrzec wady i ułomności ludzkie (a któż jest bez nich?), niż dojrzeć strony dodatnie w bliźnim. Aczkolwiek w stosunku do mnie mogłem dość długo wyczuwać daleko idącą rezerwę i brak sympatii, z całą stanowczością muszę stwierdzić, że zgoła niewłaściwą byłoby rzeczą dewaluować niezaprzeczone zalety i zasługi Dembego. Zdaje mi się, że powodem owej niechęci ku mnie była zgoła

zresztą nieuzasadniona obawa współzawodnictwa. Po pewnym czasie, zwłaszcza od czasów dyrektorstwa, niechęć zupełnie znikła i stosunki nasze, zawsze formalnie poprawne, zmieniły się w obustronnie życzliwe, w końcu serdeczne.

Bezwzględną zasługą Dembego było przyspieszenie dekretu powołującego do życia Bibliotekę Narodową w Warszawie. W związku z powstaniem tej instytucji można było rozpocząć katalogowanie i rozmieszczanie zbiorów, które w pakach w różnych miejscach czekały na orzeczenie, gdzie ma powstać Biblioteka Narodowa. Można było wkrótce korzystać już ze skarbów rękopiśmiennych i starych druków w pałacu Potockich na Krakowskim Przedmieściu. Zorganizowano kilka ciekawych wystaw: inauguracyjną (pokaz największych skarbów biblioteki), teatralną, ku czci Lafayetta, na zjazd sławistów, Mickiewiczowską, Sienkiewiczowską, wołyńską. Samo wnętrze z inkunabułami i foliantami, umiejętnie z prawdziwym smakiem urządzone przez K. Piekarskiego, było prawdziwą rozkoszą dla miłośników książek.

Demby, związany życiem i stosunkami z epoką pozytywizmu i Młodej Polski, skwapliwie nabywał rękopisy i papiery po ludziach tej epoki i w ten sposób zgromadził w bibliotece dużo rzeczy ciekawych. Bardzo dobrze wychowany, pełen zawsze uprzejmości i grzeczności, pozostawiał Demby dużo swobody i inicjatywy podwładnym. Te cechy współpracownicy ocenili po jego ustąpieniu. Demby zbierał długie lata materiał do słownika współczesnych pisarzy polskich w postaci autobiografii, pamiętników, metryk etc. Pokażne kartoteki ze źródłami i opracowaniami spłonęły w czasie powstania. Zginęły bezpowrotnie i inne działy zbiorów, między innymi przekazane mu przez Al. Świętochowskiego pamiątki po nim i archiwum. Żyły ze stosunkami war-

Zawszmemu i Kochanemu
Koledze Chierazowi,
P. Janowi Michalskiemu
z prośbą pamiętania
o moich zbiorach
28 grud 1924.

Fotografowałem się
29 lutopada 1924.

8. Dedykacja na fotografii Z. Wolskiego
z 1924 r.

szawskimi, zwłaszcza ze światem literackim, naukowym i nauczycielskim, miał Demby niewyczerpaną skarbnicę wspomnień, kawałów, anegdot. Był świetnym narratorem i pogawędki z nim należały do bardzo przyjemnych. Jaka szkoda, że nie pozostawił pamiętników!

Przedwcześnie z wielką stratą dla nauki naszej zgasł w latach wojny Kazimierz Piekarski, kustosz działu starych druków Biblioteki Narodowej, 129

najlepszy znawca inkunabułów i druków polskich wieku 16-go. Zainteresowania i prace jego naukowe w dziedzinie księgoznawstwa staropolskiego obejmowały zasięg duży: opis bibliograficzny dokładny i ścisły, historia drukarstwa, notatki na książkach, oprawy, superekslibrisy, sygnety drukarskie itp. Wszelkie prace Piekarskiego o książkach opierały się na autopsji. Świetny znawca zasobu drukarskiego, umiał określać chronologię, miejsce druku i drukarza przy znalezieniu fragmentów dzieł, określał istotną ilość wydań pomimo identycznej karty tytułowej. Okazało się, że już wydawcy z wieku 16-go umieli w ten sposób uszczuplać prawa autorskie rodziny. Wielka to szkoda, że zajmowały go coraz inne tematy i nieraz publikował tylko część zamierzonego dzieła. Trzeba też było wywierać na niego nacisk, aby siadł do pisania. Przygotowana przez Piekarskiego bibliografia polska w. 16-go i cały szereg opracowanych zagadnień spłonęły całkowicie w Bibliotece Narodowej, podpalonej przez Niemców. Jest to jedna z wielkich strat nauki polskiej. Jakiś fatalizm ciąży u nas nad pracami bibliograficznymi, podejmowanymi zwykle przez niezwykle pracowitych ludzi. Ileż to trudu licznych pracowników poszło na marne w nieukończonych pracach, w nagromadzonych i nieopracowanych lub niedrukowanych notatkach, wreszcie w licznych u nas kataklizmach, np. Jocher, Bentkowski (wydanie drugie), Sobolewski itp.

K. Piekarski posiadał niezwykły dar zjednywania sobie ludzi, nie spotkałem człowieka, który by go nie cenił i nie lubił. Ten człowiek, umiejący po benedyktyńsku pogrążyć się w pracy, lubił życie towarzyskie, należał do najmilszych kompanów i umiał łączyć w swojej osobie bibliofilstwo z bibliofilstwem, a niektórzy posądzali go o babofilstwo. Kolekcjonerem Piekarski nie był: wystarczyły mu

bliotek polskich. Kochał książkę piękną, a co ważniejsza miał rozwinięty zmysł estetyczny, co np. ujawniło się w tworzeniu wnętrz bibliotecznych. Oby w przyszłym gmachu Biblioteki Narodowej uwzględniono konieczność stworzenia odpowiednich wnętrz dla starych druków, jak to pięknie urządzał Piekarski, a nie stłaczano ich na półkach w olbrzymich magazynach, niczym towary włókiennicze czy inne.

Z Samuelem Poznańskim, kaznodzieją synagogi warszawskiej, nauczycielem religii, kolegowałem kilkanaście lat w Szkole Handlowej Zgromadzenia Kupców. Był to uczony badacz w zakresie judaistyki i orientalistyki, szczególnie interesował się historią i literaturą Karaimów. Dzięki niemu mogłem dokładnie poznać zasoby biblioteki synagogalnej i przekonać się o bogactwie jej druków w językach obcych i ubóstwie druków w języku polskim. Zbierając polskie judaica często obdarzałem Poznańskiego dubletami. Między innymi ofiarowałem mu druczek z epoki Sejmu Wielkiego; — była to petycja Karaimów, którzy zwrócili się do sejmu z prośbą, aby ich nie utożsamiać z Żydami. Poznański zgromadził ze swojej specjalności dużą bibliotekę, którą po jego śmierci nabyto do biblioteki w Jerozolimie.

Dzięki koleżeńskim stosunkom z kaznodzieją miałem stale wstęp wolny na uroczyste nabożeństwa w synagodze i mogłem słuchać niezwykle pięknych śpiewów. Pamiętam zabawny incydent z pobytu w Sądny Dzień w synagodze. Po szeregu pięknych śpiewów wstępuje na mównicę Poznański, który nie posiadał daru wymowy i dobrego akcentu. Nie chcąc słuchać długiej oracji, zacząłem zegnąć się z najbliższymi sąsiadami i tłumaczyć, że mam poważny interes terminowy. Chóralnie na to rzekli, abym nie udawał: oni też chętnie by wyszli, ale im nie wypada.

Michał Synoradzki, dziennikarz i beletrysta, ostatnio redaktor „*Biesiady Literackiej*”, w ciągu długiego życia gromadził bibliotekę polonistyczną. Były to przeważnie rzeczy nadsyłane do redakcji i zbierane bez wielkiej myśli przewodniej. Najwięcej może interesował się właściciel zbioru polskimi utworami dramatycznymi. Po jego śmierci biblioteka została rozprzedana prywatnym nabywcom.

Z inżynierem Stanisławem Ruśkiewiczem często spotykaliśmy się na Świętokrzyskiej, gdzie wyławiał druki z zakresu historii polskiej; szczególnie ubiegał się o pamiątki. Po przedwczesnej śmierci sympatycznego i kulturalnego bibliofila zbiór został nabyty przez poselstwo czeskie i powędrował, niestety, do Pragi do Biblioteki Narodowej.

Antoni Ojrzyski, z fachu aptekarz, może być przykładem rozumnego i umiejętnego kolekcjonerstwa. W przeciągu szeregu lat systematycznie zbierał wszystko o Karpatach ze szczególnym uwzględnieniem polskich krain górskich. Zbiór składał się z przewodników, czasopism regionalnych, z arcyrzadkich starych druków, atlasów, opracowań i mnóstwa wycinków z gazet. Poza drukami w zbiorze powyższym był dział ikonograficzny (widoki, mapy, typy ludowe etc.). Niezwykły i konsekwentny wysiłek wielu lat stworzył kolekcję imponującą doborem i liczebnością. Nie wiem, co się stało z tym zbiorem.

Zmarły w młodym wieku Włodzimierz Budagowski, zbieracz bardzo sympatyczny i kulturalny, gromadził poza dziełami z historii i literatury polskiej varsoviana, druki z powstania 1831 roku oraz książki z zakresu sztuki polskiej.

132 Doborowa w dobrym stanie kolekcja przechowywa-

na była z pietyzmem przez wdowę i uległa pewnie zagładzie w czasie ostatniej wojny.

Inżynier Józef Zaborski namiętnie zbierał autografy, bilety kolejowe, paszporty, proklamacje z roku 1863-go oraz z lat 1904—1907. Z narażeniem życia w latach rewolucyjnych zdierał z murów obwieszczenia i rozkazy władz rosyjskich oraz skwapliwie gromadził wszelkie wydawnictwa nielegalne. Powstała niezwykle duża liczebnie i ciekawa kolekcja. Kulturalny i miły w obejściu, dobrze zapisał się w mojej pamięci jako zbieracz konsekwentny i wytrwały. Jedno tylko zastrzeżenie miałem względem niego, jak i wobec wielu innych zbieraczy autografów. Prawie wszyscy ci kolekcjonerzy, aby powiększyć liczbę autografów osób wybitnych, wymieniali je z innymi zbieraczami, dzieląc na części posiadane autografy. Byli i tacy, dla których jedyną wartość posiadał podpis sławnego człowieka i w barbarzyński sposób odcinali podpisy od autografów. Zawsze tego rodzaju karygodne zjawiska wandalizmu powstają wśród różnego autoramentu zbieraczy, u których forma góruje nad treścią lub w ogóle szwankuje głębsze rozumienie spraw kulturalnych.

Dawid Przepiórka, światowej sławy szachista, zgromadził piękny i liczny zbiór książek i czasopism z dziedziny gry w szachy. Poza tym zbierał książki matematyczne. Może on uchodzić za przykład nadzwyczaj szybkich przemian, jakie często zachodzą w środowisku żydowskim. Z rodziny ortodoksyjnej, do osiemnastego roku życia pogrążony był w mądrościach talmudycznych, ściśle obserwował obyczaje chasydów w ubiorze, jedzeniu i zachowaniu się. Ojciec jego, znany lichwiarz warszawski, zostawił duży majątek w kamienicach, powiększony przez wdowę oszczędnością, podwyższaniem komornego i wynajmowaniem mieszkań 133

wesołym damom, które płacą niewybrednym kamienicznikom czynsz duży. Młody Przepiórka zapragnął zdobyć maturę gimnazjalną i zaczął się uczyć przedmiotów świeckich. Będąc studentem, przygotowywałem go do matury z języka łacińskiego i greckiego. Lekcje nasze zaczęły się w okolicznościach osobliwych. Matka przy umowie, targując się zawzięcie o cenę pytała, czy syn może siedzieć na lekcjach w czapce. Oświadczyłem, że mnie to absolutnie nie będzie przeszkadzało. Początkowo lekcje były dla mnie dość męczące, albowiem uczeń nie tylko przedłużał godzinę pytaniami, ale wdrożony do analizy talmudycznej, chciał ten system stosować do tekstów klasycznych. Cierpliwie wyjaśniałem sprawę i w końcu jakoś udało mi się wdroić go do analizy filologicznej, a co ważniejsza bardzo go przywiązać do siebie i uzyskać na niego wpływ duży.

W związku z metodą czytania i wyjaśniania tekstów przypominam sobie opowiadanie starszaka Szenhaka, generalnego sekretarza Gminy Żydowskiej, nauczyciela religii Mojżeszowej, wychowanek Szkoły Rabinów. Nauczyciel przerabia czytankę z wypisów polskich, wyjaśniając zdanie po zdaniu, np. „Mały Piotrek pasał owce” — „a kleine Piotrek hat Szefs gepaß”. A dlaczego pasał owce? Wobec tego że uczniowie nie mogli uporać się z zagadnieniem, sam mistrz rozstrzyga sprawę: „A cóż, głupi goj biblię miał czytać? — Owce pasał”. Wiele bym dał, gdybym mógł tego zwolennika heurezy zapytać o wytłumaczenie, dlaczego Mojżesz pasał owce swego teścia. Jako wizytator w okresie modnej w szkołach naszych heurezy jakże często spotykałem się z analogicznymi chwytami i często zwolennikom nieudolnym powtarzałem opowiadanie Szenhaka.

krywać głowę podczas lekcji, na miasto zaczął wychodzić w ubraniu europejskim, zachowując chałat na potrzeby domowe. Najtrudniej okazuje się zacząć, bo prawowierny chasyd coraz wyraźniej przekształcał się w tzw. apikojresa, tj. niedowiarka. Pod moim wpływem zmusił matkę do usunięcia wesołych lokatorek z należących do niego kamienic, czytał wskazane przeze mnie książki i postanowił po uzyskaniu matury udać się za granicę na uniwersytet i studiować matematykę. Wszystko to wykonał. Zabezpieczony materialnie, zatracił Przepiórka zmysł praktyczny, uszczuplał majątek, sprzedając kamienicę i w końcu, jak mi po wielu latach mówił, ratowały go w sytuacji majątkowej szachy. Zdaje się, że zamiłowanie do zbierania książek powstało w nim pod moim również wpływem.

Marian Legiecki jeszcze w Kownie przed poprzednią wojną zgromadził bibliotekę, którą upaństwowili Litwini. Przedostawszy się do Warszawy, rozpoczął ponownie zbierać książki i był stałym gościem na ulicy Świętokrzyskiej. Tam go poznałem i wkrótce nawiązałem z nim bliższe stosunki. Zamiłowania tego bibliofila szły w kierunku ilustrowanych książek i czasopism oraz utworów Mickiewicza i Kraszewskiego. Legiecki wyróżniał się wśród zbieraczy tym, że szukał egzemplarzy ładnie zachowanych i dobrze oprawionych. W stosunkach odznaczał się towarzyską kulturą i uprzejmością. Po jego śmierci rodzina rozprzedała zbiory. Wkręcił się tam osławiony Ziemkiewicz i zaofiarowawszy rodzinie swą pomoc w ocenie książek, gospodarował po swojemu w pozostałej bibliotece.

Marianowi Abramowiczowi poświęcił specjalne wspomnienie i podał charakterystykę tej nieprzeciętnej postaci Stefan Żeromski. Zamiłowania bibliofilskie i powinowactwo w poglądach społecznych było łącznikiem między nami. „Szero-

ka natura" Abramowicza przejawiała się i w jego zainteresowaniach, i w zbieractwie. Językoznawstwo, bibliografia, historia i literatura, pamiętniki pociągały najwięcej bibliofila. Ten człowiek o atletycznej postaci, chodzący bez palta w czasie mrozów, z powodu niewłaściwej brawury zaziębił się i przedwcześnie zmarł ku wielkiemu żalowi wielu znajomych i przyjaciół.

Dziennikarz Ludomił Lewenstam należał do ruchliwych członków warszawskiego Towarzystwa Bibliofilów. Interesowała go bibliografia, sztuka, varsoviana, kalendarzyki polityczne oraz grafika polska. Zebrał sporo ciekawych rzeczy. Specjalną uwagę zwracał na litografie polskie, lekceważone zazwyczaj w zbiorach grafiki. Zawdzięczamy mu zarys dziejów litografii warszawskiej. Zbiory po śmierci właściciela prawdopodobnie uległy zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego.

Stanisław Sumiński, przyrodnik, mój uczeń ze szkoły Konopczyńskiego, prócz dzieł przyrodniczych zbierał konsekwentnie dzieła podróżników polskich i w tym dziale doszedł do pięknych rezultatów. Sumiński należał do rzadko spotykanych na naszym gruncie kolekcjonerów, którzy gromadzili książki z myślą i znanstwem. Wartościowy nauczyciel, prawdziwy bibliofil, umarł wywieziony przez Niemców do obozu.

Przy końcu wojny zginęli trzej bibliofile: Ludwik Simon, Stefan Rygiel i Andrzej Pleśniewicz.

Ludwik Simon w ostatnich latach przedwojennych i podczas wojny był codziennym prawie gościem w mojej bibliotece. Poza poszukiwaniami w dziedzinie historii teatru w Polsce skorzystał wiele przy układaniu i wykończaniu bibliografii polskich utworów dramatycznych, a prawie całkowicie na moich zbiorach oparł się przy opracowywaniu słownictwa literackiego i teatralnego. Biblio-

teka jego składała się z teatraliów, dzieł autorów polskich i opracowań historycznoliterackich. Simon chorował nieco na przerost ambicji i stale miał pretensje do różnych ludzi, zgoła przeważnie nieuzasadnione. To jego histeryczne usposobienie nie jednało mu sympatii. Do mnie ten pracowity wielce odludek i wieczny malkontent przywiązał się bardzo i cierpliwie wysłuchiwał uwag i wskazówek o stosunku do bliźnich. Zginął z rąk oprawców niemieckich.

Stefan Rygiel, dyrektor biblioteki uniwersyteckiej w Wilnie, a później w Warszawie, należał do czynnych i ruchliwych działaczy w towarzystwach bibliofilów w Wilnie i w Warszawie. Kolekcjonował różne rzeczy: ekslibrisy, bibliografię, wydawnictwa bibliofilskie. Najwięcej energii w ostatnich czasach poświęcał zbieraniu tzw. akcydensów drukarskich, tj. zaproszeń, biletów wizytowych, druków okolicznościowych etc. itp. W czasach wojny schodzili się u Rygla na tak zwane „srody” zbieracze różnego autoramentu i odbywały się pogawędki na różne tematy. Rygiel zginął w czasie powstania, a zbiory jego uległy zupełnemu zniszczeniu.

Znajomość moja z Andrzejem Pleśniewiczem datuje się z czasów ostatniej wojny. Bywał on stałym u mnie gościem na zebraniach niedzielnych. Upośledzony pod względem fizycznym, był człowiekiem wykształconym, o subtelnym i krytycznym umyśle i dużym poczuciu estetycznym. Ciekawe były jego nie pozbawione złośliwości, lecz wytworne i wnikliwe charakterystyki osób. Zbierał klasyków francuskich i polskich ze szczególnym uwzględnieniem w. XVII-go oraz staropolskie powieści. Zginął po wyjściu z Warszawy od bomby lotniczej.

Poświęcę jeszcze parę słów wielce osobliwym 137

miłośnikom książek, jakich widywałem lub znałem osobiście.

Każdy Polak urodzony jest podobno do wojaczki. Stąd tak często można było spotykać zbieraczy różnego rodzaju militariów, począwszy od guzików mundurowych, kończąc na broni. Najmniej tego typu zbieracze interesowali się książkami naukowymi z zakresu ich skłonności, natomiast bardzo poszukiwali rycin przedstawiających wojaków polskich. Trzeba nadmienić, że mnóstwo tych dawnych rycin, wykonywanych za granicą, nie posiadało żadnej wartości historycznej. Były to fantazje różnych nieudolnych rysowników, powielane w marny sposób. Nie miałem nabożeństwa do spotykanych często „militarystów”, wśród których dość częstym zjawiskiem byli ludzie tchórzliwi i z wyglądu najmniej zdradzający animusz i postawę wojenną.

Poważne zastrzeżenia budzili we mnie również liczni zbieracze heraldyki i genealogii. Rzecz dziwna, że w epoce postępującej demokratyzacji polskiego społeczeństwa wzrasta u nas zamiłowanie do herbów, zdobywanie portretów przodków po antykwariach lub na zamówienie u specjalistów malarzy, używanie starej pisowni (Naley, Soyka) etc. Tej świeżej proveniencji szlachta, rekrutująca się spośród dorobkiewiczów wojennych, zdobyła sygnetami palce, przybierała do nazwisk przydomki i nabywała „książki o herbach”.

Nie miałem też sympatii do sui generis numizmatyków pospolicie zwanych „dydkarzami”, którzy z książek zbierali tylko katalogi monet, unikali natomiast poważniejszych opracowań z dziedziny numizmatyki. Cały ich wysiłek skierowany był ku wyszukiwaniu rzekomych odmian monet, jakie powstawały wskutek złego odbijania.

138 Często też zjawiskiem byli dawniej zbieracze rzeczy o powstaniach polskich. Większość wśród

nich stanowili neofici lub kandydaci na neofitów. Pomnę, jak przed laty znalazłem się na jakimś liczniejszym zebraniu kolekcjonerów, na którym uczestnicy kolejno mówili o swoich zbiorach i zainteresowaniach. Tak się zdarzyło, że akurat przede mną kilku miłośników powstań dość długo mówiło o upodobaniach i zbiorach swoich. Podkusiło mię licho i, gdy przysła kolej na mnie, zacząłem przede wszystkim rozwodzić się nad moim zbiorem judaików. Spoglądałem na zebranych i widziałem grymas na twarzach poprzednio zabierających głos oraz uśmieszek na ustach tych, którzy nie zbierali rzeczy o insurekcjach.

Namnożyło się też w ostatnich czasach zbieraczy ekslibrisów. Pierwszym, o ile mi wiadomo, poważnym kolekcjonerem był Sienicki. Za moich młodych lat opowiadano mi, że miał manię zdobywania dla siebie orderów. Wpadł na pomysł wysyłania swoich dzieł drukowanych różnym koronowanym głowom i czasami w podziękowaniu otrzymywał upragnione odznaki. Nazywano go „chodiaczym ikonostasem”, tj. chodzącym ołtarzem z obrazkami świętymi. Należałoby opracować tę postać. Wszak to ojciec polskiej ekslibrisologii oraz autor kilku ciekawych prac bibliograficznych. Zbiór ekslibrisów po nim nabył antykwariusz Gieysztor, kilkakrotnie ogłaszał go do sprzedaży, wreszcie nabyło go... Muzeum Brytyjskie. Za moich czasów poważnymi zbieraczami ekslibrisów byli Wittyg, K. Reychman, Edward Chwalewik, M. Borkowski, Tadeusz Wolski. Poza nimi słyszałem o wielu, którzy rozpoczęli zbieranie w ten sposób, że robili sobie kilka różnych ekslibrisów i odbijali je na różnych papierach i w różnych kolorach. Zdarzało się, że taki bibliofil miał więcej znaków niż książek w swojej bibliotece. Następnie zwracał się zbieracz z propozycją wymiany na dublety do innych i w ten spo-

sób w krótkim czasie dochodził do zbioru liczebnie dużego, natomiast — wątpliwej wartości. Słusznie mówił W. Gomulicki, że jest różnica między nami a posiadaczami kilku własnych ekslibrisów: oni mają znaki bez książek, a my książki bez znaków. Wymienionego typu zbieranie uważam za nieszkodliwą manię.

Zakończę ten rozdział na wspomnieniach o kilku bibliofilach osobliwego autoramentu. Takim np. był Laskowski, szklarz, specjalista od robienia i naprawiania żyrandoli. Jeździł on jako fachowiec po kraju i z różnych zakamarków kościelnych wydobywał stare druki, których stosy piętrzyły się w jego mieszkaniu na Sewerynowie. Z czasem zrobił się bibliofilem, miał nawet własny ekslibris.

Daleko oryginalniejszą postacią był stolarz z ul. Książęcej, który skupywał stare druki ze szczególną predylekcją do foliantów. Po jego śmierci antykwariusz Przeworski prosił mię, abym z nim poszedł obejrzeć bibliotekę ze starymi drukami, na których się nie zna. Byłem zdumiony, gdy w suterenie w pracowni stolarskiej ujrzałem duży zbiór książek treści religijnej i historycznej. Były tam kroniki, stare tłumaczenia Biblii, kazania Skarżi itp. Było nawet zbiorowe wydanie pism Staszyca, z rzadkim *Rodem ludzkim*, które nabyłem od wdowy, a oprócz tego kilka innych druków. Resztę nabył Przeworski. Niestety, większość najstarszych druków — jak to często bywa w Polsce — była zdefektowana.

Stale spotykałem na Świętokrzyskiej niższego urzędnika pocztowego, który spędzał codziennie cały czas wolny od zajęć w antykwarniach. Ponieważ wysiadywał w sklepach godzinami, zabierając jedno z nielicznych krzeseł i wtrącał się do transakcji handlowych, niezbyt go antykwariusze lubili i w różny sposób starali się pozbyć tego „No-

ska". Tak go nazywano z powodu przetrąconej tej ozdoby twarzy. Zbierał on stare powieści polskie i obce w tłumaczeniach do r. 1860. Nowszych rzeczy nie uznawał. Była to jedyna w swoim rodzaju kolekcja. Co się z nią stało, nie mogłem się dowiedzieć. Gdy w latach późniejszych zainteresowałem się dawną beletrystyką polską, przekonałem się, że łatwiej w bibliotekach znaleźć pierwodruki Kochanowskiego, niż powieści Bogusławskiego, Boguckiego, a nawet starsze rzeczy Kraszewskiego, Zachariasiewicza i innych. Biblioteki nie gromadziły tych rzeczy, a w domach prywatnych zostały zacytane.

Stałym codziennym gościem wszystkich antykwarni był Roman Ziffer, ongi osiłek cyrkowy, później korespondent handlowy. Praktyczna znajomość kilku języków pociągnęła go do lingwistyki. Interesowały go słowniki, dzieła o etymologii oraz języki tajne. Prócz tego zbierał bibliografię, zwłaszcza szukał katalogów księgarskich i antykwarskich. Wylawiał rzeczy obce i sprzedawał je antykwariuszom rosyjskim i niemieckim. Rzadko jednak rzeczy te zjawiały się na rynku warszawskim; przeto Ziffer nie uchodził za dobrego klienta, a prócz tego zrażał antykwariuszów antysemityzmem, chociaż wszyscy wiedzieli, że figuruje w książce Jeske-Choińskiego.

Ziffer posiadał wprost chorobliwą jakąś przyjemność w oczernianiu wszystkich. Nie zostawiał suchej nitki na bibliotekarzach, księgarzach, bibliofilach. Nie mógłbym wymienić nazwiska człowieka, o którym coś dobrego powiedział. Osobiście zabezpieczyłem się od słuchania tych wynurzeń. Zniecierpliwiony, powiedziałem mu: „Wyobrażam sobie, co pan o mnie wygaduje, ale niech pan używa, bo to widać potrzebne jest panu do zdrowia, byle tylko nie w mojej obecności”. Po śmierci Ziffera zbiory jego oceniał wierny jego towarzysz, Ziemkiewicz. 141

Ładny zbiór katalogów nabyła Biblioteka Narodowa: reszta zbioru rozproszyła się po świecie.

Patologicznym okazem wśród bibliofilów był Romuald Ziemkiewicz, syn drukarza warszawskiego. Ten miłośnik książek ukrywał swoje pochodzenie. Był on uczniem Z. Wolskiego w gimnazjum realnym, później chodził długo w mundurze studenckim i tłumaczył, że z braku funduszy przerwał studia w politechnice kijowskiej. Okazało się później, że takiego studenta władze tej uczelni nie znały. Po 1918 r. z dyplomem inżyniera wszedł jako fachowiec do Izby Kontroli. I znów wykryło się, że fachowiec ma dyplom sfałszowany. Ziemkiewicz wkradł się w łaski Wolskiego i porządkując jego zbiory okradł swego nauczyciela. Powtórzyła się podobna historia z Federowskim. Pomagając temu w nazywaniu i sprzedawaniu książek, na których się znał, oraz przy opracowaniu notatek białoruskich, Ziemkiewicz poduczył się tego języka, został Białorusinem (przedtem z racji studiów w Kijowie uważał siebie za Ukraińca i zbierał książki w tym języku), a przy sposobności powiększył swoje zbiory kosztem mistrza. Powyciągał Fedorowskiemu cenne druki białoruskie, a nawet powyrywał z książek całe stronicy.

Mundur studencki w owych czasach był rekomendacją i ułatwiał właścicielowi stosunki. Ziemkiewicz dostał się na pracownika do antykwarni Wildera i tu gospodarował po swojemu. Wpadł jakoś u Bisiera, któremu też coś zabrał. Podczas rewizji znaleziono w jego mieszkaniu książki Wildera. Groziło mu więzienie, lecz z Z. Wolskim wpływaliśmy, aby pozwolono mu się poprawić. Nie przeczuwaliśmy, że mamy do czynienia z typowym okazem moral insanity. Ziemkiewicz miał bezwzględnie pasję do książek, gromadził je per fas et nefas i znał się na starych drukach. Dziwiło mię, że zgłę

nie interesował się nigdy technicznymi książkami. Po sprawie warszawskiej wyjechał do Wilna, jako rzekomy Białorusin pisywał do gazet, wkradł się w łaski działaczy białoruskich i uzyskawszy wstęp do ich muzeum i biblioteki znów wzbogacił swoje zbiory. Musiał znów się stamtąd ulatniać, przybył do Warszawy, ożenił się i na jakiś czas zniknął z horyzontu warszawskiego.

Po r. 1918 wraca z dyplomem, stałym bywa gościem w antykwarniach, dzięki łatwowierności i nieogłędności członków zarządu wchodzi do Towarzystwa Bibliofilów. Wkrótce powinęła mu się noga. Sprzedał do Biblioteki Narodowej autograf Norwida, który ściągnął z biblioteki raperswilskiej, gdzie badał materiały do Białorusi. Demby zawiadomił Przesmyckiego o nieznanym wierszu Norwida, a ten orzekł, skąd pochodzi.

Wybuch wojny uwolnił Ziemkiewicza od więzienia ale nie od coraz większego staczania się w kierunku przestępczości. Za okupacji był hitlerowskim konfidentem. Za jakieś ciemne machinacje dostał się do więzienia, gdzie umarł.

Ostatnia wojna wywołała w stosunkach antykwarskich w naszym mieście wielkie zmiany. W czasie oblężenia Warszawy ul. Świętokrzyska, gdzie koncentrował się handel starymi książkami, ucierpiała bardzo. Domy w pobliżu Nowego Świata, w których najwięcej było antykwarni, zamieniły się w gruzy, a pokaźne składy książek w popiół. Jakiś czas niedobitki antykwarskie trudniły się roznoszeniem książek po ulicach i domach, ale po utworzeniu getta i to ustało. Podobno powstały tam antykwarnie, a niektórzy młodszy i odważniejsi antykwariusze przynosili stamtąd towar i sprzedawali go księgarniom i antykwariuszom, których szereg powstał na Świętokrzyskiej, Mazowieckiej („Logos”), a kilka księgarni wprowadziło dział sprzedaży sta-

rych i używanych książek. W pierwszych latach wojny rzadko odwiedzałem te sklepy. Znalazłem się jako emeryt w trudnych warunkach finansowych i świadomie unikałem nałogowych wypraw, aby sobie nie robić oskomy.

Z opowiadań znajomych i późniejszych osobistych spostrzeżeń powiedzieć mogę, że z nielicznymi wyjątkami nowi antykwariusze mało się znali na książkach, umieli tylko po bajecznie nieraz niskich cenach nabywać książki i drogo je sprzedawać. Od drugiego roku wojny uczyłem w tajnych kompletach i mogłem choć w szczupłym wymiarze przeznaczać pewną sumę na książki. Właściwie zachodziłem do „Logosu”, gdzie pracował Antoni Trepiński, do działu antykwarskiego księgarni Arcta pod kierunkiem wysoce sympatycznego i uprzejmego p. Sokołowskiego i do antykwarni znanego mi od dawna i życzliwego p. Kowalewskiego na Świętokrzyskiej.

Hitlerowscy okupanci z właściwą im systematycznością przystąpili do niszczenia naszej kultury: zgładzili inteligencję, pozamykali szkoły wyższe i średnie, wywozili zabytki, niszczyli książki, zamykali biblioteki publiczne. Zawsze chętnie pozwalałem korzystać z zasobów zbiorów moich, wychodząc z tego założenia, że książki są dla ludzi. Tym bardziej teraz uważałem to za swój obowiązek.

Przy sposobności muszę stwierdzić, że niestety, u nas obchodzą się z pożyczonymi książkami na ogół fatalnie: albo wcale nie oddają, albo trzeba się upominać wielokrotnie o zwrot, a wreszcie wyprawiać się do niesolidnego człowieka i nieomal siłą wydobywać własność, albo oddają książkę pokreśloną ołówkiem, często nawet poplamioną atramentem, zmiętoszoną, ze śladami pożywania się przy czytaniu. Pamiętam, jak raz, zirytowany sta-

nem zwracanej książki, rzuciłem ją do palącego się pieca i na pytanie naiwnie zdziwionego sprawcy rzekłem, że nie chcę więcej takiej rzeczy oglądać. Szkodnik nie pomyślał o wynagrodzeniu. Przed wojną dość często pożyczałem różnym studentom książki, aby ich więcej nie ujrzeć. Później nauczony smutnym doświadczeniem pozwalałem jedynie na miejscu korzystać ze zbiorów.

Zdarzały się i zabawne sceny. Niektórym zdawało się, że mam obowiązek wypożyczać do mnie-
manych prac naukowych rzadkie nieraz druki i rękopisy. Raz np. nieznany mi jegomość, bez rekomendacji zjawia się u mnie, zapytuje o arcydzieło utwór antysemitki z 17-go wieku, którego nie mógł znaleźć w bibliotekach i dowiedziawszy się, że go posiadam, zażądał stanowczo wypożyczenia. Tłumaczyłem mu spokojnie, że takich rzeczy żadna biblioteka nikomu nie pożycza. Z arogancją w dalszym ciągu nalegał i czynił mi zarzuty, że utrudniam pracę naukową. Oświadczyłem mu wreszcie, że o uczoności jego nic nie słyszałem i że nadużywa prawa gościnności.

Po tej dygresji wracam do tego, że w czasie okupacji biblioteka moja była namiastką publicznej. Korzystali z niej na miejscu słuchacze tajnych kompletów uniwersyteckich, pożyczali książki znajomi i pracownicy naukowci. Ponieważ w dni powszednie od rana do zmroku w mieszkaniu naszym odbywały się tajne komplety, uczyliśmy bowiem, ja, żona, a syna komplet uniwersytecki również u nas się mieścił, ogłosiłem, że w każdą niedzielę od 11-ej do 14-ej jestem na usługi gości bibliotecznycy. Tak się jakoś złożyło, że spragnieni książek, wiadomości, pogawędki znajomi moi schodzili się w coraz liczniejszym gronie w owe niedzielę. Dla urozmaicenia zebrań wpadłem na pomysł urządzenia małych wystaw. Pierwsza była w

r. 1942 w rocznicę Konstytucji 3 maja i składała się ze współczesnych druków związanych z tą uchwałą. Grono łaskawych gości niedzielnych powiększało się, zwłaszcza gdy zaprojektowaliśmy, aby ktoś z nas podjął się wygłosić krótki referat na jakiś temat jako materiał do dyskusji. Rzecz się przyjęła. Znajomi zaczęli wciągać coraz nowych gości, liczba uczestników tych zebrań dochodziła nieraz do 25. W czasach srożącego się bestialstwa niemieckiego były one dla mnie, a może i dla innych chwilami odprężenia i zapomnienia o smutnej rzeczywistości. Zakończyły się owe zebrania w ostatnią niedzielę przed powstaniem.

Po wybuchu powstania mieszkanie moje (ul. Noakowskiego, naprzeciwko Politechniki) znalazło się na linii frontu, zwłaszcza gdy nasi opuścili zabudowania Politechniki, uprzednio ją podpaliwszy. Kule nieprzyjacielskie były w pokoje frontowe. Trzy z nich uszkodziły Wańkowiczowskiego Mickiewicza, na szczęście nie trafiły w oblicze poety. Wobec wzrastającego niebezpieczeństwa grono moich znajomych i życzliwych zaproponowało wyniesienie najcenniejszych rzeczy i umieszczenie ich w piwnicy przy ul. Skorupki. Chętnie się na to zgodziłem i zaciągnął Juliusz Gomulicki, Antoni Trepieński, zarekrutowawszy kilku żołnierzy z A.K., na własnych barkach w workach kilkakrotnie przenosili cymelia moich zbiorów do mieszkania J. Gomulickiego. W pamięci mojej i wdzięczności utrwalił się żołnierz z A.K., kolejowiec, silny bardzo, który z wielką energią i chęcią przenosił największe ciężary, głosząc, że w ten sposób spełnia obowiązek wobec kultury polskiej.

Zjawił się też życzliwy dla mnie Ksawery Świerkowski z propozycją zniesienia biblioteki do piwnicy. Zdobył on sporo worków papierowych i starał się u władz o pomoc w ludziach. Przyszedł mały



9. Ekslibris J. Michalskiego.
Proj. Stanisław Dąbrowski
(Oss. I. ex. 3517).

oddział młodocianych harcerzy i ten w przeciągu dwóch godzin wykonywał pracę ponad swe siły. Na tym ograniczyła się pomoc i działalność Komisji ratowania zabytków. K. Świerkowski na próżno starał się o przysłanie ludzi. Istotne zabezpieczenie mojej biblioteki przez zniesienie jej do piwnic za wdzięczam ofiarnej pracy pań z kamienicy, w której mieszkałem, i p. Jana Kucharskiego. Panie, tworząc łańcuch z czwartego piętra do piwnic, podawały sobie narecza książek, a p. Kucharski układał je w piwnicach. Głęboką wdzięczność moją wyrażam na tym miejscu wszystkim tym wielce ofiarnym osobom.

Przewidywania ludzkie jakże często bywają zawodne! Część biblioteki wyniesiona na ul. Sądową 147

(obecnie Skorupki) została przysypana gruzami rozwalonej przez pocisk kamienicy. Po kapitulacji Warszawy, gdy można było ratować resztki mienia kulturalnego, zbiory książek z piwnic oraz sztuki ludowej z mieszkania wywiezione zostały w znacznej części z Warszawy. Wielką wdzięczność żywię i wyrażam gronu pp. docentów i asystentów z prof. Zachwatowiczem na czele, którzy wykonali ciężką pracę, wynosząc z piwnic i z czwartego piętra moje zbiory do autobusów ciężarowych. Również serdecznie dziękuję za uratowanie zbiorów sztuki ludowej panom z Muzeum Narodowego.

Zakończenie

Zakończę te moje „Gadu-gadu”, sumując dorobek tych 55 lat stałej, systematycznej i wytrwałej pracy kolekcjonerskiej. Skatalogowałem wszystkie moje zbiory, ale nie sporządziłem inwentarza biblioteki. Nie mogę przeto podać dokładnej liczby dzieł i tomów. Jak w każdej bibliotece specjalnej pożądaną ilość stanowiły broszury. Sumarycznie dzieł było przeszło trzydzieści tysięcy, sądząc z kartek katalogowych.

Owoce istotnie wartościowym prac podejmowanych przeze mnie i wykonanych jest mój zbiór książek, rękopisów, rycin oraz okazów sztuki ludowej. Na pierwszy plan wysuwa się biblioteka trokskowie zebrana i dobrana. Historia literatury polskiej na tle kultury polskiej — to kręgosłup mojego zbioru książek. Składa się on z dzieł autorów polskich od najdawniejszych czasów, możliwie w pierwodrukach i wydaniach krytycznych, oraz z pożądanego działu opracowań historycznoliterackich. Do tego zrębu doszły dobudówki i nadbudówki, wiążące się z nimi organicznie.

W dziale bibliografii poza Estreicherem w komplecie są bibliografie specjalne i czasopism, katalogi rękopisów, czasopisma bibliograficzne, katalogi drukowane bibliotek, dzieła o ekslibrisach, dziejach bibliotek i drukarstwa, wydania bibliofilskie, stare

prace bibliograficzne (Starowolski, Lubieniecki, Węgierski, Braun, Janocki w komplecie i wielu innych), wreszcie dużo broszur z wymienionej dziedziny. Jest to jeden z zasobniejszych zbiorów wśród naszych bibliotek.

Wiek 18-ty (literatura piękna, broszury polityczne, czasopisma, ulotki) doborom i ilością przewyższa chyba nawet największe biblioteki nasze. Sądzę, że iudaica i mickiewicziana należą również do największych liczebnie. Na mickiewicziana składają się wydania, tłumaczenia, prace o poecie, utwory okolicznościowe, portrety jego i ludzi epoki, ilustracje do dzieł poety oraz widoki miejscowości związane z jego życiem, medale, medaliony, przedmioty pamiątkowe. W ten sam sposób zebrane zostały słowaciana, liczebnie daleko mniejsze, co się tłumaczy większą popularnością Mickiewicza. Pomijając ładny zbiór norwidianów i wyspianścianów (bez ikonografii), wymienię prawie komplet noworoczników, powieści sentymentalnych, duży zbiór etnografii, prac o historii szkolnictwa, o kwestii chłopskiej i kobiecej. Dodać trzeba jeszcze niezły zbiór pamiątek, dzieła z zakresu historii Polski (wydawnictwa źródła), filozofii, arcydzieła literatur obcych w tłumaczeniach ze szczególnie doborowo zebranymi tłumaczeniami autorów greckich i rzymskich, varsoviana i językoznawstwo polskie. Wymienię w końcu dział druków z wieku 16-go i 17-go z kilku unikatami oraz powieści ludowych. Dział rycin poza mickiewiczianami i słowacianami składa się z portretów wybitniejszych osób, z widoków miejscowości i varsovianów.

Co się tyczy sztuki ludowej, zgromadziłem chyba największy obecnie w Polsce zbiór ceramiki, bardzo dużo wycinanek, pisanek. Pasy, wełniaki, hafty pocziwi rodacy rozszabrowali.

Gdy po upływie roku po wypędzeniu przez Niemców z Warszawy wróciłem do stolicy, gdzie upłynęło prawie całe moje życie, otrzymałem pokój i pokoiik na użytek z rodziną od Biblioteki Publicznej, której syn mój przekazał mieszkanie moje w lutym ubiegłego roku. Doprowadziłem do porządku szczątki zbiorów i mienia i od półrocza czekam na dalsze losy dorobku mego życia.

Najcenniejsza część biblioteki mojej, jeżeli chodzi o rzadkość, jest pod gruzami i może już zgniła. Pocieszam się obietnicami odkopania. Ekspozyty z wystawy Słowackiego ugrzęzły w Krzemieńcu; wróciła tylko ikonografia i ta zawieruszyła się jak dotąd w zwałach zbiorów Biblioteki Narodowej. Największa, użytkowo najważniejsza część, wywieziona z Warszawy, złożona została w Piotrkowie, nie wiem dokładnie w jakich warunkach.

Dawno już chciałem przekazać moje zbiory na użytek publiczny, myśląc o utworzeniu instytutu polonistycznego, którego zrębem nie byłoby jakim byłaby moja biblioteka. Tłumaczyłem, że ponieważ żyłem się z tym dzieckiem mego ducha i trudno byłoby mi rozstać się z nim gwałtownie, chciałbym, aby jaka instytucja przyjęła dar z dobrodziejstwem inwentarza, tj. przyjęła mnie jako dożywotniego kustosa i dała mi mieszkanie przy zbiorach, za które zobowiązuję się płacić. Dobrze moje chęci rozbiły się o brak miejsca i o opinię niektórych fachowych bibliotekarzy, mających do czynienia z setkami tysięcy tomów, którzy twierdzili, że otrzymają 90% dubletów. Nie chciałem ich przekonywać, że są w błędzie. Dopiero szereg wystaw opierających się w znacznej mierze na moich zbiorach (300 lat drukarstwa warszawskiego, Mickiewiczowska, Siekiewiczowska, Słowackiego oraz bibliotekarska) unaocznili jakość i zasób mojej biblioteki na tych odcinkach. Jedynym życzeniem moim by-

ło, aby w celach wychowawczych umieszczona była tabliczka z napisem: „Rzeczy te zebrał nauczyciel ze swoich zarobków nauczycielskich”.

Po powrocie do Warszawy spotkała mnie propozycja zakupienia moich książek przez Ministerstwo Oświaty. Odpowiedziałem, że nie sprzedam swego dziecka i wróciłem do stanowiska mego w tej sprawie sprzed wojny. Teoretycznie, jak słyszałem, sprawa ta została rozstrzygnięta przychylnie. Oczekuję na wcielenie jej w życie. Pocieszam się, że mam wyjątkowe szczęście. Zebrałem pierwszorzędną kolekcję (mówię to bez przechwałek, których nie znoszę, a trochę znam się na książkach); los uchronił ją w czasie oblężenia Warszawy, przedziwnie ocalił w czasie powstania i pogromu popowstaniowego, chyba nie po to, aby w końcu praca mojego życia zmarniała. Nie mogę przypuścić, aby los mojej biblioteki stwierdził słuszność tak często powtarzanego przysłowia: *Habent sua fata libelli*.

Skończyłem 16 lutego 1946 r.

Rok z górą upłynął od czasu ukończenia moich gawęd. Ubywają spośród przyjaciół i komilitonów w zawodach zbierackich starsi, nowych przyjaźni i miłych znajomości nie zawiera się łatwo w moim wieku. Głęboko odczułem wiadomość o śmierci Władysława Wolerta: w gronie „ludzi książki” należał do bliskich mi osób poglądami i sympatią. Na krótko przed tragiczną nagłą śmiercią (został przejechany w Krakowie), bawiąc w Warszawie wstąpił do mnie. Mówił mi o kłopotach z wydaniem dzieł Dygasińskiego i o konieczności powrotu do Warszawy, w której jedynie dobrze się czuje. Żartowaliśmy z tej nagminnej nostalgii nie

tylko urodzonych w Warszawie lub zżytych z nią od wielu lat, ale i tych, którzy po paru latach przebywania w tym mieście stają się jego wielbicielami. Wolert twierdził, że w Krakowie dręczy go bezsenność, a gdy jest w Warszawie, sypia świetnie. Z Wolertem poznaliśmy się przez żonę jego, córkę Adolfa Dygasińskiego, z którą pracowałem w Ministerstwie Oświaty. Zbliżyła nas również twórczość Dygasińskiego, którego ceniłem jako pisarza. Z właściwą sobie energią i wytrwałością zbieracza zdobyłem wszystkie jego utwory z wyjątkiem *Szelągów kieleckich*. Miałem kilka takich druków, jakich nawet Wolert nie miał w swoich zbiorach. Stosunki nasze stawały się coraz bliższe i życzliwsze. Bardzo współczułem mu z powodu tragicznej śmierci żony, która zginęła w Krakowie od bomby.

Niedawno odszedł od nas bibliofilów na zawsze inżynier Tadeusz Żerański. Wysoka jego kultura umysłowa i towarzyska jednała mu powszechny szacunek i uznanie. Żerański poza literaturą z dziedziny elektrotechniki interesował się bardzo humanistyką. Zebrał podstawowe dzieła z historii polskiej, literatury i językoznawstwa. Wielbiciel mowy ojczystej pracował nad słownictwem technicznym i wydał słownik wyrazów używanych w elektrotechnice. Zbierał materiały do antologii głosów o mowie polskiej. Stosunki z Żerańskim należą do bardzo miłych moich wspomnień.

W losach moich zbiorów dotąd nic się nie zmieniło, wyjaśniły się tylko niektóre sprawy. Pertraktacje o przekazanie mego dorobku na rzecz użytku publicznego stoją na martwym punkcie z przyczyn ode mnie niezależnych i zależnych: nie chcę zbiorów parcelować i stanowczo pragnę, aby nie były

wchłonięte i rozproszone w zbiorze jakiej biblioteki.

Najrzadsze rzeczy przeniesione na ulicę ks. Skorupki uległy całkowitemu zniszczeniu, jak stwierdziły poszukiwania, podjęte po upływie dość długiego czasu. W tej stracie jedyną pociechą jest dla mnie wiadomość, że winowajcami są Niemcy: ich bomba krusząco-zapalająca zburzyła kamienicę. Przykro byłoby stwierdzić, że te skarby zniszczyła wilgoć w ciągu dwuletniego działania. Wprawdzie natychmiast po wypędzeniu z Warszawy Niemców, uczeń mój, bibliotekarz Czesław Gutry, dobrawszy grono harcerzy, powodowany obowiązkiem ratowania dobytku kulturalnego i znaną ku mnie życzliwością, robił poszukiwania na ulicy Skorupki i komunikował mi o zagładzie, lecz zdawało mi się że szukał w miejscu niewłaściwym.

Ponieważ z piwnicy, gdzie złożone były moje rzeczy nie zdążono wszystkiego wywieźć z Warszawy, skorzystali z tego szabrownicy i książki, rękopisy oraz inne rzeczy moje znalazły się w księgarniach, antykwariatach i prywatnych zbiorach. Część wy-szabrowanego mienia wróciła do mnie, skoro księgarze dowiedzieli się, że stanowiła moją własność. Przy tej sposobności zwracam się z gorącą prośbą do wszystkich, którzy nabyli utwory z dedykacją dla mnie, druki nieoprawne, zabezpieczone obwolutą z szarego ciemnego papieru z tytułem wypisanym moim wyraźnym charakterystycznym pismem, druki z wieku 18-go ze zbiorów Weysenhoffa, autografy w takich samych papierowych obwolutach, albumy z pocztówkami mickiewiczowskimi, z typami ludowymi, medaliony i medale, żetony i pamiątki mickiewiczowskie, aby zwrócili powyższe rzeczy za pokryciem kosztów do biblioteki mojej fundacji.

uniemożliwiały przez parę lat sprowadzenie do niej moich zbiorów. Spoczywały one w Piotrkowie, w podziemiach kościoła Bernardynów, pod troskliwą i całkowicie bezinteresowną opieką pana Antoniego Badka, któremu w tym miejscu składam gorące podziękowanie. Od roku 1946 rozpocząłem starania o zabezpieczenie trwałej przyszłości dorobku mego życia i stworzenia warsztatu pracy dla badaczy historii literatury i kultury polskiej. Od dawna zamiarem moim było stworzenie z mych zbiorów fundacji, aby nadal mogły się rozwijać i być jak najszerszej udostępniane pracownikom naukowym. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że własnymi siłami nie zdołam już powiększać i kompletować zbiorów w zakresie odpowiadającym ich dotychczasowej skali. Rozumiałem, że jedynie opieka instytucji państwowej potrafi uczynić ze zbiorów moich placówkę żywą i rozwijającą się, dzięki czemu utrzymywałyby one charakter jednej z poważniejszych bibliotek specjalnych naukowych. Uważam bowiem, że obok wielkich centralnych bibliotek, jak Narodowa, gromadzących cały dorobek piśmiennictwa polskiego, powinny być stworzone wielkie biblioteki specjalne, które by pod kierownictwem fachowców z danej dziedziny naukowej mogły być najlepiej kompletowane. Z tą myślą zawarłem umowę z Instytutem Badań Literackich, na podstawie której powstała fundacja pod opieką tegoż instytutu. Fundacji tej przekazałem całość moich zbiorów, składających się z biblioteki o następujących działach: dzieła autorów polskich, tłumaczenia autorów obcych, opracowania historyczno-literackie, bibliologia i bibliografia, historia Polski, dzieje szkolnictwa polskiego, pamiętniki, sztuka polska, etnografia, filozofia i nauki społeczne, iudaica, czasopisma, kwestia chłopska, kwestia kobieca, mickiewicziana, słowaciana, krasinsciana, norwidiana i wyspiansciana-

na, zbiory rękopisów i autografów, ikonografii (portrety wybitnych osobistości, zwłaszcza pisarzy, ilustracje do utworów literackich, widoki miejscowości, szczególnie Warszawy, typy ludowe itp).

Dzięki staraniom Instytutu Badań Literackich biblioteka wróciła na swe dawne miejsce i można było przeprowadzić jej gruntowne uporządkowanie, co pozwoliło na jej udostępnienie, acz w prowizorycznych na razie ramach.

Mam nadzieję, że dorobek życia mego został zabezpieczony i że fundacja rozwijając się pomyślnie, będzie mogła służyć nauce polskiej.

Quod felix, faustum fortunatumque sit

(Oby sprzyjały jej szczęśliwe, pomyślne i życzliwe losy).

Warszawa, 20 marca 1950 r.

Listy do Zofii i Tadeusza Mikulskich

Warszawa 30 III 46

Szanowny i Kochany Panie Profesorze,

Przed chwilą otrzymałem list i stante pede odpisuję. Ucieszyłem się niezmiernie z Pańskiej nominacji i z całego serca gratuluje. Oby zdobycie trwałej podstawy umożliwiającej poważną pracę naukową ułatwiło Panu działalność pedagogiczną i twórczą. W dzisiejszych czasach [...] może na pierwszy plan wysuwa się właśnie pedagogika: solidne podawanie gruntownej wiedzy i możliwość wprowadzania młodzieży w ogrom piękna i wielkiego poziomu moralnego naszej literatury [...] Bardzo zasmuciłem się, że objawy takiej obyczajowości zaczynają panoszyć się wśród tych, którzy powinni być niezłomnymi rycerzami. Wierzę jednak, że skoro zmaćcone nasze życie zacznie się porządkować i normować, wszelkie fusy towarzyszące zawsze zamętom, opadną na dół i sprawdzą się słowa wieszka: „Nasz naród jak lawa...” Dziwnie jakoś nie ma przystępu do mnie pesymizm, choć z wieku i tyłu przeżyć w tym wieku moim łatwo mógłby mi towarzyszyć. Przepraszam za te belfrowskie banały. A jednak ceterum censeo magnos nostros poëtas, praecipue romanticos colendos esse.



10. Zbiory J. Michalskiego

A teraz słów parę o sobie. Proszę sobie wyobrazić, że jedną nogą byłem już poza marnościami tego świata, bo na rocznicę 70 wiosen mego życia (chętnie ofiarowałbym połowę tych wiosen jakiemu przyjacielowi naszego narodu) zafundowałem sobie zapalenie płuc. Dzięki troskliwej opiece żony, siostry, sąsiadek, doktora i zastosowaniu penicyliny, wygrzebałem się i od tygodnia jestem rekonwalescentem. Diabelnie jednak jestem jeszcze osłabiony. Sprawa mojej biblioteki dotąd nie jest załat-

wiona, a ostatni projekt „wolnomyślnego” wydziału humanistycznego zgoła mi się nie podoba. Proszę o bezwzględny sekret w tej sprawie, ale według tego projektu biblioteka ma pobożnie czekać w Piotrkowie, aż wydział przygotuje w uniwersytecie dla niej miejsce, a ja na ten czas otrzymam zaszczytne stanowisko kustosza in partibus infidelium. Później, tj. chyba już po mojej śmierci, książki zostaną wcielone do seminaryjnej biblioteki, a tutaj im i miasto, jak mówi zaprzyjaźniony naród. Nie wiem, czy mówiłem Panu, że przemogłem wstręt do pióra i ukropiłem koło 6 arkuszków druku wspomnień „55 lat wśród książek”, czyli, jak mówi moja żona, wśród Żydów. Siadam teraz do wspomnień gimnazjalnych, uniwersyteckich, nauczycielskich i wizytatorskich. Trzeba się śpieszyć, póki się jeszcze doszczętnie nie zramolało [...]

Żona zapracowana w szkole, a ileż trudu było z chorym mężem! Na święta z Jurkiem wybierają się do Wrocławia i nie omieszkają być u Państwa. Ja zostanę w domu. Może na wakacje pojedę na Śląsk, jeśli siły pozwolą.

Cieszę się obietnicą, że Państwo na Zielone Świątki będziecie u nas. Tak miło widzieć i gawędzić z miłymi i życzliwymi osobami. Proszę pamiętać o samotniku i znaleźć czasem chwilkę na skreślenie kilku słów o sobie.

Kończę, przepraszając za te trzy po trzy (signum aetatis), serdecznie i mocno ściskam dłoń Pana Profesora, całuję ręce Pani Profesorowej i przesyłam Państwu wyrazy prawdziwej i głębokiej życzliwości

Jan Michalski

Żona i Jurek moc pozdrowień i życzeń lepszych warunków i humoru.

W Państwo Tadeuszostwo Mikulscy, Wrocław,
Uniwersytet.

Przy nadchodzącym Nowym Roku przesyłam Kochanym i Drogim Państwu moc serdeczności i życzeń. Obyście w pełnym zdrowiu, z energią pokonywali wszelkie kłopoty trudnego nieraz bieżącego życia. Sądzę, że żona i Jurek, którzy na ferie wyjechali do rodziny przez Wrocław, znajdą czas na zakłócenie Państwu spokoju.

Pamiętniki moje utkwily u Borowego, który zechciał napisać przedmowę. Wpadłem na ten pomysł, aby sparaliżować dobre chęci innego amatora. „Wiedza” chce, abym bodaj w dwójnasób powiększył rękopis. Nie mam weny: trzeba by prze-rabiać całą konstrukcję. Wolę tę energię zużyć na „Warszawę w oczach ucznia, studenta i nauczyciela”. P. Jurgielewiczową znam, a Mieczysław jest moim uczniem. Skorzystam z tej wiadomości. Z „Wiedzy” dostałem już zaliczkę. Chcę wydać po bibliofilsku tę moją ramotę. Co się tyczy Nehringa, nabywałem rzeczy z jego biblioteki z dwóch katalogów Jolowicza. Trzeba tylko ostrożnie traktować katalogi, bo antykwariusze stale mają zwyczaj dokładać do takiej puścizny leżące zasoby z dawnych katalogów i innych nabytków.

U nas wszystko po staremu, żona po uszy tkwi w robocie szkolnej, a w przerwach słodzi sobie życie w przyrzadzaniu jadła i trafianiu w ten sposób do serc synka i męża. Jurek tkwi znów w wieku 18-m; na ożenek jakoś się nie zanosi: ma czas. Gorzej, że biedak ma kłopoty z wątroba. Co do mnie sprawdzić mogę sens przysłowia Senectus ipsa morbus. Poza tym niczym ewangeliczny Jan prostuję drogi nauczycielkom jako korepetytor i wracam do pierwszej miłości, tj. do łaciny. Muszę się w końcu pochwalić sukcesem: zaliczono mię łaska-

wie do ubogich reprezentantów kultury, tj. od kwietnia otrzymuję aż 3000 zł miesięcznie. Jeszcze raz przesyłając serd. życzenia całuję ręce SzPani (póki czas, proszę pamiętać o mojej radzie), a Koch. P. Tadeusza mocno ściskam

JMich.

27 XII 46

[Nadawca:] J. Michalski Warszawa

Szanowny i Drogi Panie Profesorze,

Najmocniej przepraszam, że swoją osobą zajmę Mu trochę czasu i poproszę o możliwie najszybszą odpowiedź w takiej oto sprawie. Sądzę, że doszło do Pańskiej wiadomości utworzenie pod egidą Centralnego Instytutu Kultury mojej legacji, niestety nie „przeważnej”, jak się w skutkach okazało. Sławetny CIK jest instytucją z nieprawdopodobnego zdarzenia: nic dotąd nie zrobił i mam przekonanie, że wkrótce zamrze. Książki moje w dalszym ciągu spoczywają w Piotrkowie, inne rzeczy w Muzeum etc. Muszę poszukać innej opieki i wreszcie ruszyć z martwego punktu. Otóż dowiedziałem się, że Instytut Badań Literackich zainteresował się nie tyle moją osobą, ile książkami i chciałby (co bardzo dobrze pojmuję) skorzystać z mojej biblioteki. Ja również sądzą, że zawarcie małżeństwa mojej legacji z Instytutem mogłoby rokować dobrą i liczną progeniturę, ale nauczony smutnym doświadczeniem chciałbym wiedzieć, czy warto puszczać się w konkury przed spisaniem intercyzy. Słyszałem, że „sanhedryn” Instytutu wybiera się do mnie. Ja oczywiście nie zwrócę się pierwszy. Ponieważ wiem, że Pan wymieniany jest jako członek Zarządu i był na posiedzeniu w Warszawie, proszę, ufny w Jego życzliwość, o skreślenie, czy warto łączyć się z Instytutem i ewentualnie przy pertraktacjach prosto

bronić „mojej” sprawy, tj. sprawy niezamarnowania i nierozproszkowania pracy mego życia. Ważną też rzeczą będzie osobisty stosunek z ludźmi, bo wszak wyeliminować mojej osoby na ten krótki już okres życia mego nie można i oddzielić od zbiorów.

Oprócz mojej sprawy mam jeszcze prośbę syna. W pracy doktorskiej musi wykorzystać zbiory Ossolineum, zwłaszcza dział rękopisów 18-go wieku. Otóż czy są one we Wrocławiu, czy można do nich dotrzeć, czy sygnatury drukowanych katalogów rękopisów obowiązują obecnie, czy druki wieku 18-go uporządkowane i dostępne dla badaczy.

Wszyscy żałujemy niezmiernie, że nie mieliśmy możliwości widzieć SzPana Profesora w Warszawie. Wiem, że wpadł Pan jak po ogień i wracać musiał do mnóstwa zajęć, które czekać nie mogą. Jeszcze raz gorąco przepraszam, że chcę z tak zabawionego czasu jeszcze cząstkę zeskamotować dla siebie. Tak chciałbym uregulować wreszcie sprawę zbiorów, bo czas do domu, czas! Wpadłem również z Wiedzą, która dusi mój pamiętnik. Wysiłem się na napisanie, a wydawca zdobył pono sporo rękopisów i puszcza w świat intratne dla siebie.

Serdecznie pozdrawiamy „rodzinnie” Oboje Droгих Państwa. Ręce Pani Jurek i ja całujemy

JMichalski

Warszawa 10/II 48

P.S. Proszę o zupełną dyskrecję w sprawie ew. stosunków z Instytutem badań, bo to są luźne projekty.

Drogi Panie Profesorze,

Dziękuję bardzo za życzenia świąteczne, a zwłaszcza za wysoce dla mnie przyjemną wiadomość, że Ossolineum ma zamiar wydać moje „55 lat”. Z

„Wiedzy” rękopis powędrował do bratniej „Książki”. J. Gomulicki przed paru miesiącami oświadczył mi, że spowodował przepisanie na maszynie w trzech egzemplarzach mojego rękopisu. Jakoż po pewnym czasie, doręczył mi autograf, o czym zdaje się „Książka” zgoła nie wie i może ze względów praktycznych nie należy tego ujawniać. Może wówczas albo wynajdą maszynopisy, jeżeli były, albo łatwiej zwrócą mi umowę zawartą przeze mnie z „Wiedzą”. Cieszę się niezmiernie, że firma, estetyczny wygląd książki etc., sownie wynagrodzą mi tak długie oczekiwanie. Zresztą do cierpliwości przyzwyczajam się już od czasu, gdy chciałem utrwalić losy moich zbiorów. Wiadomo już Drogiemu Panu, że fundacja już prawie istnieje, że zbiory zostały już tak uporządkowane, iż łatwo można mieć książkę czy inny obiekt. Mamy się wkrótce przeprowadzić na ul. Śniadeckich i tam znów się urządzać! Człowiek żył się z dawnym mieszkaniem, gdzie upłynęło mu około lat 40! Żona i Jurek nie znają innego mieszkania. Ale dla mnie osobiste sprawy ustąpić muszą sprawom fundacji. Ja sam w statucie zobowiązałem IBL, aby najdalej w przeciągu 3 lat znalazł odpowiednie dla zbiorów i ich wykorzystywania pomieszczenie. Chciałbym, aby życie (a tak mało mi go pozostaje) w nowych warunkach upływało w atmosferze pogodnej i dla dobra fundacji. B. żałuję, że nie możemy się skontaktować osobiście. Może teraz, przy sąsiedztwie z lokalem IBL łatwiej to jakoś będzie zrobić. A tyle mam rzeczy do omówienia. Najgorzej, że ze zdrowiem moim jest niezbyt dobrze. Senectus ipsa morbus — to najważniejsza, ale wszelkie warunki atmosferyczne nie sprzyjają zdrowiu. Proszę wierzyć, że pojmuję dobrze, jak SzPan jest zaorany i nie łatwo mu znaleźć trochę czasu na gawędy.

Przy zbliżającym się Nowym Roku przesyłam 163

SzPaństwu jak najserdeczniejsze życzenia zdrowia
i energii w przetrwaniu i pokonywaniu wszelkich
trudności naszego życia

Jan Michalski

Do moich życzeń dołączają identyczne Żona i Ju-
rek.

Warszawa 28/XII 49

Tadeusz Mikulski o *Wspomnieniach* Jana Michalskiego

Jan Michalski, 55 lat wśród książek. *Wspomnienia, wrażenia, rozważania*. Z przedmową Wacława Borowego, Wrocław 1950. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, ss. XII, 106, 2 nrb., 6 tabl.

Postać Jana Michalskiego tkwi tak mocno w naszej pamięci, historycznej i osobistej, że nie trzeba wywoływać jej przy pomocy dat biograficznych (zresztą czytelnik, który będzie szukał tego materiału, odnajdzie z łatwością artykuł pośmiertny Ksawerego Świerkowskiego pt. *Jan Michalski i jego zbiory* w „Pamiętniku Literackim” XXXIX 1950). Wystarczy dać za tło naszemu wspomnieniu — ulicę Świętokrzyską w Warszawie, w jej kształcie niepowrotnym, obudowaną szczelnie przez antykwarnie różnego stylu i rodzaju; „...a zgarbiony, starszy pan — pomaga tej ewokacji J. W. Gomulicki w ładnym obrazku *Ulica Świętokrzyska* w »Stolicy« II 1947 nr 21 (30) — o szpakowatych włosach, ale oczach przenikliwych i młodych, któremu kupiec podsunął z uszanowaniem całą stertę rzadkich powieści, to »wielki myśliwy« tej świętokrzyskiej kniei i posiadacz wspaniałej, zasobnej we wszelkie cudowności biblioteki polonistycznej, Jan Michalski, fenomenalny zbieracz i znawca starych książek, który ze skromnych zarobków nauczyciel-



11. Kazimierz Piekarski

skich potrafił tyle odkładać, że zebrał od czasu wojny [1914] około czterdziestu tysięcy książek, broszur i czasopism!”

Pamiętnik bibliofilski Jana Michalskiego nosi urzekający tytuł: *55 lat wśród książek. Z górą półwiecze!* Bez przesady można powiedzieć — całe życie. Wymaga tylko chwili zastanowienia, jak je zaczniemy liczyć. Bo nie od wczesnej lektury dziecięcej, którą rozpoczyna — wśród paru innych tytułów — *Robinson Crusoe* i bogata seria wszelkiej robinsonady (zanotujmy to wyznanie wielkiego bibliofila do dziejów *Robinsona* w Polsce, skorośmy już je próbowali przygodnie szkicować). Kalendarz swojego bibliofilstwa inauguruje Michalski w piątej klasie gimnazjum, gdzieś zatem w r. 1892/1893, kiedy za pierwsze pieniądze, przyniesione ze szkolnej korepetycji, młodziutki nauczyciel gramatyki łacińskiej zakupił u Szymona Rubinsteina, anty-

kwarta, wysoki stos książek (były to zeszyty głosnej Biblioteki Polskiej Turowskiego).

Zadzierzgnięty tak wczesnie węzeł przyjaźni z książką nie ulega działaniom przypadku czy kaprysu: lata studenckie, później lata zawodu nauczycielskiego pogłębiają pasję zbieracką, dają jej smak i siłę, pozwalają wykształcić zakres zbieractwa, rozszerzając je zwolna na całokształt literatury i kultury polskiej, a jednocześnie zakosztować specjalizacji bibliofilskiej.

Spśród licznych form zażyłości z książką, które Michalski uprawia, brak może tylko tej jednej: znakomity bibliofil pisze w swoim życiu niewiele i niechętnie. Ksawery Świerkowski naliczył w tych 55 latach współżycia z książką — 23 pozycje bibliograficzne. Gdy patrzymy na tę zdumiewającą listę, uderza jeszcze bardziej jej szczupłość, żeby nie powiedzieć ubóstwo. Michalski opracował serię żywotów literackich (z pokolenia wczesnego romantyzmu) w ramach zasłużonego wydawnictwa *Sto lat myśli polskiej*, później wydał nieco tekstów z w. XVIII i XIX (dla celów szkolnych), ogłosił parę artykułów. To wszystko! Z całego bogactwa wielkiego księgozbioru i z naprawdę niezwykłej wiedzy o życiu literackim, którą rozdawał szczerobliwie nam wszystkim, zdołała powstać ta tylko uboga lista bibliograficzna. Nie tylko nas, ale i samego bibliofila musiało zastanowić to zjawisko. „Prócz tego miałem — sądzi się Michalski — nieprzewyciężony wstręt do pisania. Czy to był brak tresury, czy nieudolność, czy przesadny samokrytycyzm — nie umiem powiedzieć”. Myślę jednak, że parę wierszy wyżej sam Michalski określił trafnie swoją abstynencję pisarską: ten polonista z temperamentu, zainteresowań, kierunku umysłowego, ukończył w Uniwersytecie Warszawskim filologię klasyczną. W dziedzinie historii literatury — pisze o sobie — „byłem 167

samoukiem". Wahamy się znowu, czy wolno zostać przy podobnej formule, gdy mowa o budowniczym potężnej biblioteki, dla której zgromadzenia trzeba było prawdziwej uczoności. Ale Jan Michalski z tą rzetelnością sądu, jaka charakteryzowała całe jego działanie, upiera się przy swoim określeniu: „jednak samouctwo przeszkadzało w koncentracji studiów i rozwinęło stałe pragnienie zdobywania coraz nowych wiadomości". Ta autocharakterystyka zawiera, zdaje się, elementy poszukiwanej odpowiedzi.

Książka o książkach musiała zresztą pociągnąć niejednokrotnie przyjaciela druku. Przelotny ślad podobnego zamysłu zanotował autor w rozmowie z Wiktorem Gomulickim. Monografista *Cudnej mieszczki*, zamknięty w swoim mieszkaniu na Mariensztacie, proponował raz Michalskiemu, by ułożyć książkę z listów na tematy bibliofilskie, jakie pisywali do siebie. Do tej korespondencji samotnik z Mariensztatu chciał wciągnąć innych jeszcze uczestników „i w ten sposób mogłaby powstać ciekawa książka". Nie powstała jednak! Czy przeszkodziła jej śmierć Gomulickiego, czy ów „nieprzewzyciężony wstręt do pisania"? Sam zresztą pomysł, nieco France'owski w założeniu, być może nawet zaczerpnięty z literatury francuskiej, mógł nie odpowiadać charakterowi umysłowości i kultury literackiej Michalskiego.

Dopiero ku schyłkowi życia, zupełnie nieoczekiwanie dla towarzyszy cechu, Jan Michalski nakreślił jednym rzutem, z temperamentem doskonałego gawędziarza swoje *55 lat wśród książek*. Tekst wspomnień powstał w ciągu r. 1945 (skończony 16 lutego 1946), w tym zrywie twórczości, który objął całe społeczeństwo i od razu stał się sensacją nie lada. Warszawa bibliofilska chwyciła je w rękopisie, z emocją i wzruszeniem. Autor raz po raz mu-

siał sięgać do szuflady, powierzając chętnie pamiętniczek przyjaciołom i znajomym. Gdy po kilku latach publikacja wspomnień stała się możliwa, Michalski dopisał jeszcze kilka stron końcowych i odłożył pióro 20 marca 1950. W kilka miesięcy później już nie żył.

W literaturze polskiej występuje wielokrotnie temat książki. Ale rzadko kiedy w takim niezwykłym zagęszczeniu. Jan Michalski waha się w określeniu swojego pamiętnikarstwa: ma dla niego — trochę nietrafny — podtytuł *Wspomnienia, wrażenia, rozważania*; w dedykacji książki, poświęconej pamięci Zygmunta Wolskiego, Józefa Drège'a i Kazimierza Piekarskiego, „największych bibliofilów, jakich w życiu spotkałem”, pisze po prostu: „tę garść luźnych wspomnień poświęcam”. Kiedy indziej w tekście, z niekłamany wdziękiem pióra i z wyraźną aluzją do literatury pamiętnikarskiej jeszcze inaczej: „moje Gadu-gadu”. Jest to w istocie bardzo prosta, treściwa, obficie podłożona anegdotą, ale mająca swoje plany ogólne, swoją „poetykę gawędy” — relacja o życiu, które wypełniła pasja polonistyczna. Gdy czytamy „Gadu-gadu” Michalskiego, potrafimy zrozumieć, dlaczego nie porwała go trochę wybredna, smakoszowska koncepcja owych listów bibliofilskich z Mariensztatu. Co innego opowiedzieć wszystko samemu, ku schyłkowi życia, jak w najlepszej tradycji polskiego pamiętnikarstwa.

Książka J. Michalskiego ma kilka wątków. Pierwszy z nich przedstawia dzieje zbieractwa autora i historię narastania jego niezwyklej biblioteki. Ze skromnych zarobków nauczycielskich, za cenę rosnącej znajomości rynku antykwarskiego powstaje w ciągu tych lat 55 wspaniałe księgozbiór polonistyczny, o wyraźnej specjalizacji w doborze materiału. Ze szczególną uwagą śledzimy rozwój działu Oświecenia, który wiele zawdzięcza przeję-

ciu zbiorów Józefa Weysenhoffa. Z epoki romantycznej, może najbliższej pasjom Michalskiego, wyrastają inne tematy jego zbieractwa: Mickiewicz, Słowacki, z późniejszych Norwid, Wyspiański. Ale praktyka bibliofilska tego zbioru nie zna ograniczeń, płynących z wąskich zainteresowań kolekcjonerskich. Zagadnienia szczegółowe mają tu szeroki, rozbudowany metodycznie kontekst literacki, gdzie historia literatury stanowi podstawowy element kultury narodowej. „Ojczysta historia, filozofia, etnografia, sztuka — pisze Michalski — coraz więcej mię pochłaniały, wywołując potrzebę rozszerzenia zbiorów w tym kierunku”. Oto dlaczego nie został Michalski zbieraczem osobliwości literackich, jak tylu innych przechodniów jego epoki, tylko fundatorem zbioru, o którym można mówić *bibliotheca patria* bez obawy nadużycia określenia.

Głównemu tematowi pamiętnika towarzyszy temat zależny: historia handlu antykwarycznego w Warszawie przełomu w. XIX i XX do wybuchu wojny r. 1939. „Jak pijacy ciągną do szynków” (to porównanie, z ogrodu fraszki bibliofilskiej, nie bez kozery powraca pod piórem gawędziarza), Michalski, „wielki myśliwy” ulicy Świętokrzyskiej, ciągnął całe życie do antykwarni (sam zresztą w latach 1913—1914 prowadził Antykwarnię Warszawską, której dzieje zajmująco opowiedział). Antykwarnia nie ma przed nim tajemnic. Przeniknął je wszystkie — od tajemnicy ceny do zagadki genealogicznej. Rozsnuwa zatem — i nikt w tej relacji nie może go zastąpić — dzieje rodzin żydowskich, które od trzech pokoleń prowadzą handel książką na ulicy Świętokrzyskiej. Galsworthy warszawskiego antykwarstwa! Michalski opowiada dzieje firm, ich postępującą laicyzację, przedstawia kształtowanie cen antykwarskich w ciągu półwiecza, praktyki katalogu antykwarskiego (słuszna przestroga co do mało

wiążącego traktowania proweniencji), obyczaje i zabiegi reklamy, mówi wiele o moralności handlowej tego zamkniętego kręgu księgarstwa. A chociaż umie nakreślić groteskowy rysunek antykwariusza, widzi dobrze jego rolę w rozwoju i zasięgu kultury umysłowej. Tak powstało — z najprawdziwszej autopsji — wartościowe źródło historyczne, nasycone realizmem, a jednocześnie sentymentem osobistym. Jest to dokument pełen wzruszenia — i dziwnej rzeczowości. Nie ma w naszej literaturze kart o podobnej wymowie. Może tylko piękny obrazek Syromkli *Księgarz uliczny*, nie nadaremno gdzieś tutaj wspomniany.

Księgarenki, w których Michalski spędził 55 lat życia, wypełniali także ludzie, nie tylko druki. W tej właśnie ciżbie odnalazł pamiętnikarz nowy temat swojego dzieła. Kogo chcecie zobaczyć na gorącym uczynku lektury, z otwartym notatnikiem, kłęczącego nad stosem książek, przy półce antykwariatu warszawskiego? Oto Piotr Chmielowski, przewodnik „samouctwa” Michalskiego. W wesołej, krzykliwej grupie Rembowski, Smoleński, Wolski opowiadają pełnym głosem tłuste kawały z promeny warszawskiej. Od uczonych wesołków odwracają się panie, ale w taki sposób, żeby nie zgubić ani słowa. Czy to o pożyciu małżeńskim Leopolda Meyeta? Rozbiegane, swobodne pióro Jana Michalskiego posuwa się żwawo po papierze. Czytelnik pracy Karola Badeckiego *Z badań nad literaturą mieszczańsko-ludową XVI—XVII w.* („Pamiętnik Literacki” XLIII 1952 z. 3/4) dziwił się może, dlaczego w bibliotece Zygmunta Wolskiego nie udało się odnaleźć nikomu fragmentów unikatów z r. 1543 *Senatulus to jest sejm niewieści*. Nie bez uśmiechu Ign. Chrzanowski musiał pisać w r. 1906: „fragmenty te jednak tak się gdzieś zaprzepaściły, że właściciel, pomimo usilnych próśb autora, nie mógł

ich na razie odszukać". Przeczytajmy u Michalskiego wyborny opis biblioteki Wolskiego, a zrozumie-
my wszystko: „Gdy stosy przynieszonej do domu
bibuły groziły domowemu porządkowi, małżonka
kazała wynosić je na strych podczas nieobecności
męża”. „Opowiadał mi Wolski, że raz dostał się kot
na ten strych z książkami, te zwały się raptem
na niego i zasypały doszczętnie. Gdy gospodarz
grzebał się w książkach, natrafił na szkielet zwie-
rzęcia”. Może szukał unikatku z r. 1543 dla Chrza-
nowskiego? Albo jeszcze ta scena: Gabriel Korbut
pochylony nad stosem antykwarskim robi „notatki
na karteluszkach, w kajecikach, w notesie”. Tak
powstaje kompendium *Literatura polska...* „Widząc,
o co chodzi, obawiałem się czy z tego chaotycznego
sposobu notowania złoży się kiedyś całość i nieraz
delikatnie zwracałem uwagę...” Dydaktyzm Michal-
skiego był czujny, bardzo kulturalny, dyskretny.

Wśród tych postaci, mających nieraz wybitne
miejsce w kulturze, nie gubimy ani na chwilę twa-
rzy samego autora. Już treść książki charaktery-
zuje podstawowy rys osobowości zbieracza, jego na-
miętność bibliofilską. Ale i poza tym znalazł on
dość sposobności, żeby rozrzucić elementy swojej
biografii umysłowej czy upodobań kulturalnych. Je-
go młodość przypadła na schyłek pozytywizmu i
można uznać typ umysłowy Jana Michalskiego za
ukształtowany przez pozytywizm warszawski. Na
wiek męski przypadają „rewolucyjne ruchy 1905 r.
i lat następnych”. Jego poglądy społeczne są wolne
od choroby nacjonalizmu, nie znają spaczeń fidei-
stycznych. On sam postępowość swojego myślenia
ocenia zdecydowanie: „miałem opinię czerwonego
radykała” — relacjonuje zabawną scenę z hr. Juliu-
szem Ostrowskim; nie widzi przy tym potrzeby, że-
by prostować czy bagatelizować tę opinię. Jakże
172 charakterystyczne są odżegnywania się Michalskie-

go od heraldyki i jak surowo umie on ganić przykry snobizm podobnego zbieractwa! Sam nie ulega snobizmowi w najłżejszej postaci. Niechęć do heraldyki posuwa aż do niesłusznej eliminacji herbarzy ze swoich zbiorów. Jednakże trafnie występuje przeciw schorzeniom bibliofilstwa, np. przeciw wydawnictwom bibliofilskim, które istotnie należały do patologii dwudziestolecia. Ten wspaniały bibliofil, właściciel wielotysięcznej biblioteki, w której roi się od rzadkości w każdej epoce, nie ma własnego ekslibrisu! Wspomina tylko, i nam dobrze pamiętną, „pieczętkę kauczukową”.

Z tych drobnych pozornie odruchów pióra czy usposobienia wyziera inteligencja zupełnie swoista, mocna, pełna prostoty, nie dowierzająca autorytetom. Michalski reaguje natychmiast, gdy go przypadek zetknie z właściwościami innego rzędu. Oto notatka ze spotkania z Miriamem: „Ton namaszczony, skłonność do grandilokwencji nie tylko w piśmie, ale i w mowie, nie licowały [...] z moimi upodobaniami”. Obrusza go zawodność w traktowaniu spraw książki, „np. katalogowanie, z czego usiłuje się zrobić naukę”. Michalski kataloguje swój zbiór starannie, ale akcentuje swe słowa przeciw próbom uczynienia nauki z bibliotekarstwa gestem niecierpliwym, który dobrze mamy w pamięci.

Lektura wspomnień Jana Michalskiego i ten obraz człowieka, jaki umieliśmy wydobyć z jego uwag przygodnych, nawiasów, wypowiedzi — wszystko to komentuje żywo ostatnią decyzję Michalskiego: z olbrzymiej biblioteki, która zachowała wysoką wartość humanistyczną mimo ran, jakie zadała jej wojna, Jan Michalski uczynił szczodrobliwy dar dla narodu. Wspaniały zbiór, złożony w Instytucie Badań Literackich, służy dziś potrzebom nowej nauki w literaturze. Decyzja ta pobrzmiewa najlepszą tradycją polskiego bibliofilstwa, naro-



12. Zbiory ceramiki J. Michalskiego.
Fragm. wnętrza

szą od czasów Józefa Andrzeja Załuskiego, i nadaje szczególny sens życiu i trudowi Jana Michalskiego.

Trzeba poczytać za zasługę Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich, że wydał drukiem i wyposażył w dokumentację fotograficzną pamiątniki bibliofilskie Michalskiego. Realizacja wydawnicza nasuwa jednak pewne zastrzeżenia. Tekstowi, nasyc-

nemu nazwiskami, brak indeksu. Brak także szczegółowego spisu treści, który dopomógłby przy poszukiwaniu tego czy innego szczegółu [...] Jeśli autor mówi w tekście o charakterze swojego pisma i prosi, by według tych cech kaligraficznych identyfikować rozproszone książki jego biblioteki, należało dać próbę jego pisma, bodaj jako facsimile podpisu pod fotografią. Dziełko ukazało się w formacie zbyt wielkim do rozmiarów tekstu. Winieta tytułowa (Stanisława Kobielskiego) przedstawia makietę antykwarni, ładnie, ale zupełnie dowolnie stylizowaną. To nie jest fasada z ulicy Świętokrzyskiej! W książce, która tyle prawdy powiedziała o ulicy Świętokrzyskiej, okładka także powinna być prawdziwa.

Tadeusz Mikulski

Nota bibliograficzna

Bibliografia prac Jana Michalskiego, opracowana przez Ksawerego Świerkowskiego w artykule *Jan Michalski i jego zbiory* („Pamiętnik Literacki” XXXIX 1950 s. 442—443) nie jest rygorystycznie kompletna. Można ją uzupełnić jedną jeszcze, drobną pozycją: *W sprawie rzekomego Mickiewicza*. „Wiadomości Literackie”, XIII 1936 nr 10 (642). Notatka J. Michalskiego wykrywa wiersz Michała Wyszkowskiego *Sen rozpaczającego* wśród pseudomickiewiczianów rkpsu Biblioteki Krasieńskich 5936, ogłoszonych przez Jana Muszkowskiego jako — teksty Mickiewicza („Wiadomości Literackie” XIII 1936 nr 8 640).

T. M.

(„Pamiętnik Literacki” XLIV 1953 z. 1. s. 349—54).

W Bibliotece Instytutu Badań Literackich

Historia

«Przede mną, Zygmuntem Hübnerem, Notariuszem w Warszawie, w kancelarii mojej w Warszawie przy ul. Kapucyńskiej pod N. 6, w Gmachu Hipoteki, stawili się znani mi osobiście:

1. Profesor Jan Michalski,
2. Jego żona Jadwiga-Karolina Michalska i
3. ich syn Jerzy-Adam Michalski — wszyscy zamieszkali w Warszawie przy ulicy Noakowskiego pod N. 12 m. 9 oraz
4. Jan Baculewski, wicedyrektor Instytutu Badań Literackich w Warszawie, działający w imieniu i na rzecz tegoż Instytutu na mocy załączonego upoważnienia Dyrektora Instytutu Badań Literackich w Warszawie z dnia 30 września 1949 roku za Nr 1995, zamieszkały w Warszawie przy ulicy Grochowskiej pod N. 98.

Stawający zeznali akt treści następującej:

§ 1. Profesor Jan Michalski powołuje do życia aktem niniejszym Fundację swego i żony imienia, aby przekazać Narodowi Polskiemu zbiory, jakie ze swoich zarobków nauczycielskich w ciągu 55 (pięćdziesięciu pięciu) lat życia zgromadził i powierza je opiece Instytutu Badań Literackich.

§ 2. Jan Michalski daruje powyższej Fundacji: a. bibliotekę składającą się z około trzydziestu

**NIE DAROWAŁEM
TEJ KSIĄŻKI
BIBLIOTECE NARODOWEJ
KAZIMIERZ PIEKARSKI**

13. Ekslibris K. Piekarskiego
(Oss. I. ex. 4046)

tysięcy (30 000) pozycji, a znajdującą się w jego mieszkaniu w Warszawie przy ul. Noakowskiego pod N. 12 m. 9, b. zbiór wizerunków i rycin, związanych z osobą Adama Mickiewicza oraz innych znakomitych Polaków, c. zbiór książek i rycin odnoszących się do miasta Warszawy, d. zbiór ceramiki ludowej około 1000 (tysiąca) sztuk, e. zbiór wycinanek ludowych, f. zbiór autografów i rękopisów, g. zbiory znajdujące się na przechowaniu w Muzeum Narodowym w Warszawie (portrety, ceramika itp.) — również pozostałości z wystawy Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu z roku 1939».

Tak rozpoczął się akt będący owocem długich pertraktacji z Fundatorem, Ministerstwem Kultury i Ministerstwem Oświaty, któremu wówczas IBL podlegał.

Zdając sobie sprawę z wartości swoich zbiorów Jan Michalski po powrocie z wojennej tułaczki pragnął je oddać w służbę publiczną. O niechętniej postawie przedstawicieli wielkich bibliotek pisze w epilogu wspomnień. Sam zresztą nie życzył sobie zagubienia księgozbioru wśród setek tysięcy innych tomów. Starania i pertraktacje z różnymi instytucjami trwały przeszło dwa lata. W grę wchodziło Seminarium Polonistyczne UW i działający wów-

czas Centralny Instytut Kultury. Te jednak z braku środków czy entuzjazmu nie potrafiły doprowadzić rzeczy do końca i zapewnić zbiorom odpowiednich warunków. Dopiero w 1948 roku Dyrekcja Instytutu Badań Literackich (natychmiast po jego związaniu) rozpoczęła poważne układy. Szczęśliwie udało się wyeliminować konkurentów, spełnić żądania władz zwierzchnich i dojść do pełnego porozumienia z Fundatorem.

Dla świeżo powstałego Instytutu Badań Literackich uzyskanie zbiorów tej klasy stanowiło niemal warunek istnienia. Własny księgozbiór, tworzony od 1948 roku (zakupiono wówczas 480 dzieł) i mający dopiero w końcu następnego roku otrzymać odrębny status biblioteki, ilościowe rozmiary Fundacji osiągnął po kilkunastu latach pracy całego zespołu pracowników korzystających z funduszy państwowych. Nie mógł wówczas stanowić podstawy do badań, które w naukach historycznych są możliwe tylko w oparciu o bibliotekę zasobną w dawne dzieła. Księgozbiór Jana Michalskiego tworzył — jak zobaczymy — niemal idealną podstawę badań historycznoliterackich. Toteż Instytut wypełniał w miarę możliwości warunki stawiane przez Fundatora, choć było to niełatwe w warunkach lokalowych powojennej Warszawy (np. § 5. „Fundacja umieści zbiory w terminie trzyletnim w odpowiednim lokalu [...]”), czy — jak się później okazało — wręcz niemożliwe w postulowanej formie. Statutowe cele Fundacji tworzyły z niej bowiem coś w rodzaju instytucji naukowej. Art. 6 głosił: „Celem Fundacji jest [...] c) podejmowanie wydawnictw naukowych i popularnonaukowych z zakresu reprezentowanych w działach zbiorów [...] ze szczególnym uwzględnieniem badań historycznoliterackich na tle kultury polskiej”. W zmienionym systemie organizacyjnym życia naukowego zamysły

Fundatora realizuje w ciągu 25 lat działalność właściwie cały Instytut Badań Literackich i jego Biblioteka, realizuje — dodajmy — w dużej mierze dzięki księgozbiorowi Jana Michalskiego.

Statut Fundacji został zatwierdzony przez Ministra Oświaty dnia 28 listopada 1949 roku a jej pierwszym Kuratorem i Dyrektorem (gdyż takie stanowiska przewidziano) został Jan Michalski będący pracownikiem IBL od początku tegoż roku.

Już jednak w protokole z drugiego zebrania Zarządu Fundacji, 22 kwietnia 1950 roku, czytamy: «Dyrektor Jan Michalski oświadcza, że opierając się na artykule 13 statutu Fundacji, jako Kurator Fundacji, wyznacza na następcę swego syna, dra Jerzego Michalskiego».

W sześć tygodni później, 4 czerwca tegoż roku, nominat musiał rzeczywiście objąć swoje funkcje, a Dyrektorem został mianowany prof. Kazimierz Budzyk.

Jeszcze przed sporządzeniem aktu notarialnego do mieszkania pp. Michalskich zgłosiły się zatrudnione w Instytucie Badań Literackich dwie młode bibliotekarki, Ksenia Kostenicz i Zofia Makowiecka. Pan Michalski, jak wspominają, przyjął je bez entuzjazmu. Obrzucił krytycznym spojrzeniem i niechętnie wpuścił do mieszkania. „Tu potrzebni są pracownicy fizyczni” — oświadczył. Jakoż rzeczywiście w ciągu kilku lat strawionych na porządkowanie i opracowanie księgozbioru trzeba było kilkakrotnie pakować, rozpakowywać, przenosić i układać na nowo tysiące książek, które po powrocie z Pałacem Staszica, gdzie trafiły z Piotrkowa, leżały — częściowo zawilgocone — w stosach spakowane w worki.

Metoda porządkowania — realizowana zgodnie z życzliwymi wskazówkami czcigodnego Fundatora, 179

który rychło nabrał zaufania do młodych bibliotekarek i darzył je do końca wielką sympatią — polegała na segregowaniu książek według działów i ustawieniu alfabetycznym. Tym sposobem każdy ustawiony dział mógł jeszcze przed skatalogowaniem służyć czytelnikom. Podobnym trybem porządkowano karty katalogu klamrowego sporządzonego przez Jana Michalskiego, a następnie konfrontowano je ze zbiorami, wykrywając braki zarówno w książkach zagubionych w wojennych kolejach, jak i w samych kartach katalogowych. Z kolei na podstawie uzupełnionych, sprawdzonych i skorygowanych kart katalogowych sporządzono inwentarz, pisząc go na specjalnie wydrukowanych arkuszach z trzema kopiami, z których pierwsza miała stanowić w Ministerstwie Oświaty załącznik do aktu powołania Fundacji, a dwie pozostałe — pisane jednostronnie — rozcinano i naklejało na kartki katalogowe. Na koniec dopisano karty pomocnicze.

O trudnościach, które musiały pokonać wykonawczynie, tak piszą w sprawozdaniu przedłożonym we wrześniu 1953 roku dyrekcji IBL:

«Ponieważ inwentarz był pisany na kilka rąk (kilka działów jednocześnie) — numerowanie pozycji inwentarza i sygnowanie książek i kart katalogowych było ostatnim etapem pracy. Wobec tego, że księgozbiór był cały czas udostępniany, zdarzało się, że książki zwrócone (nie posiadające nawet znaku działu) trafiały drugi raz do katalogowania i były po raz drugi wciągane do inwentarza».

Ponadto w czerwcu 1950 roku rozpoczęto przenosiny całego księgozbioru do lokalu IBL na drugim piętrze kamienicy przy ul. Śniadeckich 8, aby umożliwić pełniejsze wykorzystanie zbiorów. Oto, co czytamy na ten temat w cytowanym sprawozdaniu:

«Z braku sił pomocniczych przenosiny (zdejmowanie książek z półek, wiązanie ich w paczki, pakowanie do skrzyń, rozładowywanie skrzyń na Śniadeckich w pokojach 7 i 8, przenoszenie do pokoju 11, rozpakowywanie, odkurzanie, segregowanie, sprawdzanie, ustawianie na półkach) — przy równoczesnym obsłudze czytelników — zajęły dwóm osobom blisko rok czasu».

W tych warunkach w ciągu czterech lat opracowano 23 650 woluminów, resztę ustawiono alfabetycznie i osteplowano, a także przeprowadzono skontrum inwentaryzowanych zbiorów. Poza wymienionymi osobami zajmowała się tym (od 1952 roku) początkująca bibliotekarka, Zofia Dernałowicz — dziś kustosz Biblioteki IBL — i kilku dorywczych pracowników godzinowych.

Rezultatem pośpiechu wywołanego zarówno chęcią włączenia książek do obiegu (nagliły potrzeby pracowników naukowych IBL pozbawionych praktycznie warsztatu pracy), jak i administracyjnym nakazem szybkiego stworzenia inwentarza majątku, było powstanie skróconych informacji katalogowych. Brak więc w funkcjonującym dotychczas w Bibliotece katalogu kompletu odsyłaczy, nazwy wydawcy, w dziełach wielotomowych tytułów tomów, a i same tomy wyliczone są mało przejrzyste, bowiem cały opis dzieła musiał się zmieścić w jednej rubryce inwentarza. Nie można było również pozwolić sobie na rozszyfrowanie wszystkich znanych już anonimów, toteż wiele dzieł mających określonych autorów figuruje do dziś pod hasłami tytułowymi. Niedostatki te są w miarę ich wykrywania stopniowo eliminowane.

Wobec zmiany statusu prawnego zbiorów (po zniesieniu wszelkich fundacji w 1952 roku stały się częścią majątku IBL) potrzeba sporządzenia inwentarza nie było już tak pilna i resztę książek opra-

cowano lege artis. Katalog klamrowy uzupełniono ostatecznie w 1954 roku, w rok później zakończono katalogowanie i inwentaryzację druków zwartych nowych. Kartki katalogowe z sygnaturą oznaczoną symbolem „F” włączono do ogólnego katalogu Biblioteki, a katalog klamrowy — ułożony działami i zaktualizowany — w 1971 roku udostępniono czytelnikom. Na nim też figuruje napis postulowany przez Jana Michalskiego w epilogu wspomnień, bowiem w warunkach lokalowych Biblioteki IBL po przeprowadzce w 1955 roku do Pałacu Staszica nie może być mowy o osobnym lokalu przeznaczonym na zbiory Fundacji.

Czasopisma Fundacji postanowiono scalić z własnymi nabytkami Biblioteki i ze zbiorami Gabinetu Filologicznego im. Gabriela Korbuta przekazanego Instytutowi w 1954 roku. Pracę tę wykonały w 1957 roku pracownice Biblioteki, Maria Tułaczowa i Janina Rosnowska. Podobnie postępuje się z drukami starymi, opracowywanymi z natury rzeczy najwolniej — od 1953 roku przez Marię Tułaczową, później przez Marię Staszewską i Teresę Lancholc, a wreszcie — w 1974 roku przez pracownice Zakładu Starych Druków Biblioteki Narodowej, Marię Cubrzyńską i Annę Kotarską. Każdy jednak druk wcielony do ogólnego zbioru posiada osobną pieczęć o treści: „Ze zbiorów Fundacji im. J. J. Michalskich”. Powyższe odstępstwa od litery Statutu Fundacji podyktowane zostały wymogami organizacyjnymi dużej biblioteki, w której trudno utrzymać system gabinetów czy pracowni filologicznych.

Ze zbiorów specjalnych rękopisy posiadają założoną przez Jana Michalskiego kompletną księgę akcesyjną uzupełnioną później indeksem osobowym, ceramika została w 1954 roku zinwentaryzowana troskliwą ręką Jadwigi Michalskiej, która następnie — kosztem wieloletniego trudu — w 1972

roku ukończyła pełny katalog 33 tysięcy obiektów ikonograficznych. Ikonografia pozostała w mieszkaniu pp. Michalskich pod staranną i kompetentną opieką Współfundatorki jako Gabinet Ikonograficzny Biblioteki, a zbiory etnograficzne przekazano w 1973 roku Państwowemu Muzeum Etnograficznemu w Warszawie w wieczysty depozyt. Stanowią tam odrębną kolekcję opatrzoną nazwiskiem Fundatora. (Informuje o niej artykuł Piotra Szackiego, „Polska Sztuka Ludowa” 1975).

I w tym wypadku odstąpiono od Art. 4 Statutu Fundacji („zbiory [...] mają stanowić niepodzielną całość [...]”), kierując się wymaganiami współczesnej organizacji życia naukowego. Zainteresowania etnograficzne IBL nie wykraczają poza literaturę ludową i bezcenne dziś zbiory pozostałyby tam całkowicie martwe, podczas gdy powołana do tego rodzaju badań placówka odczuwa dotkliwy brak obiektów z dziedziny swojej specjalności.

Dodać jeszcze należy, że od początku przystąpiono do oprawiania książek wydawanych najczęściej w okładkach kartonowych. Ponad 3/4 księgozbioru ma już trwałą oprawę, a sześć starych druków szczególnie rzadkich i najdotkliwiej zniszczonych zakonserwowano artystycznie.

Zawartość

Nie opublikowano, niestety, szerszej charakterystyki pierwotnej zawartości zbiorów. Opis Ksawerego Świerkowskiego („Pamiętnik Literacki” 1950) w odniesieniu do przedwojennej postaci biblioteki jest ogólnikowy i opiera się głównie na wspomnieniach. Po bardziej wyczerpującą charakterystykę należałoby sięgnąć do *Zbiorów polskich Chwałewicka* (Warszawa 1927). Autor uważa bibliotekę Jana Michalskiego za największy i najznakomitszy przy-

watny księgozbiór warszawski i wymienia około 100 rzadkich i cennych druków, ale nie uwzględnia, rzecz jasna, owoców dalszych kilkunastu lat pracy zbierackiej. W poniższym przeglądzie będzie mowa tylko o tym, co obecnie znajduje się w Bibliotece IBL. Znaczna i, dodajmy, najcenniejsza część zbiorów została rozproszona w czasie ośmiokrotnych przenosin, którym podległy od czasu wybuchu powstania warszawskiego. Z 29 tytułów, które przypadkowo pojawiają się na kartach książki Michalskiego, odnajdujemy dziś tylko 10. Zginęły cimbela wyniesione w czasie powstania za namową Juliusza Gomulickiego na ul. Skorupki. Zbiory nie wywiezione do Piotrkowa, a pozostałe w mieszkaniu i w piwnicy, zostały po powstaniu splądrowane przez szabrowników, którzy na szczęście brali najchętniej tomy bogato oprawne. Wreszcie nie powróciło wiele rzadkich druków wypożyczonych na wystawy — do Krzemieńca, do Muzeum Mickiewicza w Warszawie — nie licząc tych, które w różnym czasie padły łupem indywidualnych „kolekcjonerów”. (Wróciły natomiast — o dziwo — wszystkie obiekty wypożyczone po wojnie do Muzeum Narodowego w Warszawie; zresztą wywiezienie księgozbioru do Piotrkowa, dzięki czemu ocalał, było w największej mierze zasługą dyrektora Stanisława Lorentza).

Stosowanie przedstawionej poprzednio metody katalogowania sprawiło, że już sama kolejność sygnatur tworzy z grubsza ukształtowane działy. Co prawda wskutek okoliczności, w jakich powstał ten układ, książki „wygrzebane” później w toku opracowania formowały drobne uzupełnienia głównych bloków lub trafiały do działów pokrewnych, czy obszernych kategorii Variów. Ciekawe, że mimo niekonsekwencji ten system ustawienia oddaje pewne usługi przy poszukiwaniu książek nawet w ma-

gazynie bibliotecznym, gdzie niepodzielnie panuje martwa zasada numeru bieżącego.

A oto jak przedstawia się kolejność działów:

1-5740 Teksty literatury polskiej. (Wiele tekstów — stosownie do tematyki — znajduje się również w działach: Kwestia kobieca, varsaviana, Judaica, Etnografia i oczywiście w działach monograficznych poświęconych wielkim pisarzom).

5741-8090 Opracowania literatury polskiej. (Uzupełnienie w dziale Językoznawstwo).

8091-8150 Słowniki

8151-10.130 Mickiewicz — teksty i opracowania

10.131-10.650 Słowacki — jw.

10.651-10.800 Krasiński — jw.

10.801-10.860 Norwid — jw.

10.861-11.030 Wyspiański — jw.

11.031-12.290 Historia (uzupełnienie: 12.641-12.650).

12.291-12.640 Filozofia, socjologia

12.651-14.570 Pamiętniki

14.571-14.750 Teatr

14.751-14.960 Językoznawstwo

14.961-15.401 Opracowania literatur obcych

15.402-15.740 Przekłady z literatur obcych — wydania z pierwszej połowy XIX w.

15.741-16.790 Przekłady z literatur obcych w wydaniach późniejszych (uzupełnienie: 19.201-19.220).

16.791-18.200 Bibliologia

18.201-18.365 Sprawa włościańska

18.366-18.510 Kwestia kobieca

18.511-19.200 Etnografia

19.221-19.470 Varsaviana

19.471-20.190 Historia oświaty

20.191-21.730 Sztuka

21.731-22.781 Judaica

22.782-23.361 Varia

23.362-23.630 Filologia klasyczna

23.631-24.820 Varia



14. Fragment zbiorów J. Michalskiego

Jak można wywnioskować z samego zestawienia ilościowego, nie wszystkie działy były traktowane jednakowo. W jednych (działy filologiczne, pamiętniki, bibliologia, judaica) chodziło o kompletność, o zgromadzenie wszystkich, nawet najmniej wartościowych publikacji. Inne natomiast — uznane za pomocnicze — zawierają w zasadzie tylko dzieła podstawowe, podręcznikowe i informacyjne. Posłużono się zatem metodą stosowaną przy kompletowaniu specjalistycznej biblioteki naukowej.

Filologiczna część księgozbioru (teksty i opracowania, działy monograficzne, językoznawstwo) licząca ponad 15 000 pozycji mogłaby (wedle stanu z 1939 roku) stanowić kompletną bibliotekę seminaryjną. Można było, korzystając tylko z księgozbioru Jana Michalskiego, ukończyć gruntowne studia polonistyczne, a kompletność niektórych działów czyniła z nich również pełny warsztat samodzielnej pracy naukowej. Znajdowało się tam wszystko lub niemal wszystko, co (do 1939 roku) wydrukowano o literaturze polskiej, reprezentowani byli prawie wszyscy pisarze polscy w wydaniach zbiorowych lub pierwodrukach i prawie wszyscy wybitni pisarze obcy tłumaczeni na język polski.

Ze zbioru tekstów literackich wyraźniej niż z innych działów można odczytać, właściwe wytrawnym filologom, wyczulenie Jana Michalskiego na szczególny urok pierwodruku — niejako jedynej oryginalnej postaci tekstu, postaci, w jakiej oglądał go po raz pierwszy zarówno sam autor, jak i ci czytelnicy, do których adresował swoje utwory. Tym tłumaczą się pewne luki w księgozbiorze. Brak mianowicie łatwych nawet do nabycia wydań zbiorowych pisarzy, którzy nie są znaczniejszym zasobem reprezentowani w pierwodrukach.

W dziale Tekstów polskich wyraźnie rysuje się kilka ośrodków, które skupiały zainteresowania zbieracza. Jednym z nich jest literatura końca XVIII i pierwszej połowy XIX wieku, починаjąc od *Pieśni sobie śpiewanych* Beniśławskiej (Wilno 1776), a kończąc na jedynym wydaniu zbiorowym Malczewskiego z roku 1857, czy takich samych wydaniach Brodzińskiego i Hoffmanowej z lat siedemdziesiątych. W drukach osiemnastowiecznych, które zostały najokrutniej zdziesiątkowane, znajdziemy jeszcze Bohomolca *Zabawki oratorskie* (Warszawa 1759 i 1779) i *poetyckie* (War-

szawa 1758), *Zabawki wierszem i prozą* Karpińskiego (Warszawa 1782—1787), kolejne edycje *Sielanek polskich*, kilka tomików poetyckich Marewicza, *Zbiór mniejszy poezji* (Warszawa 1782) i *Zbiór rytmów polskich* (Warszawa 1755—1756) Minasowicza i inne, wśród których zwraca uwagę jedyny zachowany egzemplarz tragedii Naruszewicza *Gwido, hrabia Blezu* (ok. 1770) i duży zbiór autorskich i anonimowych wierszy ulotnych. Książk Baka reprezentowany jest już tylko trzema wydaniem z początku XIX wieku. Z tego okresu mamy więcej rzadkich pierwodruków. Jest więc m. in. *Grénadier-Filozof* (Warszawa 1805) i *Wiersz do Legiów Polskich* (Warszawa 1805) Godebskiego, *Lejbe i Sióra* Niemcewicza z 1821 roku, Dmuszewskiego *Okopy na Pradze* (Poznań 1807) i sześć innych dramatów, dwa pierwsze wydania (Puławy 1830, Wrocław 1839) *Ziemiaństwa* Koźmiana. Z wydań zbiorowych notujemy dwunastotomowe Bogusławskiego (Warszawa 1820—1823) i dziesięciotomowe Dmuszewskiego (Wrocław 1821) czy Kicińskiego z 1840—1843 oraz kilka niezwykle dziś rzadkich wrocławskich edycji Bogumiła Korna.

Następnym ośrodkiem koncentracji starań kolekcjonerskich Jana Michalskiego byli pisarze trzecio- i czwartorzędni XIX wieku, ci, o których milczą podręczniki literatury. Takie nazwiska, jak Karol Dwidowski, Wilhelm Czechowski, Maria Gertruda Skorzevska, Marianna Stryjeńska, Władysław Strzelnicki, Karol Tetmajer (*Bayki*, Kraków 1812), Romuald Zienkiewicz, Bogumił Aspis, Hiacynt Jabłoński, możemy znaleźć tylko w bibliografiach. Sam zbieracz skromnie wspomina o tym kierunku swoich starań w następujących słowach: „Najmniej poszukiwane były utwory dramatyczne i zbiorki poezji i dlatego na rynku antykwarskim miały bardzo niską ocenę”. Efektem wytrwałego

zainteresowania tymi pogardzanymi drukami jest prawie kompletny zbiór poezji XIX wieku, zawierający nieprzebrane skarby dla badacza kultury literackiej tego okresu. Najlepsze świadectwo mógłby o tym wydać Paweł Hertz, który w dużej mierze na tekstach ze zbioru Michalskich oparł swój *Zbiór poetów polskich XIX wieku* (Warszawa 1959), wielotomową antologię przypominającą wielu pisarzy całkowicie zapomnianych albo znanych tylko specjalistom.

Zbliżoną charakterem zadań kolekcjonerskich grupę stanowiły utwory pisarzy popularnych XIX wieku. Znowż zacytujmy Jana Michalskiego:

«Gdy w latach późniejszych zainteresowałem się dawną beletrystyką polską, przekonałem się, że łatwiej w bibliotece znaleźć pierwodruki Kochanowskiego niż powieści Bogusławskiego, Boguckiego, a nawet starsze rzeczy Kraszewskiego, Zachariasiewicza i innych. Biblioteki nie gromadziły tych rzeczy, a w domach prywatnych zostały zacytane».

Mamy więc 35 powieści Zachariasiewicza, przeszło 150 Kraszewskiego (głównie w pierwodrukach), 28 Klemensa Junoszy, 5 Rautenstrauchowej, 35 wierszy ułońnych Molskiego, utwory Deotymy, Piotra Jaxy Bykowskiego i wielu innych mniej znanych. Szczególnie bogato reprezentowana jest pierwsza połowa XIX wieku. Znajdujemy tu prawie komplet powieści sentymentalnych i powieści grozy, jakie wyszły w języku polskim.

Michalski potwierdza raz jeszcze paradoks znany wszystkim zbieraczom, że o wiele łatwiej uzyskać książki wartościowe niż utwory podrzędne czy wręcz grafomańskie. Jeszcze dziś na rynku antykarycznym trafiają się pierwodruki Słowackiego czy Krasińskiego, natomiast za żadną cenę nie dostanie się — ze względu właśnie na ich niską wartość — powieści brukowych, tzw. literatury wago-

nowej, czy dzieł z najniższego rynku czytelnictwa, literatury straganowej czy inaczej literatury „drugiego rynku”. Termin ten, ukuty przez współczesnego znawcę przedmiotu, Janusza Dunina, oznacza książki, które nie trafiały na normalny rynek księgarski. Sprzedawane były na placach targowych i odpustach. Zaliczały się do nich zbiory popularnych piosenek dziadowskich, kabaretowych, należących do folkloru miejskiego i powieści, których wątki pochodzą jeszcze ze średniowiecza. One właśnie stanowią najciekawszą, choć ilościowo szczupłą grupę tekstów literackich w zbiorach Michalskiego. Starannie unikając literatury brukowej i sensacyjnej, konsekwentnie i wytrwale zbierał tzw. powieści ludowe i zbiory popularnych piosenek. Już w drukach starych znajdujemy *Historię o Magielonie* (Kraków 1739, Wilno 1783 i Wilno 1787 — ten ostatni egzemplarz notowany w *Bibliografii powieści polskiej* Jadwigi Rudnickiej jako unikat), *Historię piękną o Poncyanie* (trzy nie datowane wydania z przełomu XVII i XVIII wieku), *Historię o pięknej Meluzynie* (Kraków 1768 — 2 warianty — i Lwów 1769) itp. Te same tytuły powtarzają się w wydaniach późniejszych aż do schyłku XIX wieku. Z tego okresu mamy wiele dalszych pozycji, jak *Historia o Gryzeldzie i Margrabi Walterze* (Wadowice 1884), *Cesarz Oktawian* (Cieszyn br.), *Róża z Tenneburga* (Chełmno br.). Również kolekcję piosenek zaczynają *Piosenki i arie z różnych operów* (Warszawa 1801) oraz *Pieśni i arie nowe teatralne* (1820), a kończą różne śpiewniki z końca XIX wieku, które zresztą trafiły do działu Etnografii.

Gdy z kolei przejdziemy do tekstów dwudziestowiecznych, uderzy nas zjawisko niespodziewane w bibliotece zorientowanej — wydawałoby się — tradycyjnie, na literaturę dawną. Otóż ten na pozór

zatopiony w starych szpargałach zbieracz musiał się również odznaczać awangardowym gustem literackim. Miał nie tylko dzieła luminarzy literatury międzywojennej, jak Szaniawski, Kaden-Bandrowski, Goetel, Iłakowiczówna, Strug, twórców popularnych i uznanych, jak Wołoszynowski, Wielopolska, Zegadłowicz czy skamandryci, ale również utwory pisarzy młodych, początkujących, uczestników prądów awangardowych. Są więc *Arkusze poetyckie* Przybosia, Sebyły i Ożoga oraz inne utwory tych pisarzy, książki Czyżewskiego, Standego, Sterna, Jasińskiego, Wata, Peipera, Ważyka, powieści Schulza i Witkacego. I tu znów dała znać o sobie predylekcja do obiektów trudno dostępnych. Wśród pierwodruków Tuwima znajdziemy ów słynny niecenzuralny wiersz wydany potajemnie w 30 egzemplarzach, Zegadłowicz, który przeszło połowę swojej produkcji literackiej wydał w edycjach bibliofilskich, reprezentowany jest przez 28 pozycji.

Ostatnia wreszcie w chronologii grupa tekstów literackich to zbiorki i antologie konspiracyjne. Grupa z natury rzeczy nieliczna, daje jednak świadectwo niestrudzonej pasji zbieracza, który w najcięższych czasach pozostawał wierny swojemu powołaniu.

Przekłady z literatur obcych to w przeważającej mierze pierwsze wydania. Są i późniejsze edycje klasyków światowych, ale główna część zbioru zamyka się na połowie XIX wieku. Podobnie jak w tekstach polskich przeważają powieści, a więc w owych czasach literatura niższego lotu. Mamy więc z druków starych Fieldinga *Podrzutek, czyli historia Tom-Dżonsa* (Warszawa 1793), Le Sage'a *Awanturę Idziego Blasa* (Lipsk 1769—1770), *Przypadki Robinsona Kruzoe* (Warszawa 1769, Lwów 1774), *Prawidła i uwagi moralne* La Roche- 191

foucaulda (Częstochowa 1788), Prévosta *Historię o kawalerze Desgrye y o Manonie Lesko* (Lipsk 1769) i kilka wydanych anonimowo powiastek Voltaire'a a wśród nich *Dobrego Bramina* (Lublin 1781), którego — według Estreichera — cały nakład skonfiskowała władza duchowna, nie pozostawiając nawet egzemplarza tłumaczowi. (Informacja Estreichera nie była chyba zupełnie ścisła, albo też Biblioteka IBL miała wyjątkowe szczęście, gdyż do niedawna w jej zbiorach znajdowały się trzy egzemplarze tego druku, z których jeden w 1972 roku przekazano Bibliotece Jagiellońskiej). O wiele większe bogactwo znajdziemy w książkach dziewiętnastowiecznych. Są np. trzy z pięciu powieści Balzaka przełożonych za jego życia, dwie z trzech margrabiego d'Arlincourt, cztery Coopera i wielka mnogość innych przekładów. Zacytujmy kilka malowniczych tytułów z tego zbioru: *Kartusz, sławny bandyta we Francyi, Iego życie występne i przypadki* (Warszawa 1823), *Kokietka, czyli przypadki Irysy. Powieść moralna* (Warszawa 1803), *Paweł i Marya, kochankowie, jakich mało* (Warszawa 1805). Osobną grupę stanowi „dochodzący do kompletu” — jak pisał Michalski w przygotowanej po wojnie charakterystyce swojej kolekcji — zbiór tłumaczeń z literatury greckiej i rzymskiej.

Opracowania literackie składają się z przeszło 1000 książek i 2300 broszur, tj. odbitek oraz artykułów wyciętych z czasopism dziewiętnastowiecznych, zbioru cennego w sytuacji, kiedy ciągle brakuje pełnej bibliografii zawartości literackiej tych czasopism. Na wstępie trzeba wymienić *O wymowie i stylu* Stanisława Potockiego i inne poetyki klasyczne. Z tego okresu znów zacytujemy dwie pozycje charakterystyczne dla zmiany orientacji literackiej dokonującej się na początku XIX wieku. Są to: Jan Samuel Kaulfuss, *Dlaczego język*

i literatura niemiecka zdolniejszymi są do ukształcenia rozumu i serca niż język i literatura francuska (Poznań 1817) i pierwsza polskim piśmiennictwie *Wiadomość charakterystyczna o życiu i piśmach pani baronowej Holstein de Staël* Ignacego Skarbka Kiełczewskiego (Warszawa 1819). Główny jednak blok to oczywiście opracowania z drugiej połowy XIX i z XX wieku. Tu zwraca uwagę obok klasyków polskiej nauki o literaturze, Chmielowskich, Grabowskich, Gubrynowiczów i Kallenbachów, pełna reprezentacja nowszej nauki i krytyki. Jest więc Adamczewski, Borowy, Fik, Irzykowski, Mikulski, Siedlecki, Weintraub, pierwodruk *Das literarische Kunstwerk* Ingardena (Halle 1931), a nawet głośny Zbyszewski. O kompletności tego działu niech świadczy fakt, że na 92 podręczniki literatury polskiej, które *Bibliografia literatury polskiej „Nowy Korbut”* notuje między 1800 a 1939 rokiem, u Michalskiego brak tylko piętnastu. Również w opracowaniach literatur obcych znajdziemy „niemal wszystko”, co wydano w języku polskim. Choć w zasadzie Michalski nie wychodził poza polonika, znajdziemy także takie pozycje jak czterotomowe *Sobranie sozczinienij* Wiesiełowskiego (Sankt Pietierburg 1913) oraz 14 dzieł pojedynczych tego autora, Dibeliusa *Englische Romankunst* (Berlin 1910) i Konstantina Czechowycza *Oleksander Potebnja*, ukrajinskyj myśłytel-linkwist, Warszawa 1931.

Z działów monograficznych mickiewicza na poniosły najcięższe straty. Brak w ogóle wydań za życia poety. Za to znajdziemy tam wiele najwcześniejszych wzmianek, opracowań i artykułów, jak np. wycinek z „Moskowskiego Tielegrafa” z 1828 roku, Dmochowskiego *Odpowiedź*, artykuł w *Galerie des contemporains illustrées*, Paris 1841, Paumanna *Adam Mickiewicz. Eine biographische* 193

Exlibris



Caśim. Piekarski

15. Ekslibris K. Piekarskiego.
Proj. Stanisław Jakubowski
(Oss. I. ex. 4041)

Skizze, Leipzig 1857, książki o Mickiewiczu Dubrowskiego (Sankt-Pietierburg 1858), Fontille'a (Paryż 1862) i oczywiście pierwszą polską biografię pióra Karola Estreichera z 1863 roku. Z rzadkich druków można odnotować Munchheimera *Mazepę* (Warszawa 1899), włoskie wydania Towiańskiego z początku XX wieku, czy *Pagine de educazione christiana* Falkowskiego (Torino 1906). I tu mamy duży zbiór broszur i ulotek, jak np. *Zawiadomienie o nabożeństwie żałobnym* w Paryżu w pierwszą rocznicę śmierci, czy *Wezwanie do składek* od Komitetu Budowy Pomnika Mickiewicza w Warsza-

wie. Dodajmy, że nie mogło w tej kolekcji zabraknąć *Kucharza doskonałego* Wojciecha Wielądki (Warszawa 1783 i 1786).

Miriamowskie edycje zbiorowe Norwida nie zachowały się wprawdzie w komplecie, ale za to z piętnastu osobnych publikacji wydanych za życia poety w Fundacji brak tylko czterech. Są oczywiście późniejsze przedruki i komplet opracowań począwszy od Krehowieckiego *O Cyprianie Norwidzie* (Lwów 1909). Nieco tylko mniej korzystne proporcje panują w pozostałych działach monograficznych.

Na zakończenie omawiania polonistycznej części księgozbioru warto wspomnieć o *Słownikach*. Znajdziemy tu poza wszystkimi podstawowymi dziełami leksykograficznymi (które rozpoczyna *Prospekt słownika* Lindego z 1804 roku) wiele dzieł o węższym zakresie, jak *Estreichera Szwargot więzienny* (Kraków 1903), czy *Kremera Słowniczek prowincjonalizmów podolskich* (Kraków 1870).

Dział *Historii*, podobnie jak kilka następujących, pomyślany był najpewniej jako zbiór pomocniczy. Zawiera prawie wszystkie podstawowe dzieła z dziejów Polski, jak np. *Historia demokracji polskiej* Limanowskiego (Zurych 1901, Warszawa 1922—1927), wydania zbiorowe historyków szkoły krakowskiej, Kalinki, Szujskiego, Bobrzyńskiego, historię dziewiętnastowiecznej Rosji Kucharzewskiego, metodologiczne prace Handelsmana, czy z dawniejszych Żegoty Paulego *Żywoty hetmanów* (Lwów 1850) albo Lelewela *Polska wieków średnich* (Poznań 1851—1859) oraz *Polska, dzieje i rzeczy jej* (Poznań 1855—1868). Z zagadnień szczegółowych szerzej potraktowane jest wolnomularstwo. Znajdziemy tu szereg monografii Małachowskiego-Lempickiego i tylko nieliczne druki wolnomular-

skie z końca XVIII i początku XIX wieku zachowane z dawnej bogatej kolekcji.

Również Filozofia obejmuje dzieła podstawowe: bardzo obszerny zbiór filozofów polskich — Abramowski, Brzozowski, Cieszkowski, Hoene-Wroński, Kremer, Libelt i in. — i przekłady filozofów obcych, wśród których znajduje się 12 pierwszych polskich wydań Nietzschego, Freuda *O psychoanalizie* (Lwów 1911), dzieła Williama Jamesa, Sorela i Znanieckiego.

Podobny charakter ma *Językoznawstwo*, dział *Teatraliów* — zawierający historię teatru i dramatu (m.in. sześciotomowy *Dictionnaire des théâtres de Paris*, 1756), monografie aktorów, zbiory recenzji — oraz dział *Sztuki*, gdzie znajdziemy poza dziełami podstawowymi (m.in. słowniki malarzy i grafików Rastawieckiego, *Podrobnyj słowar' russkich grawirowannyh portretow* Rowińskiego, Sankt Pietierburg 1886—1889), ponad 200 katalogów wystaw i tyleż albumów. Zbiór ten koresponduje z kolekcją ikonograficzną Michalskiego.

Wartość samoistnego zbioru ma natomiast blisko dwutysięczny dział *Pamiętników*. Są tu również opisy podróży (Sieroszewskiego, Jodki-Narkiewicza, Lepeckiego, Makarczyka) i reportaże historyczne Hołówki, Daniłowskiego, Radka, opisy epizodów pierwszej wojny a także zbiory korespondencji. W sumie stanowi jedną z większych kolekcji z tej dziedziny.

Również *Bibliologia* była zamierzona bardzo obszernie. Znajdowały się tu wszystkie podstawowe bibliografie ogólne i specjalistyczne, katalogi bibliotek, księgarni, katalogi antykwaryczne i aukcyjne z XIX i początku XX wieku, bibliografie zawartości czasopism, monografie bibliotek, dzieła z historii bibliotek, drukarstwa i cenzury i wreszcie podręczniki bibliotekarstwa. Niestety

i tutaj najcenniejsze rzeczy — w tym prawie wszystkie wydane przed 1800 rokiem — uległy rozproszeniu.

Dwa następne działy, *Sprawa włościańska* i *Kwestia kobieca*, zbliżają się — jak pisał Jan Michalski — do „zupełności”. Przeważają tu książki z drugiej połowy XIX wieku, ale są także wcześniejsze opowieści i wskazówki moralne dla panien oraz takie dzieła, jak *Rys instrykcji porządku fizycznego dla ludu* z 1816 roku.

Etnografia zawiera niemal komplet zbiorów polskich tekstów ludowych (np. prawie wszystkie dzieła Kolberga, zbiory przysłów Wóycickiego i Adalberga, *Lud białoruski* Federowskiego, Kraków 1897, *Źródła do mytologii litewskiej* Mierzyńskiego, Warszawa 1892), kolekcję książek krajoznawczych (np. 12 przewodników Orłowicza, 7 monografii dekanatów Wiśniewskiego), a także prace teoretyków dostępne w języku polskim jak B. E. Tylora *Antropologia* (Warszawa 1899) i *Cywilizacja pierwotna* (Warszawa 1896—1898) albo Bronisława Malinowskiego *Wierzenia pierwotne* (Kraków 1915).

Również *Historia oświaty* kompletowana była jako dział samoistny, co nie dziwi u wieloletniego pedagoga. Znajdziemy tam oczywiście dzieła podstawowe, jak historia Uniwersytetu Warszawskiego (Warszawa 1907—1912) i Wileńskiego (Kraków 1899—1900) Józefa Bielińskiego, *Dzieje Akademii Zamoyskiej* (Kraków 1899—1900) Kochanowskiego, Łukaszewicza *Historia szkół w Koronie i w Wielkim Księstwie Litewskim* (Poznań 1849—1851), nie mówiąc o *Historii wychowania* Stanisława Kota (Lwów 1934), książki wybitnych pedagogów, a także wielką ilość druków z początku XIX wieku, jak statuty i regulaminy szkół, mowy krzemienieckie Czackiego i Osieńskiego, przepisy dla uczniów (Kopczyński, *Prawidła przystoyności i oby-* 197

czajności oraz prawa uczniów, Krzemieniec 1819) oraz Popisy publiczne i Akty uroczyste na zakończenie „rocznego biegu nauk”. Jako ciekawostkę można wymienić tajną ulotkę z 1905 roku pt. *Lista osób skazanych na infamię i bojkot towarzyski i fachowy za złamanie strajku szkolnego*.

Z powodu pewnej egzotyczności tematu niesłychanie interesujące materiały zawiera kolekcja judaików. Są tam przede wszystkim dzieła historyczne i opisowe, jak Flawiusza *Starożytności żydowskich* xiąg XX (Warszawa 1829), Bersohna *Słownik biograficzny uczonych Żydów polskich* (Warszawa 1905), kilkanaście książek Bałabana, *Dokumenty i rejestry k istorii litowskich Jewrejew* (Sankt Pietierburg 1882), Hirschhorna *Historia Żydów w Polsce* (Warszawa 1921), Kraushara *Frank i frankiści polscy* (Kraków 1895), Lilienthalowej *Święta żydowskie* (Kraków 1908—1919), Goldszmita *Wizerunki wstawionych Żydów* (Warszawa 1867) czy Szapiry *Etyka judaizmu* (Warszawa 1927). Następnie mamy zbiór publikacji antysemitycznych, np. *Chrześcijańska obrona kraju* (Warszawa 1932), *Żydzi panami świata* (Warszawa 1910), cztery wydania słynnych protokółów mędrców Syjonu, książki Jana Jeleńskiego, Teodora Jeske-Choińskiego, m.in. *Neofici polscy* (Warszawa 1904), Kazimierza Laskowskiego i ks. Trzeciaka. Przeciwnie stanowisko reprezentują m.in. broszury Ludwika Lublinera wydawane w Brukseli w latach 1839—1859, Macieja Menaszesa *Żydzi a sprawa polska* (Lwów 1913), Marchlewskiego *Antysemityzm a robotnicy* (Warszawa 1920), Zewi Parnassa *Kwestia żydowska w świetle nauki* (Lwów 1921) oraz dzieła ideologów syjonizmu, Herzla i Pinskera. Z dawniejszych publikacji znajdujemy np. *Documenta 198 Judaeos in Polonia concernentia* (Varsaviae 1767),

Traktat Samuela Rabina błąd żydowski pokazujący (Wilno 1705), *Dobry Żydek* (Warszawa 1790), *Złość żydowska* (Lublin 1774) i wiele broszur z początku XIX wieku o „urządzeniu Żydów” (m. in. autorstwa Czackiego, Wincentego Krasińskiego, Waleriana Łukasińskiego). Trzeba wreszcie wspomnieć o pisarzach żydowskich, jak Henryk Adler, Jakub Appenzlak, Izaak Singer, Józef Opatoszu, Szolom Asz, Meyersonowa, Bernstein, Kacnelson, i o zbiorach popularnych szmoncesów, np. *Icek Popycek* (Warszawa br.), zbiory opowieści Adolfa Kitschmana, H. Lew *Żydowski humor* (Warszawa 1898), *Elementarz żydowski humorystyczny* (Warszawa br.).

Trudno z jakąś ścisłością wypowiadać się o zbiorze *Czasopism*, ponieważ nie posiadał on nigdy odrębnego katalogu. Z przełomu XVIII i XIX wieku można wymienić następujące tytuły kompletne lub prawie kompletne: „Monitor Różnych Ciekawości”, „Pamiętnik Polityczny i Historyczny”, „Polak Patryota”, „Zabawy Obywatelskie” i „Zbiór Różnego Rodzaju Wiadomości”. Czasy przedlistopadowe reprezentuje między innymi „Pamiętnik Warszawski”, „Dziennik Warszawski”, „Orzeł Biały”, „Wiadomości Brukowe”, „Astrea”, „Lech”, „Dziedzilia”, „Biblioteka Polska”. Największą jednak wartość ma zbiór noworoczników, któremu według Chwalewika (*Zbiory polskie*, Warszawa 1927) do kompletności brakowało tylko trzech pozycji. Późniejsze czasopisma obejmują prawie wszystkie tytuły interesujące badaczy literatury — „Biblioteka Warszawska”, „Przegląd Polski”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Kłosa”, „Niwa” i wiele innych.

Zbiór paruset rękopisów to przede wszystkim opasłe *Silvae rerum* — zbiory utworów politycznych i literackich z XVIII i XIX wieku, następnie katalogi bibliotek publicznych i prywatnych, sztambuchy, autografy większych utworów

kilkunastu autorów oraz kilkuset pisarzy reprezentowanych przez drobne fragmenty. Mamy tu także rozpowszechniane w kraju w XIX wieku przez „samoobsługowe wydawnictwa” odpisy *Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa*, *Dziadów*, *Konrada Wallenroda* i *Anhellego* oraz korespondencję Jana Michalskiego z wydawcami i ludźmi pióra.

Poza granice niniejszego przeglądu wykracza ogromny (ponad trzydziestotysięczny) zbiór ikonografii (w technikach szlachtetnych i poligraficznych) zawierający podobizny pisarzy, uczonych i innych wybitnych postaci polskich i obcych, widoki miejscowości związanych z pisarzami i ich twórczością, budynki, zabytki i krajobrazy z kresów, ilustracje do utworów literackich, reprodukcje dzieł sztuki i typy ludowe.

Na koniec warto poczynić kilka uwag o metodzie zbierackiej Jana Michalskiego, którą można odczytać z księgozbioru. Nie chodzi tu o jego kulturę literacką, ogromną erudycję, głęboką znajomość wszelkich zagadnień związanych z książką ani pewnego rodzaju rzutkość i intuicję poszukiwawczą, którą się dyskretnie chełpi w swoich wspomnieniach. O wartości księgozbioru naukowego nie stanowi ilość cimeliów ani różnorodność, „bogactwo”, ale konsekwencja i kompletność. Wiele bibliotek prywatnych i publicznych ponosi szkody z powodu dążności do gromadzenia książek „pięknych”, „ciekawych”, „wartościowych”, czy po prostu dostępnych, co tworzy w efekcie zbiór przypadkowy, podobny charakterem do antykwariatu. Otóż Michalski umiał powściągnąć różnorodne zainteresowania, zwykle u każdego wykształconego człowieka, nie dał się zwieść na manowce bibliofilstwa i narzucił sobie dyscyplinę. Przez wiele lat wytrwale koncentrował się na wybranych dziedzi-

Indeks nazwisk

- Abramowicz Mariusz 135—6
Abramowski Edward 196
Adalberg Samuel 197
Adamczewski Stanisław 193
Adler Henryk 199
Ajdler 45
Anastasiewicz Wasilij Gri-
goriewicz 57, 72
Appenzlak Jakub 199
Arct Michał 64
Arkuszewski 66
d'Arlincourt 192
Aspis Bogumił 188
Asz Szolom 199
- Babecki Joachim 52, 59
Baculewski Jan 176
Badecki Karol 171
Badek Antoni 155
Bagiński 57
Bain Alexander 50
Baka Józef, ks. 188
Balzac Honoré de 192
Bandrowski Kaden Juliusz
191
Baudoin de Courtenay Jan
'19
Baumkoler Dawid 35
Baumkoler Noach 35-6
Baumkoler, starszy syn Da-
wida 35
Baumkoler, syn Noacha 36
Baumkolerowie 13
- Bądkowski Zagłoba 54, 116
Benisławska Konstancja 187
Bentkowski Feliks 130
Berent Waclaw 119
Bernstein 199
Bersohn Mathias 198
Białopiotrowiczowa Kune-
gunda 100
Bielikowicz Antoni, ks. 50
Bieliński Józef 197
Birkowski Fabian 68
Bisier zob. Soubise Bisier
Bobrzyński Michał 195
Bogucki Józef Symeon 141,
189
Bogusławski Edward 141, 189
Bogusławski Wojciech 188
Bohomolec Franciszek 187
Bolcewicz Bronisław 116
Bona, królowa polska 97
Borkowski Maksymilian 111
—2, 139
Borowy Waclaw XV-XVIII,
160, 165, 193
Braun Dawid 150
Brodziński Kazimierz 187
Brojdo 29—30
Bronikowski Aleksander 3
Bruchnalski Wilhelm 81
Brückner Aleksander 81, 103
Brzozowski Stanisław XI, 196
Budagowski Włodzimierz 132
Budzyk Kazimierz 179

- Bykowski Jaxa Piotr 189
 Byron George Gordon 50
 Calderon de la Barca Pedro
 50
 Celiński Antoni Mysław 21,
 68, 72
 Cezar (Caius Julius Caesar)
 42
 Chełmoński Józef 26
 Chmielowski Piotr XI, 41, 81,
 171, 193
 Chrzanowski Ignacy X, 19,
 30, 114, 171—2
 Chwalewik Edward 55, 139,
 183, 199
 Chociszewski Józef 112
 Cieszkowski August 196
 Cooper James Fenimore 2,
 192
 Cubrzyńska Maria 182
 Cwietkowskij 93
 Cybulski Adam 65
 Cyncero (Marcus Tullius Ci-
 cero) 42
 Cytryn 45
 Czacki Piotr 183
 Czacki Teodor 32—3, 197, 199
 Czapiński Euzebiusz Wiktor
 55
 Czechowicz Konstantin 193
 Czechowski Wilhelm 188
 Czekanowski Jan 82
 Czyżewski Tytus 191
 Daniłowski Gustaw 196
 Dante Alighieri 22
 Dantyszek Jan 22
 Darwin Charles 50
 Dąbrowski Konstanty Lud-
 wik X, 89
 Decjusz Jodok Ludwik 68
 Defoe Daniel 191
 Dehmel 57
 Delacroix J. 198
 Dembowski 31
 Demby Stefan 117, 126—9, 143
 Deotyma (właśc. Łuszczewska
 Jadwiga) 189
 Dernałowicz Zofia 181
 Dibelius Wilhelm 193
 Dickens Charles 50
 Dickstein Samuel 114
 Dmochowski Franciszek Sa-
 lezy 193
 Dmuszewski Ludwik 188
 Drège Józef XIX, 37, 99—101,
 106, 121, 169
 Drogoszewski Aureli 122—3
 Dubrowski Piotr Pawłowicz
 2, 194
 Dumas Alexandre, ojciec 2
 Dwidowski Karol 188
 Dygasiński Adolf 3, 152—3
 Dzierzkowski Józef 50
 Dzierżanowski 53
 Englert 52
 Estreicher Karol 100, 3, 149,
 192, 194—5
 Federowski Michał 54, 115—
 118, 142
 Fielding Henry 191
 Fik Ignacy 193
 Fiszler Bernard 41—42
 Fiszler Kelman „Mączarz”
 13, 38, 41, 48
 Fiszlerowa ur. Kleinsinger 13
 Flawiusz Józef 198
 Fontille Edmond 194
 France Anatol 168
 Fredro Aleksander 50
 Fredro Andrzej Maksymilian
 22
 Freud Sigmund 196
 Friedlein Józef 118
 Funkelstein 8
 Fruchtman 45

- Galsworthy John 170
 Gierymski Aleksander 26
 Gierymski Maksymilian 26
 Gieysztor Jakub 51—2, 107,
 139
 Godebski Cyprian 7, 188
 Goetel Ferdynand 191
 Goethe Johann Wolfgang 50
 Gold 9
 Goldszmit Józef 198
 Gołaszewski, ks. 72
 Gomulicki Juliusz Wiktor
 105, 146, 163, 165, 184
 Gomulicki Wiktor 22, 54, 68,
 72, 103—6, 115, 140, 168
 Gotfried 8
 Górski Wojciech XII
 Grabowski Bronisław 57, 72
 Grabowski Tadeusz 193
 Gröll Karol Michał 92
 Grund Dawid 65
 Gubrynowicz Bronisław 98,
 193
 Gutnajer Abe 25—6
 Gutry Czesław 154
- Handelsman Marceli 195
 Hermanstat 28
 Hermastatowa 28
 Hermanstatówna 29
 Hertz Paweł 189
 Herzel Teodor 198
 Hiller Bolesław 72, 76, 112—
 —3
 Himelblauowie 60
 Hiż Tadeusz 64—6, 85—6
 Hoelzel 65
 Hoene Wroński Józef 196
 Hoesick Ferdynand 64
 Hoffmanowa z Tańskich Kle-
 mentyna 3, 187
 Hołówko Tadeusz 196
 Homer 50
 Hübner Zygmunt 176
- Ibsen Henrik 50, 127
 Idzikowski Władysław 64
 Igel Zygmunt 60, 65
 Iłakowiczówna Kazimiera
 191
 Ingarden Roman 193
 Irzykowski Karol 193
- Jabłonko Jakub 38, 67
 Jabłoński Hiacynt 188
 James William 196
 Janicki Klemens 22
 Jasiński Bruno 191
 Janocki Jan Daniel (właśc.
 J.D. Jaenisch) 42, 150
 Januszewscy 84
 Jeleński Jan 198
 Jeske-Choiński Teodor 56,
 141, 198
 Jezierski Wacław 121, 123
 Jeż Teodor Tomasz (właśc.
 Miłkowski Zygmunt) 3, 50
 Jocher Adam 130
 Jodko Narkiewicz Konstanty
 196
 Jolowicz Albert 65, 160
 Jonasz H. 13, 45
 Junosza Klemens (właśc. Sza-
 niański Klemens) 189
 Jurgielewicz Mieczysław 160
 Jurgielewiczowa Irena 160
- Kacnelson I. 199
 Kaczkowski Zygmunt 3
 Kalinka Walerian 195
 Kallenbach Józef 193
 Karłowicz Jan 82, 103, 115
 Karpiński Franciszek 188
 Karpiński Jan 59
 Kaszewski Kazimierz 82
 Kaulfuss Jan Samuel 193
 Kętrzyński Stanisław 55
 Kiciński Bruno 188
 Kielczewski 193
 Kinkulkin Szłoma 27

- Kitschman Adolf 199
 Kleinsinger A.H. 37, 42
 Kleinsinger Aron 40, 69
 Kleinsinger „Nafciarz” 39—40
 Kleinsinger Rubin (Rywe) 38—9
 Kleinsinger, syn Rubina 39
 Kleinsingerowie 13
 Klepfisz 28
 Klonowic Sebastian 58
 Kobielski Stanisław 175
 Kochanowski Jan 3, 51, 58, 68, 70, 141, 189
 Kochanowski Jan Karol 197
 Kolberg Oskar 197
 Kondratowicz Ludwik (Syrakomla Władysław) 3
 Konopczyński Emilian 136
 Kopczyński Onufry 197—8
 Korbut Gabriel 19, 30, 101—3, 114, 172, 182
 Korbut Juliusz 102—3
 Korn Bogumił 188
 Korotyński Brunon 111
 Korotyński Ludwik X, 110—111
 Korotyński Wincenty 110
 Korotyński Władysław 110
 Korzeniowski Józef 50, 127
 Korzon Tadeusz 50, 95
 Kostenicz Ksenia 179
 Kościelski Władysław 59
 Kot Stanisław 197
 Kotarska Anna 182
 Kowalewski 144
 Kozłowski Stanisław, ks. 1
 Koźmian Kajetan 188
 Krasicki Ignacy XVII, 64
 Krasieńska z Badenich Wanda 121
 Krasieński Adam 121
 Krasieński Edward 121—2
 Krasieński Wincenty 199
 Krasieński Zygmunt 92, 155, 185, 189
 Kraszewski Józef Ignacy 3, 50, 135, 141, 189
 Kraushar Aleksander 198
 Krechowicki Adam 195
 Kremer Aleksander 195
 Kremer Józef 196
 Kryński Adam Antoni 19, 114—115
 Kucharski Jan 147
 Kucharzewski Jan 195
 Kumat 97
 Kuzniecowa 66
 Kwietniewski Jan 120
 Kwir Feliks 75
 Lafayette Marc Joseph 128
 Lancholc Teresa 182
 Lange Antoni 119
 Lange Friedrich Albert 50
 La Rochefoucauld François 191—2
 Laskowski Kazimierz 198
 Laskowski, szklarz, bibliofil 140
 Lasocki Wacław 83
 Legicki Marian 135
 Leitgeber Jarosław 65
 Lelewel Joachim 50, 195
 Lenartowicz Teofil 3
 Leopolda Jan 68
 Lepecki Mieczysław Bohdan 196
 Lesage Alain René 191
 Lew H. 199
 Lewental Franciszek Salezy (Salomon) 41, 50
 Lewestam Ludomir 136
 Libelt Karol 196
 Lilientalowa Regina 198
 Limanowski Bolesław 195
 Linde Samuel Bogumił 32—3, 103, 195
 Lorentowicz Jan 124
 Lorentz Stanisław 184
 Lubieniecki Andrzej 150

- Lubliner Ludwik 198
 Lubomirski Stanisław Herakliusz 56
- Łazarski Zygmunt 125—6
 Łopaciński Hieronim X
 Łukasiński Walerian 199
 Łukaszewicz Józef 42, 197
- Macaulay Tomasz Babington 50
 Maciejowski Wacław 72
 Maciesza Aleksander Bolesław 87
 Makarczyk Janusz 196
 Makowiecka Zofia 179
 Malczewski Antoni 187
 Malinowski Bronisław 197
 Maliszewski Edward 123—4
 Małachowski-Lempicki Stanisław 195
 Małecki zob. Paxillus A.
 Marchlewski Julian 198
 Marewicz Wincenty 188
 Maszadro 57
 Menaszkes Maciej 198
 Meyersonowa Malwina 199
 Méyet Leopold 84—5, 171
 Męczkowski Wacław 109
 Michalska Jadwiga XIII, 159—160, 163—4, 176, 183
 Michalska Maria z Symonowiczów 3
 Michalski Jerzy 159, 160, 162—4, 176, 179
- Mickiewicz Adam 3, 4, 12, 27, 45, 50—1, 72, 75, 84—5, 117, 128, 135, 146, 150—1, 155, 170, 175, 177, 184—5, 193—5
 Miechowita Maciej 68
 Mieczysławski Sebastian 69
 Mierzyński Antoni 197
 Mikłosić Franz 19
 Mikulska Zofia 157, 160
- Mikulski Tadeusz 157, 160—175, 193
 Milewski Korwin Ignacy Karol 26
 Miller F. „Bocian” 28, 34—5
 Millerowie 13
 Minasowicz Józef 188
 Mocarski Zygmunt 126
 Molski Marcin 189
 Mommsen Theodor 50
 Moycho K. 57, 72
 Munchheimer Adam 194
 Muszkowski Jan 175
- Nałkowska Zofia 127
 Naruszewicz Adam 188
 Nasierowski 4
 Nawrocki Władysław 120
 Nehring Władysław 81, 160
 Nepros Edward 72
 Niedzielski, ks. 30
 Niedźwiedzki Władysław 82
 Niemcewicz Julian Ursyn 3, 188
 Niemirowski Adam Aleksander 68, 72
 Nietzsche Friedrich 196
 Norwid Cyprian 12, 116, 118, 143, 150, 155, 170, 185, 195
 „Nosek”, bibliofil 140—1
 Ojrzyński Antoni 132
 Olizarowski Antoni Aleksander 22
 Opatoszu Józef 199
 Oppman Artur (Or—ot) 109—10
 Orda Napoleon 50
 Orgelbrand Hipolit 64
 Orłowicz Mieczysław 197
 Orzechowski Stanisław 22
 Osiński 197
 Ostrowski Juliusz 59, 111
 Ostrowski Stanisław, benedyktyn 111
 Ożóg Jan 191

- Parnass Zewi 198
 Patrzykąt 54
 Pauli Żegota 195
 Paumann Jan 194
 Pawiński Adolf 8, 50, 72
 Paxillus Adam z Brzeska 70
 Peiper Tadeusz 191
 Piekarski Kazimierz XIX, 55,
 80, 128—30, 169
 Pinsker Leo 198
 Pleśniewicz Andrzej 136—7
 Pliniusz Starszy (Caius Plinius Secundus) 88
 Pol Wincenty 3, 50
 Pontanus Jacobus 192
 Potiebnia Oleksander 193
 Potocki Stanisław Kostka 192
 Poznański Samuel 131
 Prévost d'Exiles Antoine 192
 Prus Bolesław (właśc. Głowacki Aleksander) XI
 Przepiórka Dawid 133—5
 Przesmycki Zenon (Miriam) 118, 143, 173
 Przeworski Jakub 13, 42—4, 50, 76—7, 113, 140
 Przeworski Marek 44
 Przedziecki, ks. 33
 Przyborowski Józef 57, 68, 72
 Przyborowski Walery 72, 103
 Przyboś Julian 191
 Przybyszewski Stanisław 127
 Puttkamerowa Maryla z Wereszczaków 117

 Radek Karol (właśc. Sobelson Karol) 196
 Radziwiłł Bogusław 3
 Rastawiecki Edward 196
 Rautenstrauchowa Łucja z Giedroyciów 189
 Reid Thomas Meyne (Mayne Reid) 2
 Rej Mikołaj 68, 99
 Reklewski Wincenty 105

 Rembowski Aleksander 72, 85—6, 171
 Reychman Kazimierz 56—7, 72, 124—5, 139
 Rodziewiczówna Maria 3
 Rosenwein, antykwariusz na Marszałkowskiej w pobliżu Świętokrzyskiej 8, 30, 83
 Rosenwein Chaim 30, 33
 Rosenwein, syn Chaima 33
 Rosenwein „Głupi”, syn Chaima 33
 Rosenweinowie 13
 Rosnowska Janina 182
 Rowinski Dimitrij Aleksandrowicz 196
 Rubinstein Abram 23
 Rubinstein, antykwariusz wędrowny 23
 Rubinstein, antykwariusz z ul. Elektoralnej 23
 Rubinstein, brat Szymona 22
 Rubinstein „Rudy” 24
 Rubinstein Szymon 4, 8, 21, 81, 166
 Rubinstein „Ząbał” 24
 Rubinsteinowie 13
 Rudnicka Jadwiga 190
 Rulikowski Mieczysław 76—7
 Rustem Jan 26
 Ruśkiewicz Stanisław 132
 Rutska Halina 11, 86
 Rydel Lucjan 94
 Rygiel Stefan 136—7
 Rzewuski Henryk 3

 Salcstein Estera 25
 Salcstein Fajwel 27
 Salcstein „Ganew” 24
 Salcstein Gecel 14
 Salcstein, syn „Ganewa” 25
 Salcstein, wnuk „Ganewa” 25
 Salcsteinowie 13
 Sarbiewski Maciej 92

- Schulz Bruno 191
 Scott Walter 2
 Sebyła Władysław 191
 Siedlecki Michał 193
 Sienkiewicz Henryk 3, 12, 128,
 151
 Siennicki Stanisław 139
 Sieradzki Ignacy 176—201
 Sieroszewski Wacław 196
 Simon Ludwik 136
 Singer Izaak 199
 Skarbek Ignacy 193
 Skarga Piotr 58, 68, 140
 Skorzeńska Maria Gertruda
 188
 Słonimski Stanisław 88
 Słowacki Juliusz 4, 12, 27,
 50, 84, 150—1, 155, 170, 177,
 185, 189
 Smoleński Władysław 30, 85
 —6, 171
 Sobolewski Ludwik 130
 Sofokles 50
 Sokołowski, kierownik księg.
 Arcta 144
 Sorel Georges 196
 Soubise-Bisier Gustaw 53, 59,
 142
 Spencer Herbert 50
 de Stael Holstein Anne Loui-
 se 193
 Stande Stanisław Ryszard 191
 Starowolski Szymon 68, 150
 Staszewska Maria 182
 Staszic Stanisław 140
 Stefański Kazimierz 113—14
 Stern Anatol 191
 Stolarz z ul. Książęcej, bib-
 liofil 140
 Stronczyński Kazimierz 32
 Strug Andrzej (właśc. Gałec-
 ki Tadeusz) 191
 Struve Henryk XI
 Stryjeńska Marianna 188
 Strzelnicki Władysław 188
 Sue Eugène 2
 Sumiński Stanisław 136
 Synoradzki Michał 132
 Syrokomla Władysław (właśc.
 Kondratowicz Ludwik) 3,
 27, 110, 171
 Szaniawski Jerzy 191
 Szaniawski, ks. 72
 Szapiro Ł. 198
 Szekspir (Shakespeare) Wil-
 liam 18, 51
 Szenhak 134
 Sztembok 60
 Szujski Józef 195
 Szymonowicz Szymon 58
 Ślizniowa Zofia 117
 Świdzki Leopold 22, 83
 Świdziński Konstanty 32
 Świerkowski Ksawery 146—
 7, 167, 175, 183
 Świętochowski Aleksander
 128
 Tefetowie 60
 Taine Hippolyte 50
 Tański Ignacy 7
 Teodoridi 65—6
 Tetmajer Karol 188
 Tetmajer Kazimierz 120
 Towiański Andrzej 194
 Trepieński Antoni 144, 146
 Trzeciak Stanisław, ks. 198
 Trzynadłowski Jan VII—XIV
 Tuleja Józef 61
 Tułaczowa Maria 182
 Turkuł Andrzej 64
 Turowski Kazimierz 4, 21—
 22, 166
 Tuwim Julian 72, 191
 Twardowski Samuel 22
 Tylor Edward Burnett 197
 Tymieniecki Konstanty 7
 Tyszkiewicz Józef 116
 Tyszkiewiczowa Irena 116

- Ulrich Chrystian 100
 Ulrich Gustaw 99
 Ungler Florian 80
 Uzdowski X

 Verne Jules 2
 Voltaire (właśc. François Marie Arouet) 192

 Wańkowicz Walenty 146
 Wat Aleksander 191
 Wawelberg 72
 Wawrzeński Marian 97
 Ważyk Adam 191
 Weintraub Wiktor 193
 Weintrob 45
 Wende Edward 64, 85
 Weyssenhoff Józef 77, 106—9, 154, 170
 Węgierski Tomasz Kajetan 150
 Wielądko Wojciech 195
 Wielopolska Maria Jehanna 191
 Wierzbowski Teodor XI
 Wiesiełowski Aleksander 193
 Wilanowski Cezary 52
 Wilder Hieronim 51—2, 55—8, 72, 118, 142
 Witke-Jeżewski Dominik 116—18
 Witkiewicz Stanisław Ignacy (Witkacy) 191

 Wityg Wiktor 72, 113, 139
 Wolert Władysław 152—3
 Wolski Zygmunt X, XIX, 19, 24, 30, 66, 85—93, 95—99, 105, 110, 139, 142, 169, 171
 Wołoszynowski Julian 191
 Wójcicki Kazimierz Władysław 14, 121, 123
 Wujek Jakub 68
 Wydźga Jan Stefan 96
 Wyspiański Stanisław 12, 150, 155, 170, 185
 Wyszkowski Michał 175

 Zaborski Józef 133
 Zachariasiewicz Jan 141, 189
 Zachwatowicz Jan 148
 Załuski Józef Andrzej 32, 174
 Zan Tomasz 26—7, 69
 Zawidzki Jan 121
 Zbyszewski Karol 193
 Zegadłowicz Emil 191
 Zeissberg Heinrich 50
 Ziemkiewicz Romuald 55, 80, 135, 142—3
 Zienkiewicz Romuald 188
 Ziffer Roman 72, 141
 Znaniński Florian 196

 Żeleński Tadeusz (Boy) 120
 Żerański Tadeusz 153
 Żeromski Stefan 63, 135



Spis ilustracji

	Str.
1. Jan Michalski	VII
2. Ekslibris J. Michalskiego. Proj. Antoni Gawiński (Oss. I. ex. 3519)	9
3. Dawid Baumkoler. Fot. L. Sempoliński	36
4. Zygmunt Wolski	67
5. Józef Drège. Fot. L. Kowalski	89
6. Ekslibris J. Drège (Oss. I. ex. 12 268)	104
7. Zygmunt Wolski, 1924	112
8. Dedykacja na fotografii Z. Wolskiego z 1924 r.	129
9. Ekslibris J. Michalskiego. Proj. Stanisław Dą- browski (Oss. I. ex. 3517)	147
10. Zbiory J. Michalskiego	158
11. Kazimierz Piekarski	166
12. Zbiory ceramiki J. Michalskiego. Fragm. wnętrza	174
13. Ekslibris K. Piekarskiego (Oss. I. ex. 4046)	177
14. Fragment zbiorów J. Michalskiego	186
15. Ekslibris K. Piekarskiego. Proj. Stanisław Jaku- bowski (Oss. I. ex. 4041)	194
16. Fragment pamiętnika J. Michalskiego	201

Spis treści

	Str.
Jan Trzynadlowski: O Janie Michalskim słów wstępnych kilka	V
Wacław Borowy: Przedmowa	XIII
I. Pierwsze kroki	1
II. W antykwarniach	8
III. Wśród antykwariuszy	21
IV. O rzadkich książkach i bibliotekach prywatnych	62
V. Wśród bibliofilów	79
VI. Zakończenie	149
Aneks	
Listy do Zofii i Tadeusza Mikulskich	157
Tadeusz Mikulski o <i>Wspomnieniach</i> Jana Michalskiego (rec. 1 wyd.)	165
Ignacy Sieradzki: W bibliotece Instytutu Badań Literackich	176
Indeks nazwisk	202
Spis ilustracji	210

POPULARNONAUKOWA SERIA „KSIĄŻKI O KSIĄŻCE”

Dotychczas ukazały się:

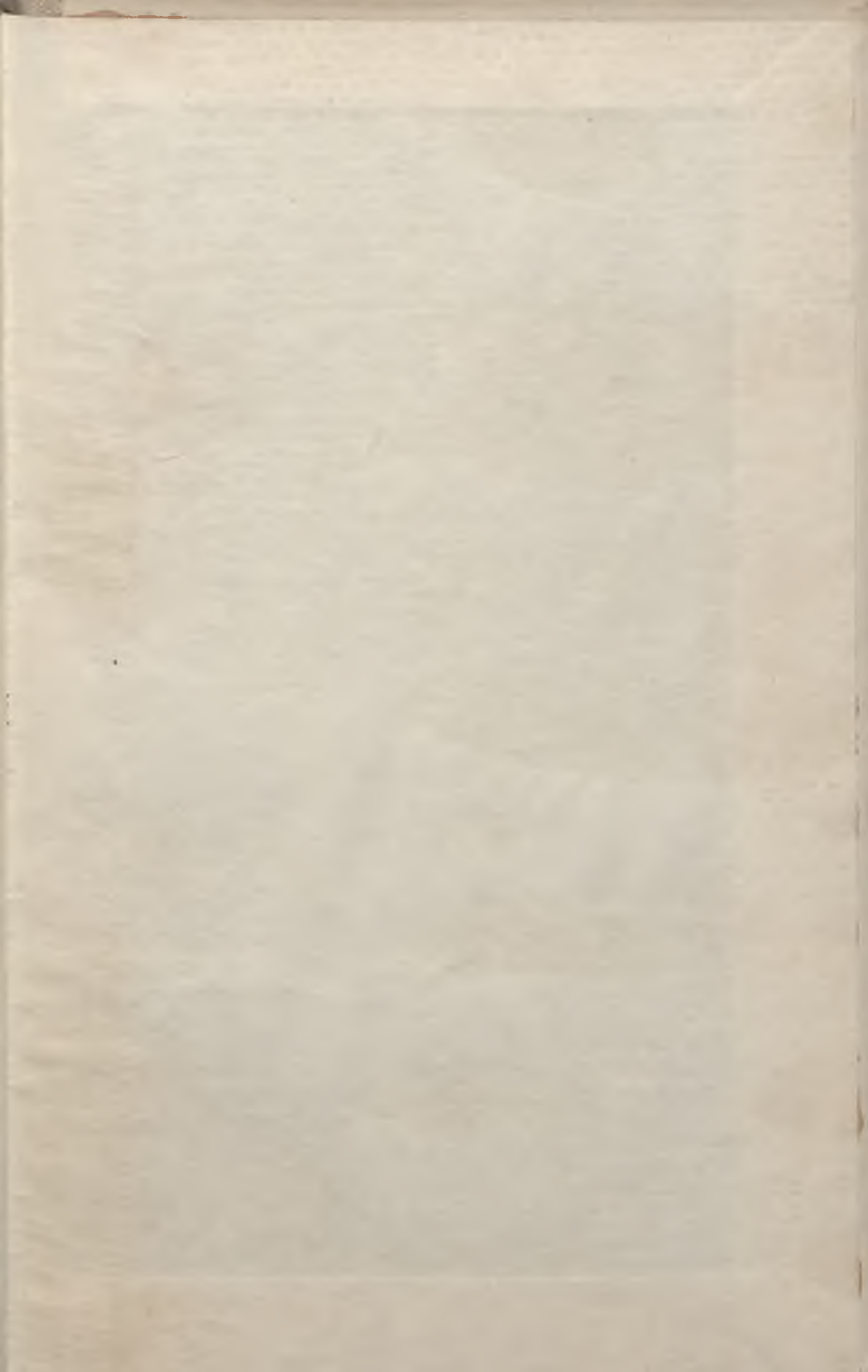
- E. Skierkowska: Wypiański — artysta książki. Wyd. 1, 2
- A. Wyczański: Mikrofilm — nowa postać książki. Wyd. 1, 2
- J. Bielawski: Książka w świecie islamu
- S. Strumph-Wojtkiewicz: Książka szła za emigrantem
- L. Gocel: Przypadki Jej Królewskiej Mości Książki
- J. Kuglin: Poligrafia książki. Wyd. 1, 2
- A. Wysocki: Mała poligrafia
- A. Skrzypczak: Sennewaldowie. Księgarze i wydawcy warszawscy
- Z. Arct: Dziwne historie książki
- E. Skierkowska: Współczesna ilustracja książki
- R. Cybulski: Księgarstwo w społeczeństwie współczesnym
- A. Świderkówna, M. Nowicka: Książka się rozwija
- A. Kłossowski: Ambasador książki polskiej w Paryżu — Władysław Mickiewicz
- R. Cybulski: Józef Zawadzki — księgarz, drukarz, wydawca
- Z. Arct: Gawędy o księgarzach
- W. Kocyba-Kamińska: Oficyna ossolińska w latach 1920—1939
- J. Kołodziejaska: Biblioteka a świat współczesny
- K. Maleczyńska: Dzieje starego papieru
- M. Mlekička: Jakub Mortkowicz — księgarz i wydawca
- H. Więckowska i in.: Twórcy nowoczesnego bibliotekarstwa polskiego
- B. Kocowski: Drzeworytowe książki Średniowiecza
- H. Hleb-Koszańska: O bibliografii dla niewtajemniczonych
- O. Błażejewicz: S. B. Linde — bibliotekarz i bibliograf
- J. Czerniatowicz: Książka grecka średniowieczna i renesansowa
- J. Michalski: 55 lat wśród książek. Wyd. 2

W przygotowaniu:

- B. Bienkowska: Staropolski świat książek
- B. Szyndler: Bibliotekarska służba Stefana Żeromskiego
- 212 M. Wojciechowski: Eksklibris — godło bibliofila

Zatwierdzona do działów nauczycielskich bibliotek
szkół licealnych, zakładów kształcenia nauczycieli
i techników pismem Ministerstwa Oświaty z dnia
11 III 1960 nr PM 2-3597/59

Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo. Wrocław 1976.
Nakład: 3600 egz. (w tym 50 egz. numerowanych). Objętość: ark.
wyd. 9,90, ark. druk. 14,50, ark. A1—11. Papier powlek. kl. V, 80 g,
82 x 104. Oddano do składu 31 XII 1975. Podpisano do druku 11 IX
1976. Druk ukończono we wrześniu 1976. Wrocławskie Zakłady Gra-
ficzne — Zakład Nr 1. Wrocław, ul. T. Kościuszki 29. Zam. 84/76
Cena zł 40.— (L-15)



PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Gdańsk - Wrzeszcz
K. Marksa 14

83100

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al.Gen.J.Hallera 14



83100